

SIEDM DRAMATÓW JEDNOAKTOWYCH

ADOLFA NEUWERTA-NOWACZYŃSKIEGO

LWÓW · KSIĘGARNIA POLSKA
WARSZAWA · E. WENDE I SP.





ODBITO W KRAKOWIE W DRUKARNI UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO POD ZARZĄDEM JÓZEFA FILIPOWSKIEGO.

PANI

WIKTORYI GOTTOWT



DOM KALEK

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE

OSOBY Z KÓŁ INTELIGENTNYCH:

PROFESOR SOWNICKI.
HRABINA OSKIERKO.
PANI TARCZYŃSKA.
PANNA TARCZYŃSKA.
MECENASOWA RADOMSKA.
DOKTOROWA KRZYŻAKOWA.
PAN ŁOWICZ-MĄCZEWSKI.
ERNEST RÖSSELER.
HENIO GRABSKI.

Rzecz dzieje się w jednej z prowincyonalnych stolic Galicyi. Scena przedstawia obszerny buduar mecenasowej Radomskiej. Na ścianach wisi symetrycznie odmierzonych sześć premii Towarzystwa Sztuk pięknych, po dwie na każdej ścianie. Portret pani domu w balowej tualecie z odpowiednio nieprzyzwoitym dekoltażem w złoconych, szerokich ramach, nadto kilka wypłowiałych oleodruków, kilka pejzażów wołających o pomstę do ikonoklastów, fotografii, chińskich wachlarzy, wszystko rozwieszone z gustownym brakiem smaku. W kącie otwarty fortepian-kometa, obok wielki kosz z wazonikami zwiędłych i zeschłych kwiatów. Na środku buduaru garnitur modnych (w se-

paratkach i golarniach) mebli, kilka fotelików możliwie najniewygodniejszych, kanapa, kilkanaście stoliczków okrągłych. Dopełniają meblement dwie konsolki z lustrami, fotel na biegunach, etażerki, stolik z lampą, wysoko podciągniętą, krytą popularnym bordeaux abażurem. Na stoliczkach tanie wiedeńskie bibeloty, popielniczki, małe albumy z Badów, dziesięć numerów Kłosów z 1888, ozdobne wydanie: Pamiętników Kwestarza Chodźki, Kirgiza, Maryi, Pana Tadeusza, pana Tarnowskiego. Buduar oświetlony lampą i świecami w kandelabrach. Na stoliczku bliskim kanapki, żółta okładka... Daudeta: »La petite paroise«, co znaczy: Mała parafia«.

Godzina 5-ta w zimie, podczas karnawału. Rozpoczyna się jour-fixe. Mecenasowa Radomska tęga bruneta w 35-ciu latach, żółty stanik, czarna suknia, wyraz twarzy bezmyślny, przeciętny, sympatyczny. Henio Grabski, młody lowelas, ananas towarzyski z fryzurą a la cochon irrité, biała kamizelka, dobra tresura domowa, tendencya psychiczna ku arystokracyi, papa introligator, mama szlachcianka z domu.

Piją herbatę i gryzą petites-foures.



GRABSKI. Według mnie, jestto skandal, zapisany raz pierwszy w naszych kronikach towarzyskich, całe miasto mówi już tylko o tem, wyłącznie, formalne trzęsienie.

RADOMSKA. Ależ to okropne, panie kochany, toż straszne!

GRABSKI *(z przesadą)*. Bez przesady całe miasto, po domach, w kawiarniach, teatrze, tego w cyrku, nawet w Odeonie. Wczoraj na balu u państwa Tarczyńskich mówiono o tem już półgłośno, udzielano sobie nawzajem uprzejmie najzłośliwszych szczegółów. Ha, ha! Paradne było słyszeć to wszystko, *(tajemniczo)* tem bardziej, że jest jeden jeszcze pieprzyk w całej historyjce, ale trochę za drastyczny i nie wiem doprawdy, czy zresztą...

RADOMSKA *(rozciekawiona)*. Ależ panie, przecież Ofelka prawie najbliższa moja przyjaciółka, więc może pan powiedzieć zupełnie śmiało wszystko, co się jej tyczy. Wiem przecież, jaka z niej szalona ryzykantka, nic nigdy nie oblicza, zawsze tylko idzie za instynktem, najdzikszym nawet. Ach Boże drogi, co ja wszystko wiem, ileśmy się razy naśmiały, no, no...

GRABSKI. Tak, ale to byłoby trochę za dziwaczne, za jaskrawe, chociaż...

RADOMSKA. Więc? Zresztą cóż pan droży się tak z opowiedzeniem mi całej prawdy, powie mi ją kto inny, wcześniej czy później, och joj! za godzinę »bede« wiedziała wszystkie nowe bajki. Może kanapki *(przekupuje młodzieńca kawiorem).*

GRABSKI *(połykając kanapkę).* Dziękuję. Zresztą opowiadam. Otóż kiedy podobno czcigodny doktor Dziedzicki zastał swą panią Ofelię w negliżu, w wielkim negliżu... w bardzo wielkim negliżu... (pokazuje dyskretnie) w towarzystwie kochanego Turfowicza w sytuacyi...

RADOMSKA *(z zażenowaniem, ale wesoło).* Ależ rozumię, rozumię, więc?

GRABSKI. ...zabrał się w wielkiej furyi — passez-expression, do bicia parasolem, czy tam laską kochanka... pardon, faworyta, koniec końcem Turfa, — tedy ha! ha! ha! miał Turfowicz wyrwać mu broń z ręki, ha! ha! ha! i, jak powiadają, zaczął nią okładać, ale faktycznie na seryo okładać nim męża. Ha! ha! nie! — to świetne...

(Oboje śmieją się serdecznie).

GRABSKI. ...a pani Ofelia, ha! ha! ha! zaczęła mu pomagać, tak stanęła po jego... stronie, ha! ha! i dalejże w obronie Turfa na męża. Kapitalne, co?...

RADOMSKA *(śmiejąc się ciągle).* Ależ to znakomite.. Oj... Ale to niemożliwe, chyba co?... oj... ach mój. Boże, paradne! Ha! ha! ha!...

GRABSKI. No... chyba fenomenalne, żona bijąca, ale

to mało, tłucząca podobno z całych sił, grzmocąca męża własnego w obronie trzeciego, ha! ha! i to... parasolem...

RADOMSKA. Chociaż swoją drogą, to niemożliwe *(poważniejąc).* To cyniczne zanadto, oburzające nawet, jak można było.

GRABSKI *(melancholijnie).* W dzisiejszych czasach proszę pani, to przecież wszystko można, nie?

RADOMSKA. No tak, ale coś podobnego, nie myślałam *(wpada znowu w śmiech).*

(Wchodzą: doktorowa Krzyżakowa, przystojna, przysadkowata blondyna, ruchliwa, prawie krzykliwa, bardzo modna fryzura, całość tak zw. apetyczne ciałko; Mączewski bezczelnie łysy, bardzo dystyngowany stary epuzer, apoplektyczny kark, szkła na rasowym nosie, uśmiech fauna, który się urodził z wodą w łebku; Rösseler, w przedługim anglezie, czarnym bufiastym krawacie, dziennikarz, artysta, trochę znudzony, trochę schyłkowiec kawiarniany, trochę prostytuujący się w życiu towarzyskiem).

RADOMSKA. Wreszcie jesteście, czekaliśmy na was z niecierpliwością, lada chwila przyjdzie prezydyum komitetu.

(Powitania, całusy, szastania nogami, wszyscy siadają ostrożnie ze względu na stoliki; dwa stoliki pomimo to padają, rozbija się porcelanowy chińczyk, który bezmyślnie potakuje ciągle głową wszystkiemu, co się tu będzie działo).

KRZYŻAKOWA. O, szkoda chińczyka... O... cały?

GRABSKI *(podnosząc go).* Nie, potłukł sobie bardzo *(niektórzy w śmiech)* można go już będzie dać na loteryę za fant, bo nic nie wart.

KRZYŻAKOWA. No więc jakże ty się masz moja droga, tak długoście byli na tem Bożem Narodzeniu, jak można tak długo na wsi siedzieć.

MĄCZEWSKI. Brakowało nam tu państwa i to bardzo, zadługo.

RADOMSKA. Musieliśmy, interesa.

KRZYŻAKOWA. Byliśmy na żurze u Michałowej, nudy powiadam ci zabijające, ty sobie tu flirtowałaś z panem Heniem, a tam strach, nie, coś okropnego doprawdy. A kiedyż reszta nadejdzie?

RADOMSKA. Przyjdą koło 6-tej. Tarczyńska ma dzisiaj 4 żury i to dwa z kartami, wieczór winta u siebie *(lokaj wnosi herbatę).*

MĄCZEWSKI. Niestrudzona, imponująca, wczoraj bal do siódmej, dziś tyle wizyt.

RADOMSKA. Prawda? niestrudzona. Po drugim żurze ma przyjść na posiedzenie. *(Lokaj wywrócił stolik, dosięga go zabójcze oko pani).* Niech Jan się nie kręci teraz, może odejść.

RÖSSELER *(huśtając się z nonszalancyą).* Oj te żury, te żury, co za Gehenna, za tortury.

KRZYŻAKOWA. Wiecznie pan narzekasz na nie, a nie opuścisz ani jednego.

MĄCZEWSKI. Ma pani racyę, ciągle wygaduje na nasze ukochane fixy, a obnosi się po nich ze swoją melancholią.

RÖSSELER *(z poważnem westchnieniem).* Tak, to moje kłamstwo życiowe...

KRZYŻAKOWA. Ach, nie kłamstwo, nie kłamstwo, tylko prawda, wygaduje pan na fixy, a łazi pan po nich i flirtuje. Chociaż co do Michałowej, to przyznaję panu racyę *a tout*, dziś naprzykład to było już coś rozpacznego, kilka starszych mam, kilkanaście córek...

MĄCZEWSKI. Herbata mocno przydymiona, czy coś, przemarne kanapki.

KRZYŻAKOWA. A do tego z kawaleryi same doktory praw... filozofii... teologii... zoologii...

MĄCZEWSKI. A na to tylko my dwaj. Słowem rozpacz beznadziejna, temata przeważnie filozoficzne, ani śladu flirtu, odrzekam się na zawsze jej fixów i daję sobie od nich urlop na cały karnawał.

RÖSSELER. A ja nie.

KRZYŻAKOWA. Pan nie?

RADOMSKA. A pan nie?

GRABSKI. Nie? dlaczego?

RÖSSELER *(cedząc uroczyście).* Ponieważ tylko u pani Michałowej bywają fixy po części uduchowione i kulturalne i gdyby nie tyle panien i tylu auskultantów...

KRZYŻAKOWA. Uduchowione, czy nie uduchowione, dosyć, że nudy pustynne.

MĄCZEWSKI. Doskonale określone... nudy pustynne, tak, tak, nudy pustynne.

KRZYŻAKOWA *(z głęboką wiarą).* A fixy nie są przeznaczone na wasze dysputy literackie czy jakieś tam, tylko na zabawę, flirt, takie jest moje przekonanie o kwestyi fixowania.

GRABSKI *(z ironią).* Bardzo racyonalne.

MĄCZEWSKI. Oczywista, punktum, pauza. Fixy na flirt i bajkowanie. No, ale tymczasem, moje panie, cóż słychać z Domem kalek?

KRZYŻAKOWA *(z namiętną ciekawością).* Tak, tak, któż należy do Domu kalek?

RADOMSKA. Księżna Tęczyńska protektorka, hrabina Oskierko prezesowa, ordynatowa Spytkowa, hrabina Melsztyńska, z wojskowości pułkownikowa Grawerst-Hohenfelsen.

KRZYŻAKOWA *(do Mączewskiego słodko).* A ciotka pana *(Mączewski kiwa głową).*

RADOMSKA. Tak, i ciotka pana Alfreda.

KRZYŻAKOWA *(uradowana).* No to bal przedstawia si wspaniale, świetnie, księżna protektorat, pi pi a któż z naszych pań?

RADOMSKA *(trochę zła, poprawiając ją).* Z pań naszego koła pytasz? Ja, ty, Tarczyńska, *(z pewnem wahaniem)* Ofelka prawdopodobnie.

(Chwilka ciszy).

GRABSKI. W każdym razie pani Dziedzicka także...

MĄCZEWSKI *(poważnie).* Po tem, co zaszło? Przyznam

się państwu, że to z trudnością da się przeprowadzić. Imaginuję sobie niechętny grymas księżnej, która wie, uprzedzam, wie już o całej aferze...

KRZYŻAKOWA. Skąd?

GRABSKI. Skąd może księżna o tem wiedzieć?

MĄCZEWSKI *(sucho).* Nie wiem, dość że...

RÖSSELER. Przecież w tym wypadku świadectwa moralności nie są wymagane.

MĄCZEWSKI. Właśnie, że w tym wypadku proszę pana, tak właśnie. Moja ciotka naprzykład napomknęła mi dzisiaj już a propos pani Ofelii, że ta będzie musiała wystąpić z Assocyacyi Dzieciątek Maryi.

RADOMSKA *(z przerażeniem).* Co? Czy być może?

KRZYŻAKOWA. Na seryo?

MĄCZEWSKI. Nie ulega dyskusyi nawet; smutne to, ale prawdziwe. Pani Ofelia za dużo dostarczyła materyału opinii towarzyskiej, to jest plotkom.

RADOMSKA. To prawda, nie da się zaprzeczyć że w ostatnich czasach ciągle była tu podobno na językach ludzkich, ale mój Boże, teraz...

RÖSSELER *(na seryo do Mączewskiego).* Więc pani Ofelia w istocie musi być wykluczoną z listy komitetowej?

MĄCZEWSKI. Jestem tego prawie... prawie zupełnie pewny, ale ponieważ, jak w każdym komitecie, tak i w tym należałoby, aby połowa pań była z miasta, a połowa z towarzystwa, więc jeszcze brakuje, zdaje mi się...

RÖSSELER. Wypadałoby chyba kogoś ze świata sztuki, literatury.

KRZYŻAKOWA *(z radością).* Aha, koniecznie, koniecznie kogoś z literatury, bardzo ładnie, tylko kogo?

MĄCZEWSKI. Tu trzeba być bardzo ostrożnym, ale zaryzykować można, kogóż panie myślą »dejmy nato?«

GRABSKI. Może przepiękną Sępową?

RADOMSKA. Tak, tak, żonę Sępa, doskonale.

KRZYŻAKOWA *(z niechęcią).* Ach zaraz przepiękną. Cóż na niej tak przepięknego, przeciętnie przystojna kobieta, zresztą, moi państwo, to przecież ex-aktorka, okrzyczana awanturnica.

RADOMSKA. Ja też myślę, że trudnoby było przeforsować panią Sępową, ale któżby inny, no któż?

GRABSKI. Możeby panią tą, jakże no, żonę tego powieściopisarza.

RÖSSELER. Szmiry?

GRABSKI. Ależ nie, Głębockiego, panią Głębocką.

(Niechętne zdziwienie).

RÖSSELER. A toś się pan wyrwał...

MĄCZEWSKI. Demagog, ratujcie mnie *(śmiejąc się).*

KRZYŻAKOWA. Tę, co ma biuro stręczeń guwernantek, czy sług? No, wybaczże pan.

MACZEWSKI *(śmiejąc się).* Małżonkę komunarda? Strach... Wracajmy do Sępowej.

RADOMSKA. Dobrze już, dobrze.

KRZYŻAKOWA. Niechże będzie Sępowa.

(Wchodzą: Tarczyńska, trochę siwa, bardzo energiczna w binoklach czterdziestoletnia kobieta, w czarnej sukni, półmęskie, antypatyczne ruchy. Z nią córka, pełna, wyrosła blondyna, ładniutka, melancholijne oczy, widocznie zakrzyczana przez mamę).

RADOMSKA. A, witamy, witamy kochaną panią, lada chwila będziemy mogły posiedzenie zacząć.

(Powitania).

TARCZYŃSKA. Bardzo dobrze, jak się macie, dobry wieczór panom. Tylko prędko moje panie, pozostaje mi dzisiaj tak mało, mało czasu wolnego, mam jeszcze dzisiaj jeden fix do odrobienia, wieczór winta u siebie i muszę skończyć dziś absolutnie ostatnią powiastkę dla tomiku *(siadają).*

MĄCZEWSKI *(z uśmiechem).* Dla dorastających, czyż nie?

TARCZYŃSKA. Aha, właśnie.

MĄCZEWSKI. Oto co znaczy zadanie kobiety w społeczeństwie. Pani doprawdy jest niedoścignioną, wzorem dla wszystkich matek-Polek, że tak powiem.

KRZYŻAKOWA. Rzeczywiście. Jak pani może to wszystko ze sobą pogodzić.

TARCZYŃSKA. A widzicie moje panie, pokazuje się, ta głupia emancypacya wcale niepotrzebna, tak, jak ją pojmują te waryatki *(zakłada nogę na nogę rażąco wysoko i zapala papierosa).* Można zachować czar kobiecy, a społeczeństwu służyć jak każdy jego członek męski. No nie?

(Dyskretny uśmiech u pań i panów).

TARCZYŃSKA. No teraz moi drodzy, co do kalek, żądam w pewnej sprawie waszej pomocy i współdziałania.

RADOMSKA. W czem?

KRZYŻAKOWA. No, jesteśmy gotowe.

TARCZYŃSKA. Otóż kochany, zacny profesor Sownisio oświadczył mi coś bardzo niemiłego w kwestyi pań do komitetu.

KRZYŻAKOWA. Ciekawam?

TARCZYŃSKA. Zakomunikował mi z zimną krwią, że w porozumieniu z księżną zaprosił jeszcze do komitetu wiecie kogo?

TARCZYŃSKA. No, nie zgadlibyście państwo nigdy. Wyobraźcie sobie panią Bernardową Lewisohn *(naśladuje wytwornie akcent żydowski).*

RADOMSKA *(spokojnie).* Aha, Lewisohnową.

KRZYŻAKOWA *(spokojnie).* Tę bankierową?

TARCZYŃSKA *(żargonując).* Tak jest, panią Lewisohn, żydówkę, której mężulek potrzebował dacz na dom od kalek 5000 złr... Skandal, jaki tupet, taki żyd, imaginujcież sobie. Ale ponieważ mój mąż jest jednym z głównych filarów obozu przeciwnego tej rasie i ponieważ ja jestem także antysemitką, wobec tego w komitecie, w którym zasiada ta pani, nazwisko moje figurować nie może. Czy nie słusznie?

GRABSKI. O... czy... wi... sta.

RADOMSKA. Ale my do tego nie dopuścimy, tak być nie może, komitet bez pani — to niemożliwość.

KRZYŻAKOWA. Zresztą poco ona? Warszawska moda

jakaś, finanse, mechesy czy coś zaczynają nam tu włazić. Można ją przecież prosić na gospodynię, ale nie do komitetu znowu, skądże, poco?

RÖSSELER *(powoli, z namaszczeniem).* Ja sądzę, zaś, że nie byłoby w tem nic zastraszającego znowu.

TARCZYŃSKA *(z pasyą).* Co?

RÖSSELER *(bohaterska, zimna krew).* Jak słusznie zauważyła pani konsyliarzowa, jest to moda warszawska, przyjęta ze świata wielkiego, z Europy. Finanse tworzą z arystokracyą rodową i światem artystycznym owo milieu, miłe nadzwyczajnie, w którem kultura..,

RADOMSKA. Eh, co tam wielki świat.

RÖSSELER. Zaraz, przepraszam, nie...

TARCZYŃSKA. Ale skończył pan, skończył. Wasz wielki świat i owo tam milieu, to właśnie warstwa zgangrenowana moralnie, żony kurtyzany, ach Boże, mężowie rogacze, kawalerya cyniczna, panny... tak czytałam ją Demivierges. Ach, to włosy stają, Sodoma, u nas chwała Bogu tego jeszcze niema, a to tylko dlatego, że się żydów trzyma zdaleka.

KRZYŻAKOWA. Aha! a i mój mąż zawsze mówi, że my to najhygieniczniejsza warstwa... tego... no... narodu.

GRABSKI. Jabym proponował więc, nie wpuszczać Lewisohnowej, a zostawić naszą śliczną Ofelkę.

TARCZYŃSKA *(zirytowana pluje w chusteczkę).* Mnie tam nie obchodzi kogo, dosyć, że nigdy Lewisohnową. Macie państwo decidement do wyboru albo panią »bankierową« Lewisohn, albo mnie.

(Dzwonek, szastania w przedpokoju, Radomska wybiega z wesołem zwiastowaniem : O... głos hrabiny!).

GRABSKI. Więc jak stoją rzeczy?

KRZYŻAKOWA *(półszeptem).* To trzeba będzie popierać Tarczyńską, chociaż...

(Wchodzą: profesor Sownicki i hrabina Oskierko. On siwy, niski staruszek w fasonie „Fliegende Blätter", oczy bardzo ruchliwe, ruchy drobne, pod pachą kilkanaście broszur. Hrabina Oskierko, angielska skromna suknia bez sznurowki, rysy pospolite prawie ordynarne, dystynkcya przesadna, grzeczność obrażająca w stosunku do innych pań, née de Rypalska z Zalesia).

(Mężczyźni wstają, nabożna chwila ciszy kłócona szelestem jedwabnych spódnic).

RADOMSKA *(prezentuje).* Doktorowa Krzyżakowa — hrabina Oskierko *(ukłony).*

HR. OSKIERKO *(witając się z Tarczyńską).* Ach jakże się serdecznie cieszę widząc panią, a i córkę, ooo, już przecież dorosła pani córka, czy nie tak.

TARCZYŃSKA *(jowializując).* A Ziutek już wyrósł do sufitu, lansuję ją teraz wszędzie, bo trzeba jej »prędko« szukać męża.

HR. OSKIERKO *(śmiejąc się łaskawie).* Tak? O nie trudno będzie zdaje mi się. Czyż nie?

RADOMSKA *(przedstawiając hrabinie).* Pan Grabski, pan Rösseler, pan Mączewski, profesor Sownicki. Proszę państwa siadać...

(Hałaśliwe dyskretne siadanie, panie wytężają całą inteligencyę, aby ominąć kanapkę, siadają na wątłych krzesłach, Rösseler huśta się dalej, panna Ziuta idzie w kąt za fortepian).

SOWNICKI *(rozdając wszystkim broszurę).* Pozwólcież państwo, że was tu tego obdaruję skromnem, ale poczciwem pismem.

(Ogólne zakłopotanie).

RADOMSKA *(czytając tytuł).* »Nędza fizyczna i moralna. Myśli społeczne Andrzeja Głębockiego«. *(Przerzucanie kartek i spoglądanie na siebie).*

SOWNICKI *(onieśmielony cokolwiek).* A teraz tu tego czuję się w bardzo, bardzo miłym obowiązku serdecznie państwu podziękować za dotychczasowe trudy i znoje tu tego, jakie ponieśłyście panie, pomagając mi w zrealizowaniu mych planów, przejęte głęboko zacną myślą służby dla swego tego... społeczeństwa...

(Wszyscy poprawiają się na siedzeniach, ktoś chrząka, Krzyżakowa wodzi krytycznem okiem po sukni hr. Oskierko, ta szepta coś ironicznie uśmiechnięta, nachylona do Mączewskiego, Rösseler przybiera w fotelu pozycyę nadzwyczaj skomplikowaną, Grabski słucha, panna Tarczyńska słucha, lokaj wnosi herbatę).

SOWNICKI *(do lokaja podającego herbatę).* Dziękuję, całuję rączki, tu tedy panie pomoc dla cierpiącej ludzkości jest jednym z pierwszych naszych obowiązków moralnych i jedną z najszlachetniejszych misyi naszych piękne panie, nieprawdaż?



KRZYŻAKOWA *(z westchnieniem głębokiem)*. O tak. *(Inni potakują)*.

SOWNICKI. Przed rokiem wpadła mi w ręce broszura, którą obecnie pieścicie w waszych rączkach, pod tytułem: »Nędza fizyczna i moralna«, praca jednego z najznakomitszych naszych pisarzy i mężów Andrzeja Głębockiego. Broszura ta wzruszyła mnie głęboko, w szczególności zaś bardzo zajmujący rozdział o kalekach wszelkiego rodzaju, tu tego ślepych, głuchoniemych, obłąkanych. Powiedziałem sobie, że trzeba tu tego nieść pomoc tym biedakom, trzeba, aby mieli dach nad głową, łyżkę strawy gorącej i jaką taką pościel zamiast barłogu... no nie?

(Dyskretne oznaki znudzenia, wszyscy biorą z ochotą pączki z tacy).

SOWNICKI. ... Trzeba jednem słowem wybudować dom, tam tu tego podnieść ich moralnie i pomódz im fizycznie. Zwróciłem się tedy do ludzi zacnych i znanych z tego, że łożą hojnie na ofiarność publiczną. Sam złożyłem skromną i na jaką stać mnie było kwotę 500 złr...

(Lokaj szelma wywraca stolik, panna Ziuta patrzy w profesora jak w tęczę).

SOWNICKI. Mąż jednej z pań, a nasz poseł hr. Oskierko dodał drugie tyle, kilkanaście osób po 100, 200, 500... Powoli tu tego płynęły składki *(Rösselor „szarżuje w nonszalancyi“ i czyści ostentacyjnie paznokcie)*, tak że zacząłem już powątpiewać w to, czy mój plan tu

tego rychło da się w życie wprowadzić, kiedy w ręce moje złożono magnacki hojny dar 1000 złr. Ofiarodawcą był pan tu tego znany Lewisohn.

TARCZYŃSKA *(twardo i rzucając rękawicę)*. Ten żyd bankier?

SOWNICKI *(jowialnie)*. A tak, ten, zacne żydzie szczerze zajął się moją instytucyą i wprowadzeniem mego projektu z sfery marzeń w stan rzeczywisty. Tak więc tu tego rozporządzamy już dość znacznym kapitałem, z którym będzie można zacząć budowę domu, a pan Lewisohn poddał też kapitalną myśl urządzenia tu tego balu na dochód tych nieszczęśliwych w bieżącym karnawale. Tu tedy brak mi doświadczenia *(uśmiecha się)*, więc prosiłem jego panią i panią hrabinę i was łaskawe panie. *(Hr. Oskierko rozpływa się w słodkim uśmiechu)*. Dzienniki mnie poparły, zacne panie z zapałem wzięłyście się do otarcia łez biednym kalekom *(wzruszony)*. I tu tego dzięki wam, które macie ładne kucharki i piękne mieszkania, to jest dobre kucharki chciałem tu tego powiedzieć, cieszycie się zdrowiem *(zaciera ciągle ręce, wesoły)*, przyświecacie cnotami i przymiotami, wpłynie nowy fundusz dla tych, którzy cierpią na ciele i duszy.

SOWNICKI. Jeszcze raz tu tedy dziękuję za zapał i dobre serce... *(siada, ocierając czoło z potu, w zebranych wzruszenie obok pewnego wstydu i ironii)*.

RADOMSKA *(wzruszona)*. O czcigodny profesorze, jeszcześmy i niezasłużyły na twą wdzięczność...

KRZYŻAKOWA *(z zapałem).* Tak, ale zasłużymy, ja obiecuję pracować w tym komitecie za wszystkich.

GRABSKI *(z humorem).* Ja się zatańczę na śmierć *(lekki śmiech).*

TARCZYŃSKA *(zimno, chłodząc zapały).* Bardzo pięknie, i ja z mej strony dołożę wszystkich sił, ażeby bal powiódł się doskonale i z wielkim skutkiem finansowym, tylko proponuję, abyśmy się energicznie zabrały do roboty. Otóż łaskawy profesor zorganizuje odpowiedni komitet z pań i panów. Protektorat objęła księżna, więc z tem rzecz skończona, teraz chodzi tylko o dobry komitet, żeby wziął całą sprawę na barki.

HR. OSKIERKO *(przegrzecznie).* Ja myślę, że nikt z nas nie ma nic przeciwko temu, chyba się nie mylę? tak?

SOWNICKI *(zakłopotany).* Oj, co do organizowania komitetu, to ja już paniom oddaję w piękne rączki moje pełnomocnictwo. Zresztą tu tego komitet prawie już...

MĄCZEWSKI. Tak prawie, pierwsze: wszyscy tu obecni.

HR. OSKIERKO *(słodko).* A prezesostwo, myślę, obejmie może nasza gospodyni, bo jabym stanowczo nie mogła, nie podołała, zresztą już księżna... Więc któraś z pań, najlepiej pani Radomska.

WSZYSCY. Tak, tak, tak.

KRZYŻAKOWA *(zbladła, ale pasyę skrywa słodkim uśmiechem).* Tak, tak będzie najlepiej.

RADOMSKA *(skromnie).* Ano dobrze, dziękuję, więc odczytam komitet... panie Grabski *(ten podaje kartkę):* księżna Tęczyńska, hrabina Oskierko, ordynatowa Melsztyńska, pani Spytkowa, pani Łowicz-Mączewska, br. Glan-Hohenfels, ja, pani Tarczyńska, pani Krzyżakowa, J. E. ministrowa Gnażewska może, albo pani Sępowa, albo *(urywa czytanie).*

HR. OSKIERKO. Pani Sępowa? Przepraszam tak, a kto to? ta pani?

RÖSSELER *(z lekką irytacyą).* To żona komedyopisarza Sępa, znanego nie?

HR. OSKIERKO. Aaaa, tak, to ta pani Sępowa, tylko że pani Sęp, zdaje mi się przynajmniej, o ile mogę wiedzieć, bo tych stosunków nie znam, czy to też osoba »comme il faut«? Zdaje mi się bowiem, że ta pani była, czy jest jeszcze w teatrze?

GRABSKI *(zirytowany).* Była proszę pani hrabiny sławną artystką, od trzech lat nie występuje, a Modrzejewska np. także...

HR. OSKIERKO *(nie patrząc na niego).* Merci, a więc była aktorką, tak zresztą jak panie uważają, ale uprzedzam, że księżna jest bardzo ostrym cenzorem. Jak uważasz panie Mączewski?

MĄCZEWSKI *(półśmiało).* Mnie się też wydaje, że ze względu na księżnę, to jest, że wogóle tym razem możeby lepiej było...

SOWNICKI *(przeczytawszy kartkę, oddając ją).* Jabym prosił łaskawych państwa jeszcze o głos w tej kwe-

styi, otóż w składzie komitetu zapomniał pan jeszcze dwóch pań już uproszonych przezemnie, to będzie trzeba tam jeszcze wpisać *(szuka ołówka)*.

(Panie wydają oznaki niekłamanego zdziwienia).

KRZYŻAKOWA. Aż dwóch?

HR. OSKIERKO. Jedna to pani Bernardowa Lewisohn...

(Sztuczne zdziwienie u pań: Tarczyńskiej, Radomskiej i Krzyżakowej).

HR. OSKIERKO. Tak, więc pani Lewisohn już zaproszona i przyjęła, któż drugi?

SOWNICKI. A to zacna pani Głębocka.

(Zdziwienie skrajne w całem towarzystwie).

KRZYŻAKOWA. Pani Głębocka?

TARCZYŃSKA. Pani... Lewi...sohn!

RADOMSKA. Ależ to niemożliwe.

TARCZYŃSKA. Ani jedna, ani druga. Nigdy.

HR. OSKIERKO *(poważnie, reservé)*. O pani Lewisohn słyszałam i sądzę, że panie nie będą miały przeciwko temu nic wobec tak hojnej ofiary jej męża i towarzyskiej i materyalnej sytuacyi tych państwa. Czy nie?

(Cisza).

SOWNICKI *(zakłopotany)*. Czy ja może coś złego, albo nietaktownego zbroiłem, no toż darujcie mi państwo, ale gdzie ja botanik...

RADOMSKA. Ale broń Boże, profesorze, tylko...

KRZYŻAKOWA. Tylko przecież te panie jedna żydówka, druga...

TARCZYŃSKA *(podbudzona ostrogami)*. Tak, tak jest, materyalna sytuacya pani Lewisohn jest w tym wypadku chyba obojętną, towarzyskiej *(z naciskiem)* nie znam, ofiarę jej męża się chwali i uznaje, ale ta okoliczność, że madame Lewi-sohn jest żydówką, winna rozstrzygać. Przecież żydówki nie możemy mieć w komitecie.

KRZYŻAKOWA. Tak nobliwym...

SOWNICKI. Ale dlaczego nie, przecież to głupstwo.

TARCZYŃSKA. O nie, profesorze, nigdy, to nie powinno być i nie jest głupstwem. Mój mąż... a przepraszam.

HR. OSKIERKO. O proszę, nie przerywam.

TARCZYŃSKA. Nie, proszę, skończyłam.

HR. OSKIERKO. Otóż pozwól profesorze. *(Do Tarczyńskiej)* Mnie się zdaje, że nad panią Lewisohn i jej wejściem do komitetu powinniśmy przejść bez dyskusyi. Profesor ją zaprosił, księżna »sankcyonowała« Inna rzecz co do tej drugiej pani.

TARCZYŃSKA *(przerywając)*. Ja zaś i co do pani Lewisohn byłabym zdania, że na jej należenie do komitetu zgodzić się absolutnie nie możemy. Mnie np. moje przekonania zakazują zasiadać w komitecie, w którym jest żydówka. Nie wiem, jak inne panie zapatrują się na tę kwestyę, ale ja muszę oświadczyć, że ja, jeżeli pani Lewisohn wejdzie do »Domu kalek«, ja z komitetu ustępuję.

(Ziuta przy fortepianie uderza czasem klawisz — krępujące milczenie).

GRABSKI. To niemożliwe.

RADOMSKA. Ależ!

SOWNICKI *(ze smutnem zdziwieniem).* Ależ dlaczego, przecież to proszę tu tego łaskawej paniusi nie żadna polityczna ani socyalna akcya, ale zwykły tu tak bal. Eh, żartuje sobie pani...

RÖSSELER. Ja także śmiałbym zwrócić uwagę zebranego komitetu, że bal dobroczynny nie jest przecież areną rozwiązywania rasowych konfliktów i że...

TARCZYŃSKA. Darujcie państwo, ale ja mam moje stałe zasady, od których ani na włosek nie odstępuję. Ziutuniuś świadkiem, nawet wtedy, gdy chodzi tylko o komitet balowy.

KRZYŻAKOWA *(chwiejnie, oportunistycznie).* Ja właściwie byłabym też za nieprzyjęciem do komitetu pani Lewi... *(Ziuta uderzyła mocniej w klawisz).*

TARCZYŃSKA *(z pasyą).* Zośka zostaw fortepian. *(Ziuta spłoszona).*

RADOMSKA *(wymijająco).* Ja także byłabym »naprzeciwko«, ale jeżeli już zaproszenia cofnąć nie można...

GRABSKI. Tak, to nie ulega kwestyi, fakt zaproszenia już zaszedł.

HR. OSKIERKO. To też właśnie, zresztą możecie panie jak najmniej stykać się z panią Lewisohn, jeżeli już to zetknięcie jest dla pań tak niemiłe. Czyż nie?

SOWNICKI. Ale jakżeby tu tego takie zetknięcie mogłoby być niemiłe, przecież to taka dystyngowana, wykształcona, miła kobieta, dama, rzadka.

KRZYŻAKOWA *(słuchając Sownickiego).* Tak jest, możnaby jej nie regardować wcale.

MĄCZEWSKI. Oczywiście, poprosi się tę panią raz na posiedzenie dla formy i fine.

HR. OSKIERKO *(podchodząc do Tarczyńskiej, która wstała do pudła z papierosami).* Więc niech się pani łaskawa już zgodzi. Pani Lewisohn już zaproszona, już przepadło, będzie zresztą tylko figurantką, no nie? Czyż nie? *(półszeptem)* A tu większa historya nas czeka...

RADOMSKA *(do Tarczyńskiej z lewej).* Tak, zgódź się pani już na Lewisohnową.

GRABSKI *(bez złośliwości).* Dobro publiczne wymaga od pani zmiany zasad na rzecz uczucia dla »biednych«.

TARCZYŃSKA *(blada).* Zresztą ustępuję, mając wzgląd na to, że w żaden kontakt nie będziemy wchodzić z tą osobą i że to dla szlachetnego celu.

SOWNICKI *(uradowany).* A więc chwilowe nieporozumienie załatwione, chwałać Bogu. Więc nasz cudowny, śliczny komitet ukonstytuowany, a dla poznaki to ja stary kaleka tu taki tego, nie? *(Śmieje się dobrodusznie).*

(Towarzystwo sztywne, milczenie).

HR. OSKIERKO *(śmiało).* O jeszcze nie, profesorze. Więc na panią Lewisohn zgodziliśmy się wszyscy pod

wpływem jej daru, tj. męża, czyż nie? ale kto to druga pani, bo już zapomniałam.

MĄCZEWSKI (*śmiejąc się*). Podobno »Matka Polka«, tak?

RÖSSELER. Ciotka Grachów.

SOWNICKI (*patrzy ze zdziwieniem na śmiejących się, potem rozpogadza*). E nie, no tego tu druga pani to przejdzie bez dyskusyi, bo to pani Głębocka, żona autora broszurki, którą panie pieścicie w swych rączkach.

(*Niechętne milczenie, nieartykułowane półwykrzykniki*).

RÖSSELER (*wstając z fotelu i machając ręką*). Nooo tak ale widzi profesor, pan Głębocki jest także redaktorem radykalnego organu, popierającego socyalizm, komunizm i jako taki...

MĄCZEWSKI (*wpadając*). Demagog, anarchist, strach!

RÖSSELER. Temsamem absolutnie uniemożliwiony towarzysko w sferach, które chce, powiedzmy sobie już raz, wieszać...

(*Milczenie*).

KRZYŻAKOWA. A pani Głębocka, to jeśli się nie mylę, bo tych stosunków nie znam, ma biuro komisowe dla bon, guwernantek, aku...

RADOMSKA. Tam jest przecież biuro dla służby. Mój Jan niedźwiedź...

TARCZYŃSKA. Ale przytem schronisko dla młodzieży rewolucyjnej, anarchistów, dekadentystów, żydówek

emancypantek, propaganda Darwina, pewnie i wolnej miłości, znam ja się już na tem, znam.

SOWNICKI (*z niechęcią i niesmakiem, trudno skrywanym*). U pani Głębockiej? ale któż to powiedział? Przecież ją nazywają matką Grachów, najzacniejszy dom w świecie, ogólnie szanowany.

RÖSSELER. Tak, to prawda wszystko, ale pani Głębocka nie jest osobą z towarzystwa, nie zna naszych formuł i konwenansów, mogą jej się wydać niesłychanie śmiesznemi, nie będzie zadowolona z nas jak i my z niej prawdopodobnie.

MĄCZEWSKI. To już starsza zdaje mi się kobieta.

KRZYŻAKOWA. Ależ staruszka prawie.

RADOMSKA. Nie, profesorze, pani Głębocka absolutnie do komitetu się nie nadaje jako osoba obca nam zupełnie.

TARCZYŃSKA. Bez najmniejszej kwestyi. To już są inne koła, inni jacyś ludzie z Litwy, obcy nam i niechętni.

MĄCZEWSKI. Żona anarchisty z księżną Jerzową w komitecie! Nie, to niema mowy o tem.

HR. OSKIERKO. Pozwólcie panie, że ja to przeprowadzę, aby już skończyć dyskusyę nad tem. Otóż kochany profesorze, ty jako mąż nauki nie możesz być tak *au courant* towarzyskich stosunków, ale bądź pewien, że nawet wzgląd na szlachetny cel nie może łączyć ze sobą ludzi tak odmiennych światów.

SOWNICKI (*z poważnem zakłopotaniem*). Ale ja już tę szlachetną kobietę prosiłem o pomoc.

RÖSSELER. Niech profesor daruje, ale ja np. zawsze przecież idę z prądem nowej myśli. W tym wypadku więc nie przemawiam, jako zacofaniec. Ale na polu towarzyskiem trudno żądać tak dalece idącego zniwelowania obozów i sfer.

SOWNICKI *(z naiwnem przekonaniem).* Ja myślałem, że właśnie na tem polu są sobie wszyscy równi, byle dobrze wychowani i wykształceni. A pani Głębocka to córka takiej znakomitości naukowej, żona tak cenionego autora.

RADOMSKA *(cedząc protekcyonalnie),* Tak bezsprzecznie, umysłowo, pod względem wykształcenia może ostatecznie stać na równi z nami, to prawda, i wychowanie mogła odebrać staranne, ale jej pozycya towarzyska...

TARCZYŃSKA. Ich światek jakiś rewolucyjno-emancypacyjny.

KRZYŻAKOWA *(pogardliwie).* Zresztą choćby to, że pani Głębocka ma biuro służby.

RADOMSKA. Ale całe mnóstwo rozmaitych okoliczności, dyskusya nad tem zaprowadziłaby nas, zdaje mi się, za daleko.

MĄCZEWSKI. Tak, a tu najsilniejszy argument leży przed nami, to jest, że księżna i reszta pań absolutnieby się na to nie zgodziły. Nieprawdaż hrabino?

HR. OSKIERKO. *Vous avez raison monsieur.* Pan Mączewski ma racyę. I ja myślę, nie mogłabym brać udziału nawet w balu, a cóż dopiero w komitecie.

GRABSKI. Więc?

(Wszyscy wodzą po sobie wzrokiem wyczekująco).

SOWNICKI *(drżącym głosem).* Więc taka okoliczność mogłaby wpłynąć na nieukonstytuowanie się komitetu?

TARCZYŃSKA. Właściwie tak, jeżeli nie da się jej ominąć w żaden sposób, chociaż to, zdaje mi się, będzie łatwo.

KRZYŻAKOWA. Cały komitet głosuje przeciw wejściu pani Głębockiej.

SOWNICKI. Ale miejcież moje panie wzgląd na to, że poczciwa broszura Głębockiego zrodziła we mnie myśl Domu kalek, że ten człowiek drukowanem słowem łzy mi do oczu wywołał i pobudził energię do niesienia pomocy nieszczęśliwym.

MĄCZEWSKI. Dobrze, ale to znajdzie się profesorze inna droga do wyrażenia wdzięczności, biust jego może stanąć w przedsionku Domu.

GRABŚKI. Może zostać honorowym członkiem Domu kalek.

RADOMSKA. Ale z jakiej racyi żona jego ma należeć do komitetu balowego?

KRZYŻAKOWA. Przecież ona broszury nie pisała, a z pewnością nie tańczy nawet.

SOWNICKI *(z odcieniem irytacyi).* Z tej racyi łaskawa pani, że ja idąc za radą Lewisohna a będąc zawsze pod niezatartem wrażeniem broszury Głębockiego pobiegłem zaraz do tego zacnego domu i prosiłem

ją i jego jako najgodniejszych i najzasłużeńszych dla tej idei o pomoc i od nich ją uzyskałem. Tak i układając ten komitet obok pań komitetujących stale i ciągle *(u pań widać obrażoną godność)* nie mogłem pominąć żony tego, który o moich kalekach z takiem sercem i rozumem napisał. Ot dlaczego.

(Towarzystwo trawi ostrą pigułkę).

MĄCZEWSKI *(nabierając fantazyi).* Nooo taaak, tak, ale *(profesor obciera pot z czoła).*

TARCZYŃSKA *(ostro).* To w takim razie złą radę dała profesorowi wielka pani Głębocka.

SOWNICKI *(z irytacyą).* Dlaczego, dlaczego, moja pani?

TARCZYŃSKA *(obojętnie, ostro).* Bo poradziła profesorowi udać się do tych pań, s t a l e c z y w i e c z n i e komitetujących, zamiast zebrać komitet z emancypantek i socyalistek.

(Przygnębiające wrażenie, cisza).

HR. OSKIERKO *(chcąc zażegnać burzę).* Zresztą może to się da urządzić w jaki sposób. Pani Głębocka może pocichu należeć do komitetu i pracować z nami, byle nie figurowała na zaproszeniach i w dziennikach.

KRZYŻAKOWA *(podchwytując z zapałem).* Może być także tylko figurantką.

GRABSKI. Jak pani Lewisohn, tylko że ta będzie urzędowo i w dziennikach bez pracy, a panią Głębocką schowa się w kąt, a da się jej wszystkie pisaniny.

SOWNICKI *(z oburzeniem, stłumionym głosem).* Oto się mylisz mój młody kawalerze. Pani Głębocka nie potrzebuje być figurantką chowaną w kącie do pracy. A jeżeli jej osoba, a co więcej nazwisko niesplamione tyle wam szanowne panie sprawiłoby kompromitacyi i wstydu, to ja nie chcę pań na nic narażać i...

RADOMSKA *(prędko, w zamiarze ratowania sytuacyi).* Ależ bo profesor nie chce wejść w nasze położenie.

SOWNICKI *(chwytając kapelusz w ręce i mnąc go z irytacyą).* Tak, łaskawa pani, nie chcę i nie wejdę. Ponieważ zaś nie miałbym czoła zacnej kobiecie powiedzieć wyniku tego posiedzenia i z komitetu ją wyprosić, dlatego dziękuję za dotychczasowe trudy jeszcze raz... tak jeszcze raz i spróbuję bez balu i bez komitetów.

KRZYŻAKOWA *(z trwogą).* Jakto, więc?...

RADOMSKA. Więc komitet rozwiązany?

TARCZYŃSKA *(dobitnie).* A to nie nasza wina w tem moja pani, ale wszystko rozbija się o osobę pani Głębockiej *(do Sownickiego, który odstąpił kilka kroków i zmierza ku drzwiom).* Najwięcej bo biedne kaleki na tem ucierpią.

SOWNICKI *(z kapeluszem w ręce, podchodzi do niej).* O nie, łaskawa pani, biedni na tem nie ucierpią, już ja się o to postaram *(kłania się jej, poczem zwraca do Rösselera i wzruszonym głosem):* A pana proszę, bądź łaskaw napisać w jutrzejszej kronice, ze Bal na Dom Kalek nie odbędzie się z powodu nieprzewidzianych czy nieprzyjaznych okoliczności. Tymczasem żegnam panie. Prace moje nie pozwalają mi na dłuż-

szy pobyt w przyjemnem towarzystwie *(kłania się)*. Moje uszanowanie *(wychodzi)*.

(Wszyscy odprowadzają go wzrokiem, trochę zawstydzeni, hrabina żegna się zimno z „paniami z miasta“, Grabski zapala papierosa, Rösseler wymyka się po „angielsku“ za profesorem, panna Tarczyńska ma łzy w oczach).

KRZYŻAKOWA *(ze szczerym smutkiem)*. Jaka szkoda! A tak się efektownie i imponująco zapowiadała lista komitetu, szkoda...

ZASŁONA SPADA.

MIŁOSIERDZIE LUDZKIE

DRAMAT W JEDNYM AKCIE

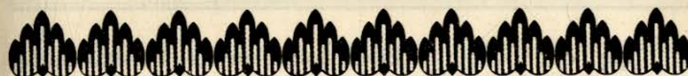
NA TLE NOWELI MARYI KONOPNICKIEJ

OSOBY:

RADCA STORCH.
KUNTZ WUNDERLI.
PETER WUNDERLI, syn.
PROBST, mleczarz.
WDOWA KNAUS.
TÖDI MAYER, ślusarz.
LORCHE, piekarz.
WALLAUER, rzeźnik.
BLANK, rymarz.
SPRÜNGER, powroźnik.
DÖDÖLI, właściciel winnicy.
KISSLING, kotlarz.
DÖRFLI, ogrodnik.
WOŹNY HERMAN.
MAŁY MAKS WUNDERLI, wnuczek.

Scena przedstawia gminną kancelaryę w mieścinie szwajcarskiej Höttingen. Kancelaryę przedzielają balaski na dwie połowy: prawa od widzów dla zebranych małomieszczan, lewa z pewnem podniesieniem dla urzędu gminnego i pana radcy. Wzdłuż prawej idą wąskie ławki, bliżej widzów drzwi szeroko otwarte na mały ganeczek, dalej okno. Nad drzwiami krucy-

fiks. Z prawej w rogu zielony piec kaflowy. W lewej części podniesionej stół kryty zielonem suknem pełen papierów i przyborów piśmiennych, w rogu szafy półotwarte z aktami, blisko balasek małe drzwiczki, nad niemi napis: Archivum gminy Höttingen. Na ścianach kilka plakatów, ogłoszeń hotelowych, u sufitu zwieszona lampa kancelaryjna o szerokim daszku. Z podniesieniem kurtyny słońce oświeca salę z prawej przez otwarte drzwi i okno.



WOŹNY HERMAN *(układając papiery na stole, liczy uderzenia bijącego zegara wieżowego):* Raz... dwa... trzy... *(zegar dalej bije godzinę 9-tą)* tak, trzy, trzy na dziewiątą, akuratnie zgodnie z moim genewczykiem... *(sprząta dalej, zdmuchując kurz z małego krucyfiksu stawia go na stole).* Tak, wszystko gotowe... *(schodzi do balasek i otwiera drzwiczki szeroko).*

(We drzwiach staje Kuntz Wunderli, staruszek, w grubej, wysoko zapinanej, ale poobtarganej kamizelce, brudnej zgrzebnej koszuli, świeżo golony, mnie w rękach starą kapelusinę i brzytwę owiniętą w papier i stoi pokornie).

WOŹNY HERMAN. Ano jesteście Kuntz? jesteście? bardzo dobrze.

KUNTZ WUNDERLI. Bóg z wami, panie woźny...

WOŹNY HERMAN. Bóg z wami, stary. Ogoliliście się, no to przynajmniej będzie jako tako wyglądało.

KUNTZ WUNDERLI. Oto brzytwa i mydło; nie bardzo zmydliłem, nie bardzo, tyle ile było koniecznie potrzeba, pod studniem poszedł i jakoś i bez lusterka rady dałem.

WOŹNY HERMAN. I to jak! Wyglądacie jak Angliki z hotelu: »pod zieloną różą«. Tylko teraz coś na grzbiet...

KUNTZ WUNDERLI. Oj to, to, panie woźny, jaką

joppę, choćby nie całkiem dobrą nawet, bardzo starą, zniszczoną, byle tylko coś włożyć.

WOŹNY HERMAN. Będzie już, będzie; sam pan radca Storch kazał pożyczyć wam kubrak porządny, bo tak nie wolno by się wam nawet pokazać tu w kancelaryi... No, a jako kandydat... przecież z temi ramionami wychudłemi wyglądacie jak straszydło na wróble... Skóra i kości, skóra i kości... *(wraca za balaski i idzie do drzwi archiwum).*

KUNTZ WUNDERLI *(głośniej, mnąc kapelusz):* A to i dziwić się niema czemu. Przecie 70-ty i czwarty rok już mi idzie, mój Peter za trzy roki będzie miał pięć krzyżyków, a to człowiek w biedzie, w biedzie, w nędzy, panie woźny — i to ja z pół roku mięsa nie widział, jak tylko czasem sperkę, trochę spérki panie woźny i kaszę tylko! Z czegoż ma być mięso na człowieku?

WOŹNY HERMAN *(otwiera drzwiczki do archiwum, wchodzi i zaraz staje w nich z kubrakiem w ręce):* Oto wasz mundur galowy, Wunderli; widzicie? *(trzyma kubrak szeroko, podniósłszy w rękach do góry).* Parada, co? Chodźcież tu.

KUNTZ WUNDERLI. Idę, idę... *(wstępuje niedołężnie na podwyższenie, trzymając się kurczowo balasek).* O mój Boże, ależ to wasz surdut, panie woźny.

WOŹNY HERMAN. To się go wam pożycza na rano, na licytacyę tylko, potem się go wam ściągnie *(podtrzymuje kubrak do ubrania Kuntzowi)* no, stójcież, tak, tu rękaw, tutaj... tak, teraz lewy, tak, wyglądacie jak Dödöli z Mainau, jakbyście winnicę mieli, bogacz, tylko jeszcze z tą szyją...

KUNTZ WUNDERLI. Trochę tylko szeroki.

WOŹNY HERMAN. Za szeroki wam? proszę, no no, teraz po krawca trudno posyłać. Rękawy wam dyndają, ale kto też ma takie gnaty tylko jak wy, skóra i kości, rąk wam nie widać, to prawda, trzeba założyć *(zakłada mu rękawy)*, tak, teraz będzie dobrze... Tylko z szyją, co z tą szyją, macie szyję jak ta, jak żyrafa. Co, nie daj Boże, batemby kto was przejechał przez szyję, to i głowa odleci zaraz... Aha.

KUNTZ WUNDERLI *(strapiony):* Możeby kołnierz podnieść... do góry?... o tak *(podnosi kołnierz)*, nie?...

WOŹNY HERMAN. Nie, czekajcie, pożyczy się wam krawata, ale po licytacyi ściągnie się *(odwiązuje sobie niebieski bawełniany fontaż i wdziewa go Kuntzowi):* Tak, tak, nawet będzie bardzo ładnie, broda do góry! tak; no teraz się popatrzcie *(wyjmuje z kieszonki maleńkie okrągłe lusterko, chucha nań i podaje Kuntzowi):* Co? aha?

KUNTZ WUNDERLI *(patrzy nieco ogłupiały w lusterko).* Ślicznie, ślicznie, człowiek sam siebie poznać nie może. Co prawda, to i z rok, może ze dwa, lusterkam nie widział... *(z lubością):* ślicznie... ślicznie...

WOŹNY HERMAN *(odbierając mu z rąk lusterko).* No, a teraz do archiwum, marsz! tam sobie siądźcie na stołku i odpocznijcie. Za moment ludzie zaczną się

schodzić, punkt 9-ta przyjdzie pan radca Storch. Tam, tam, *(wskazuje Kuntzowi ręką drzwi, Kuntz idzie do nich).* wtedy się was zawoła, a wy ostro wyjdziecie i sprezentujecie się gminie.

KUNTZ WUNDERLI *(oglądając się na woźnego).* Żeby się tylko udało, żeby się tylko udało, bo jak nie...

WOŹNY HERMAN. Uda się, uda, tylko trzymać się ostro i śmiało, kolana w tył, piersi naprzód, głowę prosto, oczy śmiało, to ta już wezmą; tyle ich tu będzie, że któryś musi wziąć. I Tödi Mayer będzie i piekarz Lorche i stary Kissling będzie i Blank i Dörfli i Springer i pan Dödöli będzie, Wallauer też mi mówił, że przyjdzie spróbować i pan Probst...

KUNTZ WUNDERLI *(nagle raptownie odwracając się z wyrazem przestrachu niesłychanego),* I pan...

WOŹNY HERMAN *(spokojnie).* Pewnie że i pan Probst, mówił samemu panu radcy, żeby czekał na niego. Ten parobek, co go wziął po nieboszczyku Hänzlim, jak na złość mu się znów rozchorował...

KUNTZ WUNDERLI *(z przestrachem).* Rozchorował?...

WOŹNY HERMAN. Rozchorował ponoś śmiertelnie, już mu tam nie wiele brakuje... Sam pan Probst musiał mleko rozwozić wczoraj, a i koło obory tyle roboty, że na gwałt mu potrzeba człowieka jeszcze.

KUNTZ WUNDERLI *(z przestrachem bełkocząc).* Potrzeba mu? Teraz? Ojoj! ale chyba, chyba parobka zdrowego, nie? Młodego...

WOŹNY HERMAN. To to nie; takie roboty to on sam

do nich i stara Probstowa dyablica, im trzeba kogoś do rozwożenia mleka. Do tego już sił nie potrzeba, ot żeby psy poganiać i krzyczeć i dzwonić. Oni do tego zawsze biorą ubogich starców z gminy, bylejakiego, byle żył, byle dychał, byle się jeszcze ruszał.

KUNTZ WUNDERLI *(powtarza zgnębiony):* ...byle się jeszcze ruszał.

WOŹNY HERMAN *(obcierając kurz z balasek)*: Ostatni był nieboszczyk Hänzli u nich... Szkoda go, szkoda... Powiesił się biedaczysko na strychu. Przedtem Kuntzman, przed Kuntzmanem Leu, przed Leuem stara Regula, ktoby tam wyliczył wszystko z gminy, co rok jeden, czasem dwóch i wszystko jakoś mrze u niego.

KUNTZ WUNDERLI *(prawie bełkocząc):* Podobno baba... podobno pani, pani Probstowa jędza, zła jędza.

WOŹNY HERMAN. No i on nie wiele lepszy, nie wiele, ale ona to już z pod ciemnej gwiazdy sekutnica; mówią, że bije ludzi, głodzi, katuje, spać muszą na glinie w oborze, pomstuje; starej Reguli jedno żebro przetrąciła, choć kto tam i wie. Stara Regula lubiała napijać...

KUNTZ WUNDERLI. Hänzli się powiesił... Wołał...

WOŹNY HERMAN. Podobno; ano słodko mu tam nie było. Kto tam dla takiego ma litość! Z gminy biorą nie wiele, marne 120 do 150 franków na rok a dają dach nad głową, żywią, odziewają, opał, to i chcą z tego wycisnąć jak najwięcej roboty. Słodko to

i wam nigdzie nie będzie, ale zawsze to nie żebra, nie dziadostwo, nie jałmużna, tylko praca i pensya i szacunek.

KUNTZ WUNDERLI *(gorzko)*: Ale Hänzli wołał się powiesić.

WOŹNY HERMAN. Bo u Probsta, ale u innych lepiej. U piekarza Lorche wszyscy tyją, w oberży w Mainau naprzykład *(nagle jakby sobie coś przypomniał)*. A przecież, Wunderli, wasz syn też może was wziąć od gminy.

KUNTZ WUNDERLI. Peter? *(nagle rozpogodzony prostując się)*. A prawda, Peter? Ano może... pewnie. On też potrzebuje. Za darmoby nie mógł w żaden sposób. Tyle dzieci, wnuków, sam ciężko haruje. Jedna gęba więcej u miski, to duża rzecz tam, gdzie i ci co do niej siedli niezawsze się najedzą. Bóg widzi, Peter za darmo nie może, ale tak, tak, gdyby gmina dodała, to spróbować może. Nie?

WOŹNY HERMAN. Ale pewnie...

KUNTZ WUNDERLI. A zawsze lepiej, o, lepiej przecież u swoich, u syna, niż żeby naprzykład... *(blednie, kolana mu się uginają, opiera się całym ciężarem na balaskach)*.

WOŹNY HERMAN. No idźcie już Wunderli, idźcie do archiwum i czekajcie na krześle. Dziewiąta dochodzi... *(patrzy przez okno)*. Pan radca już wstaje od stolika i płaci za kawę, zaraz tu będzie. I o, ludzie już idą.

(Za sceną słychać szmer rozmów i dyalogów półgłośnych. Zegar bije 9-tą. Wunderli zamyka za sobą drzwi archiwum, Herman staje przy balaskach w urzędowej postawie).

RADCA STORCH *(za sceną, żegnając się z kimś)*. Moje uszanowanie panu sędziemu, do widzenia, do widzenia. Ale przyznać pan musisz, że to jedno z najmądrzejszych, najhumanitarniejszych urządzeń społecznych szwajcarskich.

GŁOS. Tak, tak, to bezsprzecznie.

RADCA STORCH. Ratuje godność ludzką, panie sędzio, godność obywatelską, tak, godność Boga w człowieku. No, sługa pana sędziego... *(kłania się komuś i elastycznym krokiem wchodzi, kiwając uprzejmie głową zgiętemu Hermanowi. Młody, dobrze odżywiony, mięsisty szatyn z małą łysiną, z rudym wąsem, w złotych okularach. Ubrany z pewną urzędniczą elegancyą, z szerokim gorsem koszuli, na głowie stary filcowy kapelusz, z laską ze srebrną gałką)*.

RADCA STORCH *(przechodząc za balaski)*. Wszystko gotowe... dobrze. Kasa podręczna tu *(idzie do szafy, coś wyciąga z papierów, wraca, kładzie na stole, obok laskę, kapelusz, idzie do drzwi archiwum)*... Stary Wunderli tutaj?

WOŹNY HERMAN. Tak, panie radco, już ubrany; co się mogło, to się dało.

RADCA STORCH *(z za drzwi archiwum)*. Doskonale,

doskonale, brawo Herman! wyglądacie jak majętny hotelarz w kwiecie wieku, doskonale.

(Do kancelaryi z prawej strony wchodzą grupami po dwóch, trzech: Tödi Mayer, Lorche, Wallauer, Blank, Sprünger, Dödöli, Kissling, Dörfli w różnokolorowych joppach, w samych kamizelkach, niektórzy z fajkami w gębach, z rękami w kieszeniach; Blank, rymarz, w zielonym kitajkowym fartuchu, spiętym na mosiężną haftkę, Wallaner, rzeźnik, w pokrwawionym biało-brudnym fartuchu z dużym wiszącym nożem i gołemi rękami, Dödöli ubrany z pańska w białym kapeluszu na głowie, wdowa Knaus, brzydka, otyła baba w czarnokamlotowym kaftanie, z koszykiem ogrodowizny i nową szczotką pod pachą, krzykliwa i gestykująca).

LORCHE. Bóg z wami, panie Herman.

WOŹNY HERMAN. Bóg z wami, Lorche.

BLANK. Co? i papa Kissling?

KISSLING. A i ja w własnej osobie. Czy to mnie nie wolno?

BLANK. Ależ wolno, wolno, tylko...

KISSLING *(kłótliwie)*. Tylko co, no, tylko co, no? Może nie mamy równych praw, co? Może teraz rymarze więcej znaczą od kotlarzy, co? Może macie cechowe przywileje, nie?

SPRÜNGER *(kłaniając się uniżenie Dödölemu)*. Co, i pan Dödöli także staje?

DÖDÖLI. Ano, potrzeba mi na jesień jak najwięcej

ludzi, choćby i takich bez zębów już, choćby głuchych jak pień.

SPRÜNGER. Byle się to jeszcze ruszało, prawda? *(śmieje się grubo)* byle dychało, byle ptactwo straszył od winogradu, prawda?

TÖDI MAYER *(do Lorchego)*. Zawsze to mój kumie taniej przyjdzie, niż gdyby parobka zgodził, a w warsztacie roboty nie zbraknie.

LORCHE. Byle tylko więcej dawali, bo tak za marne psiakrew sto franków żywić niedołęgę, co i kołyski cholera nie ruszy, to żaden interes.

(Radca Storch pochylony z za balasek, podaje uprzejmie rękę Dödölemu i rozprawia z nim żywo).

WDOWA KNAUS. Och, macie racyę Lorche, macie. Czasem to żaden interes takie miłosierdzie.

WALLAUER *(mieszając się do rozmowy)*. No, ale czasem to się uda, ot takim Hoppingerom. Na wiosnę wzięli starą Brandlową, stara kiwnęła i trzydzieści franków zostało im na czysto.

WDOWA KNAUS. Co tam trzydzieści, to głupstwo. A Englemu; orał przecie w Aloisa więcej jak w parobka, Alois jeszcze siły miał i tęgi był, a zipnął, aż miło, choć Engli jeszcze i połowy zapomogi gminnej nie wydał...

LORCHE. Psiakrew!...

WALLAUER. Tak, tak, Lorche, to czasem złoty interes, ale zawsze ryzyko. Pan Bóg miłosierny niczyjej krzywdy nie chce.

DÖRFLI *(mieszając się do rozmowy).* Albo stary Probst...

TÖDI MAYER. Ale. Przecież ten bierze zawsze najmniej, godzi się na 100 do 120 franków, a rocznie do 300 franków zgarnia od gminy.

WALLANER. A roboty chyba nie żałuje *(śmiech).*

LORCHE. Ho, ho, i na drugi świat pomaga się ludziskom przenosić.

DÖRFLI. To ona, to Probstowa.

WALLAUER. Wszystko jedno, mąż czy żona.

LORCHE. Psia para oboje, co to gadać.

WDOWA KNAUS *(do Kisslinga).* Mnie to tam potrzeba, ale wam Kissling, chyba do pieprzu. Mnie się syn ożenił i babą swoją zajęty, a tu niema komu robić; ale wam, wam. Ja mam miłosierne serce i chętnie biedotę przyjmę z serca, z serca, z miłosierdzia chrześcijańskiego, ale wy...

KISSLING *(zaperzony).* A ja z czego, z czego? nie z miłosierdzia co, takiego Wunderlego? nie z miłosierdzia taką szczapę, takie próchno, co? Tylko wyście Knausowa, miłosierdzie wzięli w arendę, co? A potem mu każecie całe rano konewki od rzeki znosić z wodą, a potem drzewo rąbać całe popołudnie, o północy dziecko kolebać i to za miskę z knedlami na śmierdzącem maśle! Ha, ha, ha!...

(Dokoła śmiech, wdowa cała czerwona, chce wybuchnąć. Woźny Herman dzwoni dzwonkiem, jedni siadają na ławkach, inni stają przy balaskach. Radca Storch opiera się rękoma na stole, lewą ręką poprawia szkieł).

HERMAN. Proszę się uciszyć, proszę się uciszyć!

(Gwar rozmów cokolwiek cichnie, radca Storch chrząka. Gwar rozmów cichnie zupełnie. Woźny zamyka drzwi wchodowe szklane).

RADCA STORCH *(przeciągając palcem tłustej ręki między kołnierzykiem a szyją).* No moi panowie, moi panowie, mamy dziś, jak wiecie, posiedzenie sekcyi dobroczynnej w gminie. Czy tak?

GŁOSY *(z kancelaryi).* Tak, tak...

RADCA STORCH. A więc, moi panowie,—a więc możemy zaczynać...

GŁOSY. Tak, tak *(krząkania i szmery).*

RADCA STORCH. Wiadomo panom, jak opiekuńcze są ustawy gminy. Wiadomo panom, że gmina nie dozwala cierpieć nędzy żadnemu ze swoich członków. Ociera łzy, odziewa nagich, karmi głodnych, bezdomnym daje dach nad głową, słabych wspiera *(pauzuje).* Ustawy gminy są ustawami chrześcijańskiego miłosierdzia, są one nie tylko naszą zdobyczą cywilizacyjną, ale naszą chlubą. Wiadomo panom, że młodość nie trwa, siły opuszczają, choroba i bieda łamie *(obejmując oczyma całą salę).* Jest to powszechne prawo, któremu ulega świat cały. Ale nasza gmina podejmuje walkę z tem prawem. W jaki sposób? W bardzo prosty: przygarnia tych, których skrzywdziło życie, przygarnia nędzarzy i wydziedziczonych, przygarnia kaleki i niemocne starce *(pauzuje i dumnie wodzi zadowolonem okiem po sali).* Tak, moi

panowie. Gmina przygarnia ich i godząc rozumną rachubę z porywami serca, mówi: Starzec ten, nędzarz ten, ten kaleka nie może już wyżyć ze swej pracy. Owszem, nie może już pracować! Niema on rodziny, którąby go żywić mogła, lub też ma rodzinę biedną, której praca ledwie starczy, by głodu nie zaznać. Mamże go puścić, by się włóczył po drogach, jak wstrętny żebrak. Nigdy! *(potrząsa głową i energicznie podnosi głos).* Woźny, wprowadź kandydata.

HERMAN *(przechodzi obok balasek do drzwi archiwum, otwiera je).* Wunderli, chodźcie.

(Między zebranymi półgłośny szmer. Kuntz Wunderli wchodzi, blady z emocyi, trzymając się oburącz uszaków drzwi. Szmer głośnieje).

LORCHE *(ironicznie).* To kandydat, psiakrew...

WDOWA KNAUS. Na miłosierdzie Boże, cóż to za kandydat?!

BLANK. Któżby to wziął do siebie takiego trupa?...

WALLAUER. Co za pomoc z takiego przy robocie... Co za wyręka?

SPRÜNGER. Ciekawa rzecz, co też gmina dać myśli za wzięcie takiego...

LORCHE. Psiakrew, próchna...

BLANK. Skóra i kości, nic tylko skóra i...

KISSLING. No, no, no, nie wymyślajcie ino tak, zawsze to człowiek, a tu gębami mielą, że aż mdło się robi człowiekowi.

DÖRFLI *(wkładając czapkę na głowę i machając ręką).*

I, do dyabła z taką licytacyą, gdybym był wiedział, nie byłbym tyle drogi lazł *(wychodzi trzaskając drzwiami, które nie zamykają się, ale zostają otwarte).*

RADCA STORCH. Przepraszam panów, nie skończyłem. Otóż moi panowie, piękne nasze ustawy wygnały z ziemi naszej żebraniną, a wprowadziły do niej miłosierdzie. Niema już opuszczonych, panowie, nie mamy nędzarzy! Gmina jest ich matką, gmina żywicielką. Oto jest starzec niezdolny do pracy, to jest powiedziałbym, do ciężkiej pracy, tragarz Kuntz Wunderli, człowiek prawie jeszcze w sile wieku, niejedną posługę z niego jeszcze mieć można. Kto z panów chciałby więć wziąć go do siebie? Gmina nie wymaga tego darmo, o nie. Gmina gotową jest, podług ustaw swoich, podług starych naszych ustaw, przyczynić się do utrzymania tego starca... Kandydacie Wunderli, przybliż się! Panowie, przypatrzcie się kandydatowi...

(Niektórzy wstają z ławek i podchodzą do balasek, Lorche wybucha brutalnym, szyderczym śmiechem. Radca Storch ociera pot z czoła. Kuntz Wunderli popchnięty lekko z tyłu przez woźnego Hermana, podchodzi z za drzwi. Pełne światło słońca oświeca go. Jest ogromnie wzruszony, kolana się pod nim uginają, nie wie co robić z rękami, w rękach mnie kurczowo stary filcowy kapelusz. Wreszcie, nagle prawie, uśmiecha się odwracając twarz do zebranych, cokolwiek nawet filuternie

i kiwa głową. Głowa zaczyna mu się trząść ze wzruszenia, dwie łzy spadają na policzki).

WALLAUER. Co mu się przypatrywać, toż my go codzień widzimy.

TÖDI MAYER. Stary ledwo dycha, nie udźwignie, nie uciągnie...

LORCHE *(twardo).* Grzyb.

BLANK *(do woźnego).* Jak myślicie, panie woźny, ile ma stary?

WDOWA KNAUS. A pewnie z ośmdziesiąt, a może i więcej...

DÖDÖLI *(głośno).* Ile macie stary?

KUNTZ WUNDERLI *(chrypliwie).* Siedemdziesiąt i cztery... Siedemdziesiąt i cztery...

TÖDI MAYER. A pokażno zęby stary?

(Kuntz Wunderli patrzy trwożnie na woźnego, potem rozszerza zeschłe wargi i pokazuje zęby zebranym).

WALLAUER. Ho, ho, a toby i kość ugryzł!

BLANK. Chleba się nie zlęknie!

SPRÜNGER. A machnijno ty stary pięścią.

(Kuntz Wunderli podchodząc krok naprzód, podnosi głowę, prostuje grzbiet, poczem macha kilka razy ręką, która opada za każdym razem).

KISSLING. A co, nieźle macha.

TÖDI MAYER. Aż w stawach trzeszczy.

BLANK. A jakie nogi, stary co? Maszerujno stary...

(Wunderli tracąc śmiałość, coraz więcej zmieszany, z największym wysiłkiem podnosi jedną nogę i stawia ją natychmiast na tem samem miejscu).

WDOWA KNAUS *(śmiejąc się).* O, coś nie idzie.

WALLAUER. Ta nóżka gorsza, może druga...

(Kuntz Wunderli podnosi drugą i zaraz opuszcza, syknąwszy z bólu. Szmer śmiechu).

GŁOSY. Dalej, dalej, śmiało!

LORCHE. Maszerować do kroćset dyabłów!

(Kuntz Wunderli nie może ruszyć się).

RADCA STORCH *(niecierpliwie).* Czego stoisz stary? śmiało ruszaj z kąta!

(Kuntz Wunderli uśmiecha się boleśnie, wytrzeszcza oczy, wyciąga szyję, prostuje się, przyciska rękami kolana i zaczyna maszerować, zaciska zęby, podnosi nogi, jak kije. Ogólny śmiech).

GŁOS *(z sali).* Raz dwa, raz dwa...

(Herman zasłania usta chustką i parska śmiechem. Radca Storch zasłania twarz aktami i parska śmiechem. Ktoś bije laską w takt o ziemię).

GŁOS I. Marsz, marsz...

GŁOS II. Dobry, dobry... brawo!

(We drzwiach ukazuje się Peter Wunderli z fajką w ustach, trzymając za jedną rękę dwunastoletniego wnuczka, a na ramieniu rocznego dzieciaka. Kuntz Wunderli przypadkiem odwraca doń głowę, spostrzega go, staje i blady sztywnieje i patrzy w syna z przeraźliwym strachem).

WDOWA KNAUS. Bagatela! Peter.

LORCHE. Peter!

(Szmer).

WDOWA KNAUS. A to heca!

(Kuntz Wunderli nagle zasłania twarz rękoma i cofa się krok w tył, jakby odpychał marę).

HERMAN *(szarpiąc go brutalnie za rękaw).* Cóż u dyabła Kuntz, stoicie jak głupi. Pan radca czeka, naprzód! *(podtrzymuje go i obaj posuwają się zwolna).*

RADCA STORCH *(zdenerwowany).* No, moi panowie, czy przypatrzyliście się kandydatowi?

WALLAUER *(ironicznie).* Jest tam na co patrzeć, no.

BLANK *(do Petra Wunderlego).* Nie tęgi w pęcinach wasz stary...

SPRÜNGER. Oj, co to, to nie tęgi?

KISSLING. On nas jeszcze wszystkich przeskoczy. Zuch stary, nie urągajcież tyle?

TÖDI MAYER. Ani bym na to chuchro nie spojrzał, gdyby tu był inny...

DÖDÖLI. Tak, na dobrą sprawę i taki jeszcze się przyda.

RADCA STORCH *(uderzając lekko linijką po stole).* Moi panowie, kończmy. Kandydat, tragarz Wunderli, przedstawiony przez sekcyę dobroczynności gminy, ze wszech miar zasługuje na waszą uwagę. Zdrów jest jak ryba, niezbyt podeszły w latach, siły, chwalić Boga, dobrze mu służą i do każdej lżejszej roboty przydać w domu się może. Kto z panów reflektuje i z jaką dopłatą!

(Cisza krótka. Sprünger podchodzi aż za balaski).

RADCA STORCH. Moi panowie, pan Sprünger zaczyna. Panie Sprüger prosimy! Jakiej dopłaty żądałbyś od gminy za przyjęcie w dom swój kandydata?

SPRÜNGER *(cedząc niepewnie).* Dwie... dwie...ście franków.

GŁOSY. Dwieście...

RADCA STORCH *(udając wzburzenie).* Co? Dwieście franków? *(pauzuje).* Nic nie byłoby dla mnie milszego nad taki stan finansowy gminy. któryby sekcyi jej dobroczynności pozwalał na podobne kolosalne wydatki. Gdy jednak tak nie jest, musimy to uwzględnić i stawiać przystępniejsze cyfry. Namyślcie się, panie Sprünger. Jakże moi panowie? Czy widzieliście naprzykład choćby zęby kandydata? To człowiek silny jeszcze.

WALLAUER. I cóż tam zęby! To gorzej jeszcze, że zdrów! Jak się stary rozje, to go nie natkam, a do roboty go nie stanie.

TÖDI MAYER. Oho! niech go tylko weźmie pan Kissling. Już go ta napędzi do roboty.

KISSLING *(w pasyi).* Ja, ja? Toż ja i na dziecko palca nie zakrzywię. To wy potraficie w warsztacie chłopców zakatowywać!

LORCHE *(śmiejąc się).* A to go wziął szelma!

TÖDI MAYER. Ja, ja? niedoczekanie wasze. Czy to ja mam kotlarski warsztat? *(wymachuje rękami).*

RADCA STORCH *(uderzając linijką w stół).* Moi panowie. Przystępujemy do ukończenia sprawy. Czas urzędowych osób jest ograniczony i ja, z przykrością wyznać to muszę, nie należę tylko do siebie. Pan Sprünger podał dwieście franków, kto z panów licytuje in minus *(pauza).* Panie Sprünger, namyślcie się, proszę.

SPRÜNGER. Jużem się namyślił. Mniej nie mogę niżli dwieście franków.

RADCA STORCH *(odwracając się od niego).* Kto licytuje panowie? Kto licytuje?

BLANK. Sto ośmdziesiąt wezmę. Ale niech tę zimę przynajmniej w swojem ubraniu chodzi. U mnie w warsztacie ciepło.

DÖDÖLI *(głośno).* Sto ośmdziesiąt, z tym samym warunkiem!

RADCA STORCH *(zdenerwowany, bawiąc się koralowym brelokiem).* Dalej, moi panowie, dalej, kto licytuje?

TÖDI MAYER. Sto siedmdziesiąt i... i... i... pięć.

(Cisza).

RADCA STORCH. Sto siedemdziesiąt pięć. Kto dalej, kto dalej... Ogromnie dzisiaj twardo idzie.

TÖDI MAYER. Powtarzam: sto siedmdziesiąt i pięć!

(Cisza dłuższa. Kuntz Wundeli wyciągnął z przestrachem szyję i dygota na całem ciele. Cisza).

PETER WUNDERLI *(stłumionym głosem, prędko).* Sto sześćdziesiąt!

(Cisza niechętna. Jedni patrzą na drugich. Ktoś westchnął ciężko).

RADCA STORCH. *(wodzi oczyma po wszystkich, krząka nieswoim głosem, z lekką chrypką).* A więc utrzymuje się, moi panowie ostatnia, tego ostatnia, ta no ostatnia oferta, tak sto sześćdziesiąt. Cieszy mnie...

LORCHE *(splunąwszy na ziemię raptownie, do siebie).* Czekajże psiakrew! *(głośno).* Sto pięćdziesiąt i pięć!!

(Peter Wunderli cofając się do balasek, ciągnie małego synka, który mu się opiera. Cisza).

MAŁY MAKS *(przenikliwym głosem, ociągając się).* Dziaduś, dziaduś!

(Kuntz Wunderli patrzy na wnuczka z groteskowo-rozrzewnioną miną).

PETER WUNDERLI *(stojąc jeszcze na uboczu z synkiem, z twarzą do ziemi pochyloną, cicho).* Sto pięćdziesiąt.

LORCHE *(spojrzawszy nań przeciągle, porywa się z miejsca).* Tak? Czekajże *(wrzaskliwie).* Sto czterdzieści pięć!

(Cisza. Peter Wunderli patrzy nań przenikliwie, zlekka zmrużywszy oczy, trze czoło ręką, zdaje się głęboko namyślać, patrzy na Kuntza Wunderli, poczem mocno przyciska młodsze dziecko do piersi i pochylony, zgarbiony, ciężko idzie, ciągnąc chłopczyka do drzwi. Gnębiąca cisza).

RADCA STORCH *(chrząknąwszy niepewnie).* A zatem sto czterdzieści i pięć franków: Po pierwsze *(pauza)...* po drugie... *(Cisza).*

TÖDI MAYER *(przerywając)*. Za pozwoleniem, panie radco. Czy tylko jopa należy istotnie do starego?

RADCA STORCH *(marszcząc czoło, sucho i z godnością)*. To nie może wchodzić w zakres roztrząsań gminy.

(Herman odwracając się do kąta, symuluje atak kaszlu)

LORCHE *(z wściekłością rzucając się do balasek)*. A do cholery. Jakto nie może, co? Gmina musi wiedzieć, co daje, a ten, kto bierze, musi wiedzieć, co bierze, psiakrew.

BLANK. To jasne!

(Ogólne poruszenie i irytacya).

TÖDI MAYER *(z pasyą)*. Jopa twoja, stary?

WALLAUER *(również ze złością)*. Słyszysz, stary? Pożyczył ci kto jopy, czy własna?

(Kuntz Wonderli rzuca błagalne spojrzenia na woźnego) Herman zły szarpie balaski, zmięszany. Cisza).

LORCHE. Ależ to nikczemne oszukaństwo.

GŁOSY. Tak, tak.

TÖDI MAYER. Człowiek ma miłosierdzie... bierze sobie za marny grosz taki ciężar na kark, a tu...

BLANK. Ale przecież każdy chce, aby interes był porządnie zrobiony, to trudno.

WALLAUER. To oburzające.

WDOWA KNAUS. I to z wiedzą urzędu gminnego! No, no, no! Sam pan radca.

LORCHE. To szelmostwo poprostu.

SPRÜNGER. I ja głupiec brałem tylko dwieście franków.

TÖDI MAYER *(bijąc się dłonią w czoło)*. A ja idyota chciałem go brać za sto czterdzieści...

(Gwar wzrasta, ogólna niechęć).

BLANK *(urągliwie)*. Tożto krawat pana woźnego Hermana.

WDOWA KNAUS. I jopa pana woźnego; ja ją zaraz poznałam, łatwo poznać, tamtego roku kupiona.

TÖDI MAYER. To bezczelność, panie Herman. Wstydźcie się, żeby urzędnik gminy i tak gminę...

LORCHE. Oszukiwał, psiakrew. Co tu obwijać w bawełnę: O... szu... ki... wał.

HERMAN *(w irytacyi)*. To nie z mego rozkazu, panie Lorche. Hamujcie się.

LORCHE. A z czyjego, radbym wiedzieć, hę?

(Cisza. Kuntz Wunderli zesztywniał, ręce mu opadły).

RADCA STORCH *(w największej pasyi)*. Ściągaj kurtę!!! *(obciera sobie pot z czoła)*.

(Kuntz Wunderli próbuje kurczowo odpinać guziki, ale nie może i szamoce się, woźny Herman z gniewem odwiązuje mu krawat, mnie i rzuca w kąt pod szafę: poczem odpina guziki).

HERMAN *(do Wunderlego chrypliwym głosem)*. Kapuściana głowo! Niedołęgo stary! Wszystko przez ciebie *(popycha go brutalnie i zdjęty kubrak rzuca na balaski)*.

(Kuntz Wunderli staje naprzeciw widzów z zgiętemi ko-

lanami, zapadłymi piersiami, ktore zakrywa wychudłą dłonią, blady i wystraszony. Śmiech, ale przytłumiony; niektórzy kiwają litościwie głowami, dwóch idzie do drzwi i wychodzi, trzaskając niemi. Cisza).

KISSLING *(szyderczo wskazując nań palcem).* Ecce homo!

(Ogólny wybuch śmiechu).

SPRÜNGER. Oczywiście cofam słowo.

TÖDI MAYER. I ja także.

LORCHE. Cofam moje sto czterdzieści pięć wobec tych świństw i oszukaństw...

RADCA STORCH *(nieśmiało).* Nie wolno cofać słowa.

TÖDI MAYER. Jakto nie wolno? Woźny nie przybił jeszcze.

LORCHE *(obracając się tyłem do radcy Storcha).* Czekaj, będziesz ty mnie miał, niedoczekanie twoje...

GŁOSY. Nie przybił, nie przybił, oczywista, nie przybił!

(Ogólny gwar, niechętny i zmieszany).

WALLAUER. Za takiego łachmaniarza nie brałbym i dwieście dwadzieścia franków.

WDOWA KNAUS. Ani dwieście pięćdziesiąt. Miły Boże! Skóra i kości, nic więcej, trup, trup,

RADCA STORCH. Więc nikt nie oferuje mniej?

GŁOSY. Nikt, nikt...

RADCA STORCH *(w najwyższej pasyi, bijąc ręką w stół).* Mała szkoda, moi panowie. Nie weźmiecie wy, weźmie stary Probst...

GŁOSY, Probst, Probst! Niema Probsta.

TÖDI MAYER *(ironicznie).* Niema Probsta.

RADCA STORCH *(wychylając się z nad stołu).* Niema, to będzie. Gmina nie potrzebuje od panów łaski. Gmina nie siedzi na złocie. Gmina musi się liczyć z groszem. Gmina ma wydatki, duże, bardzo duże wydatki, a panowie... Zresztą... zresztą miłosierdzie moi panowie, jest dla niej rzeczą świętą *(podnosząc głos, krótko i dobitnie):* ale i w miłosierdziu miarę zachować należy.

KISSLING. Dobrze, dobrze. Ja biorę, panie radco, ale gmina daje równe dwieście.

(Radca Storch idzie wielkim krokiem ku balaskom — wszyscy w nerwowem naprężeniu. Kuntz Wunderli staje rozpromieniony, uśmiechnięty, podnosząc głowę do góry. Cisza. Za drzmiami z prawej strony słychać krząkanie głośne i splunięcie, poczem we drzwiach ukazuje się Probst.

WSZYSCY *(szmer).* Probst, Probst.

PROBST *(wielkim krokiem podchodzi do balasek).* Dobry dzień, panie radco Storch.

RADCA STORCH. Dobry dzień, panie Probst. Właśnie kończymy *(dobitnie).* Więc pan, panie Kissling, żąda dwieście równe franków? Kto licytuje i n m i n u s?...

(Cisza).

PROBST *(do zebranych).* Ile? Dwieście?

GŁOSY. Dwieście, tak.

(Probst opierając się ciężko dłonią na poręczy balasek,

patrzy w Kuntza Wunderlego, jak wąż w ptaszka, świdrująco, bezlitośnie mierząc go z góry do dołu. Kuntz Wunderli kurczy się, chowa głowę w ramionach, przyciska do boków kościste łokcie, maleje).

PROBST *(do radcy Storcha).* M n i e gmina da tylko... sto dwadzieścia pięć.

(Szmer lekki i przestrach, wszyscy z litością patrzą na Kutza Wunderlego. Ten stoi, jakby wrósł w podłogę: oczy mu się rozszerzają, dolna szczęka coraz niżej opada — kurczy się.

RADCA STORCH *(wesoły, poprawia gorsu, daje znak ręką woźnemu i wraca za stół).* Więc pan Probst sto dwadzieścia pięć... tak ?...

PROBST. Tak jest, panie radco...

WOŹNY HERMAN *(stukając laską w w podłogę).* Po raz pierwszy... po raz drugi... po raz trzeci *(uderza laską w podłogę, wszyscy ruszają się ze swych miejsc).*

ZASŁONA SPADA.

WALC BARONA (!) MOLSKIEGO

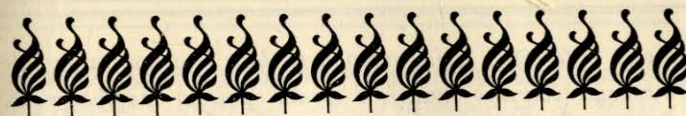
KOMEDYA W JEDNYM AKCIE

OSOBY:

KONSUL KORYTKO.
PANI KORYTKOWA.
MELA KORYTKÓWNA.
NIUSIA KORYTKÓWNA.
MECENAS DR. KRAFT.
RADCA TUMAŃSKI.
BARON MOLSKI.
GOŚĆ, aranżer.
GOŚĆ zamaszysty
Panie w balowych tualetach, Panowie we frakach.
Służba.

Rzecz dzieje się w spółczesnej Warszawie. Scena przedstawia pokój urządzony w stylu bogatej burżuazyi warszawskiej, przytykający z lewej od widzów do obszernego, rzęsiście oświetlonego salonu, przygotowanego do tańca a widocznego przez bardzo obszerne drzwi z szeroko odchylonymi ciężkimi portyerami. Tuż przy drzwiach otwarte pianino tyłem do widzów z dwoma zaświeconymi kandelabrami kryte kilimkami. Na środku pokoju pod wiszącym żyrandolem stolik kryty obrusem, na nim tacki z kanapkami i butelki z winem. Od widzów z lewej szeroka otomana

ze stosem poduszeczek, nad nią na dywanie porozwieszana armatura, szable, strzelby, rogi. Na ziemi rozłożona szeroka skóra kozia, kilka fotelików, mały stoliczek. W rogu oleandry i kwiaty. Od budki suflera ukośnie postawiony modny parawanik japoński otoczony wazonami kwiatów, z prawej okno zasłonięte ciężką portyerą, przed nim puf okrągły, bliżej widzów w rogu kozetka, stolik, dwa fotele, fotel huśtający na biegunach. W głębi meble w dowolnem ugrupowaniu, w środku drzwi, przy drzwiach półeczki z nutami. Na stoliku z prawej od widzów butelka z winem i kieliszki. Z akcesoryi charakterystycznych obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, a pod nim zapalona lampeczka oliwna. Na jednym z stolików położone album z fotografiami i grammophon, na ścianie przy stoliku z prawej wisi oprawna za szkłem fotografia jubileuszowa, przedstawiająca grono młodych ludzi w uniwersyteckich mundurach.



Przy podniesieniu kurtyny siedzi u pianina baron Molski czterdziestoletni, mocno szpakowaty mężczyzna o starannie wygolonej steranej twarzy z wybitnem arystokratycznem piętnem. Dłuższe nad normalną miarę włosy, uczesane przesadnie w rozdział biegnący przez całą głowę. Frak i cała garderoba dobrze leżące, ale porządnie zniszczone. Z oczu przebłyskuje niekiedy boża iskra zatraconego w życiu artyzmu. Molski gra piątą figurę kadryla, mechanicznie i silnie wybijając takt.

W sali balowej goście tańczą, słychać gwar, tupot i głos komendy aranżerskiej: chaine de dames, chaine de dames, prawa rączka damie, rrrondo, panowie koszyczek! Lokaje kręcą się.

Przy stoliczku z winem z prawej siedzą konsul Korytko otyły, poważny gentleman z fizyonomią bankierską, chytrą a patryarchalną i radca Tumański, niski siwy staruszek z wyrazem bezradnej głupoty, lecz i lubieżności. Obaj panowie popijają wino, pochyleni nad sobą w serdecznej rozmowie: Tumański siedzi tyłem do parawanu, konsul Korytko twarzą.

Molski gra, goście tańczą, konsul Korytko stara się widocznie ująć słowami Tumańshiego, przedkłada mu coś bardzo serdecznie, poczem wyciąga portfel, z portfelu jakieś papiery, rozciąga je na stoliku, pochylają

się, oglądają, piją wino, zapalają cygara, wreszcie konsul Korytko wstaje i wodzi palcem po fotografii. Z sali balowej słychać klaśnięcie, Molski w dwóch trzech akkorkach kończy, piątą figurę kadryla i ręce z lekceważeniem, czy znużeniem opadają mu jak cepy w dół. Goście kończą tańczyć, wchodzą grupkami. Gwar.

KONSUL KORYTKO *(wstając i wodząc palcem po fotografii).* Ot niezapominaj radca, że to stare czasy... to ja... to nasz cały Dorpat, ludzie obecnie na stanowiskach społecznych, ho ho luminarze mój radco, ten książę Montwiłł, obecnie marszałek szlachty, ten Trachimowski na kolejach świetnie spekuluje, ten widzisz to dzisiejszy radca Portner przy towarzystwie kredytowem, wtedy miał pasyę rozmaite wesołe panny fotografować bez sukni, ten to Gustaw Molski, baron co się ożenił z wdową po ordynacie Zawiszy, tą starą żydówicą. Teraz siedzą w Paryżu.

TUMAŃSKI *(wstając ciężko z fotelu, głośno).* Który Molski?

KONSUL KORYTKO *(oglądnąwszy się na Molskiego, kładąc palec na ustach).* Pst, tam jego brat *(wskazując na Molskiego).*

TUMAŃSKI *(z ogłupiałem zdziwieniem).* Co? To jego brat, tego Molskiego? Męża milionerki, ordynatowej? Co?

KONSUL KORYTKO *(uciszając go).* Tak, tak, no nic dziwnego, zaraz radcy opowiem *(pokazując na fotografii).* Oto ten, to baron August Molski, tak, mój przyjaciel, największa stajnia wyścigowa w Polsce, a ten co tam siedzi, grajek, to jego rodzoniuteńki, krew krwi że tak powiem, kość z kości *(sentencyonalnie).* W arystokracyi wszystko możliwe mój radco... Zresztą i barona Augusta żona żydówica ostro trzyma, chciała go, uważasz, po śmierci ordynata wziąć na utrzymanie, ale nie dał się szelma...

TUMAŃSKI *(głupkowato).* Hi, hi, hi.

KONSUL KORYTKO. Powiedział, albo po sakramencie, na kobiercu ślubnym, czy jak tam, albo nigdy. Baba rok myślała, gryzła się, szarpała, wreszcie dała za wygrane i na zapowiedzi. Ale mu szelma wydziela rubel po rublu, sama interesa wszystkie prowadzi a baron August ma 600 rubli miesięcznie, że tak powiem do pończoszki, czy na szpilki... *(śmieje się).*

TUMAŃSKI. Nigdy nie myślałem, że to tak...

KONSUL KORYTKO. O mój radco. *(gorzko).* W arystokracyi wszystko możliwem. Studentom, co go tamtego roku o coś prosili na zażegnanie fatalnej trzynastki, dał uważasz to, co miał pod ręką, futro, uważasz radca futro stare, jeszcze chyba po ordynacie nieboszczyku, foki Zawiszów, bez wiedzy starej; studentom, żeby sprzedali. Wzięli, poszli...

TUMAŃSKI. No wie pan konsul, że to niesłychane!

KONSUL KORYTKO *(krzykliwie).* W arystokracyi wszystko możliwe. Chociaż swoją drogą mój radco, czy mając 600 rubli miesięcznie, można bratu poma-

gać? I to takiemu bratu... *(wskazuje łokciem na Molskiego):*

(Dwóch lokai kręci się ustawicznie z winem między stolikami a salą balową, Molski wstał na chwilę, odebrał od lokaja kieliszek z winem i pije, poczem wraca na swoje miejsce, kładzie ręce na klawiszach i czeka, oglądając się od czasu do czasu z znudzeniem i zniecierpliwieniem, to na rozmawiających, to na gości uszykowanych w sali do szóstej figury kadrylowej).

TUMAŃSKI. Aha... aha. Teraz coś, wie pan konsul, przypominam sobie. *(przyciszonym głosem)* Ten dawniej coś komponował, zdaje mi się, muzykus, artysta... *(śmieje sie głupawo, złośliwie).*

KONSUL KORYTKO *(z lekceważeniem).* E, takie tam komponowanie. To chyba bardzo dawno! *(nalewa radcy wino),* zresztą byłoby o tem coś w »Echu«. Ot pański wyjadacz! Jego pokolenie przeszło; że tak powiem, fal powrotnych niema, no i cóż ma robić taka zbakierowana egzystencya? Brat brata na utrzymaniu starej żydówicy, więcej nic! On już od kilku lat tak asystuje rozkoszom ludzkim, mordując klawicymbały.

TUMAŃSKI *(z głupią litością).* Biedny człeczyna!

KONSUL KORYTKO. No, no! Jakoś tam przytem bufonuje jeszcze. Nie można go obstalowywać, tylko trzeba pisać, że konsulowie Korytkowie mają zaszczyt zaprosić pana barona na zabawę tańcującą od godziny

9-tej do 6-ej rano. Godzina według zwykłej taksy. Pieniądze posyła mu się w kopercie i t. d. *(śmieje się).*

TUMAŃSKI. Nie! To nadzwyczajne! *(kicha od śmiechu).*

KONSUL KORYTKO. W arystokracyi, mój radco, wszystko możliwe, wszystko... My go zawsze bierzemy ot tak dla zabawy, wogóle on ma liczną klientelę, bo, bo wielu rodzinom sprawia to pewną satysfakcyę, że im gra do tańca arystokrata, pan, szwagier ordynatowej, Molski, baron! U Czystogórskich, u Złotopolskich, u Majnlenderów, u Sandomirskich, we finansach zawsze Molskiego tylko biorą.

(W sali balowej słychać głośne klaśnięcie, aranżer krzyczy: galop. Molski z mechaniczną szybkością zaczyna grać galopkę, pozwalając sobie często na awanturnicze akkordy, dziwaczne arpedżia, uderzenia jednym palcem i t. d.).

(Konsul Korytko i Tumański rozmawiają dalej półgłosem. Do pokoju tańcząc wpada młoda para, mecenas dr. Kraft z wybitnie semicką fizyognomią, wąsami a la Kaiser Wilhelm. trzymając wpół Melę Korytkównę. Tańcząc dobiegają do lewej strony i mecenas Kraft niespodziewanie rzuca lekko Melę na otomanę i przyklękując lekko jednem kolanem na otomanie, zaczyna ją silnie obcałowywać po dekoltowanym biuście i włosach. Mela obydwoma rękami broni się, wreszcie jedną ręką odtrąca silniej mecenasa Krafta. Ten upada na skórę kozią; leży. Oboje zaczynają się serdecznie śmiać, Mela aż

zanosi się od śmiechu. Mecenas dr. Kraft leżąc zapala papierosa, Mela coś poprawia sobie przy biuście).

(Goście tańczą zapamiętale, Molski gra z coraz swobodniejszymi fantazyami, z sali balowej wychodzi pani Korytkowa silnie dekoltowana mama. Zobaczywszy leżącego na dywanie mecenasa Krafta, który całuje pantofelki Meli i Melę zanoszącą się od śmiechu i uderzającą mecenasa drugim pantofelkiem po głowie — robi grymas złości i z oburzenia staje).

(Konsul Korytko i radca Tumański w trakcie rozmowy rozczuleni padają sobie w objęcia, Molski pompatycznym akordem kończy galopkę, z sali balowej brawa i krzyki: bis, bis, bis).

PANI KORYTKO *(brutalnie przystępując do Krafta i Meli).* Moi drodzy, ja widzę...

(Mela i Kraft wystraszeni, przybierają towarzyską normalną pozycyę, Kraft wstaje prędko).

PANI KORYTKO *(do Meli, ostro).* Powinnaś choć mieć wzgląd na to, że tam *(wskazuje na parawan)* siedzi ojciec...

MELA. Ależ moja mamo, myśmy nic takiego...

PANI KORYTKO *(ostro).* Ja nie wchodzę w to, na coś pozwalała panu Kubie... *(wskazuje na Krafta)*, ale na drugi raz uważajcie proszę, gdy w tymsamym pokoju jest... papa.

MELA *(lekceważąco),* Ech, co papa!

PANI KORYTKO *(podniesionym głosem, jarmarcznie).* Jak już nie papa, to twój narzeczony. Nie raczyłaś

uwzględnić *(przycisza głos)*, że tam z papą siedzi i radca Tumański, a w wieczór zaręczynowy dawać mu takie spektakle, to co najmniej przedwczesne.

(Konsul Korytko i radca Tumański wstają ze swych foteli, konsul bierze pod rękę radcę Tumańskiego i niepewnym kordyalnym krokiem idą w głąb pokoju, stają, trzymają się za klapy surduta, coś gestykulują, idą o krok, znów stają):

(Molski leniwym ruchem wstał od fortepianu, podstąpił do stolika, z kasetki wyciąga cygara, próbuje, patrzy pod światło, wreszcie wybrawszy jedno, zapala, idzie w kąt za fortepian, siada. Paląc cygaro dość impertynencko od czasu do czasu spogląda na innych).

MELA. Ależ moja mamciu, myśmy doprawdy nic takiego, to przywidzenie chyba; panie mecenasie?

DR. KRAFT. W samej rzeczy, w samej rzeczy, pani konsulowa dopatrzyła się czegoś, co...

PANI KORYTKO *(z pasyą).* Co pana znów zdemaskowało? Mela, idź zaraz do gości, bezwstydna!

(Mela stoi zażenowana, konsul Korytko i Tumański podchodzą do nich).

TUMAŃSKI *(słodko do Meli).* Och niedobra pani, tak się męczyć tańcem, cała buziuchna czerwona.

KONSUL KORYTKO. O i moja pani *(biorąc wpół Korytkową)* musiała się nakręcić, bo cała rumiana jak piwonia.

MELA *(do Tumańskiego z nadzwyczajnie skromną minką, obłudnie).* Och nie! Ja wiele nie tańczyłam. Ja nie

przepadam znowu za tańcem, mnie ten gwar zabawy razi, panie radco *(spuszcza oczy skromnie)*.

MECENAS KRAFT *(chytrze do Tumańskiego)*. Panna Mela zawsze powtarza, że jej najwyższym szczytem szczęścia, to zacisze gniazda rodzinnego, to ciepły zakątek...

PANI KORYTKO *(do radcy)*. O tak, panie radco, my z mężem tak chowaliśmy córki, aby w nich rosła z latami nie żądza zabaw i strojów, wielkomiejskość i próżność, a właśnie skromność, oszczędność i umiłowanie kąta rodzinnego. Wielki świat... to zwodny świat *(wzdycha ciężko)*.

RADCA TUMAŃSKI *(wodząc po wszystkich serdecznem spojrzeniem)*. To dobrze, to bardzo dobrze, tak, tak być powinno, zawsze przystosowanie się do warunków, w jakich się żyje, równomiernie ze stanem... .

KONSUL KORYTKO. Oto, oto to święte słowa, kochanego radcy, te same, które ja w domu zawsze powtarzam. Trzymać się sfery i obyczajów sfery. W arystokracyi wszystko możliwe, dzieją się rzeczy, że włosy stają na głowie, ale to tylko piana, że tak powiem, na piwie.

MECENAS KRAFT *(z uśmiechem)*. Oto świetna allegorya fachowca!

KONSUL KORYTKO. A tak, a tak, niech każdy ma poczucie godności własnej sfery, a będzie w naszym kraju co raz lepiej. Czy ja browarnik »en gros« pozowałem kiedy na hrabiego? Nigdy. Z hrabiami kil-

koma jestem »per du«, ale znam dystans i ludzie mnie znają.

RADCA TUMAŃSKI *(ściskając mu ręke z rozrzewnieniem)*. To piękne, to piękne, to bardzo piękne...

PANI KORYTKO. No, chodźcież do salonu, moi kochani.

KONSUL KORYTKO. Tak, tak, teraz do gości.

PANI KORYTKO. Jeszcze jeden walc, a potem podadzą nam kolacyę.

KONSUL KORYTKO *(jowialnie, biorąc pod rękę radcę)*. I to nie angielską, he, he, he, nie zimne niestrawności, a porządną staropolską kolacyjkę z szampitrem, he, he.

RADCA TUMAŃSKI *(wysuwając ramię z ramienia konsula i odwracając się do Meli)*. A może moja przyszła, moja przyszła połowa, tego, da mi swą rączkę, co?

(Mela z niesłychaną skromnością, spuszczając główkę w dół podaje mu rękę w ramię i razem przechodzą do bawialnej sali, za nimi konsul Korytko klasnąwszy w dłonie lekko i zacierając je z zadowolenia).

(Mecenas Kraft chce iść również, ale chwyta go za rękę pani Korytkowa i powstrzymuje).

PANI KORYTKO. Gdzie?

DR. MECENAS KRAFT. Tańczyć!

PANI KORYTKO. Demoralizować Melę?

DR. KRAFT *(ironicznie)*. Obtańcowywać gości pani konsulowej.

PANI KORYTKO *(z pasyą).* Jesteś bezczelny.

DR. KRAFT *(spokojnie).* Nie brałaś dzisiaj tuszu.

PANI KORYTKO. Doprowadzasz mnie do ostateczności.

DR. KRAFT. I bronię cię przed śmiesznością.

PANI KORYTKO. Pchasz do ruiny matkę, a chcesz uwodzić córkę...

DR. KRAFT. Jestem podporą życiową pani konsulowej, a chronię przed dezilluzyami życiowymi córkę pani konsulowej.

PANI KORYTKO. Sprowadzasz hańbę na nasz dom.

DR. KRAFT. Jestem pierwszym konsumentem piwa firmy Korytko, Herman et Companie, syndykiem firmy, akcyonaryuszem firmy i istotnym przyjacielem domu.

PANI KORYTKO *(z pasyą).* Jesteś ostatnim łotrem.

DR. KRAFT. Wypraszam sobie ten ton ekscentryczny w rozmowie.

PANI KORYTKO *(z furyą).* Ty sobie nic wypraszać tu nic śmiesz. Popołudniu zapłaciłam za ciebie dwa nowe weksle, wykupiłam, rozumiesz, dziewięćset rubli. Ostatnie, ostrzegam cię, po raz ostatni, ostatnie dziewięćset rubli. Ja się tak bezprzykładnie rujnować nie dam...

(Kraft ziewając siada na otomanie, Korytkowa staje).

DR. KRAFT *(spokojnie).* Bezprzykładnie? Heimwerthową jej pianista kosztuje rocznie 20,000 rubli...

PANI KORYTKO. Kłamiesz! Zresztą Korytkowie, to nie Heimwerthy. Zresztą, zresztą to artysta, muzyk, sława, gwiazda... a ty? Co?

DR. KRAFT *(powoli, magnetycznie).* Mecenas Kraft.

PANI KORYTKO. Nie rób żartów. Kuba, proszę cię nie rób żartów teraz. Popołudniu płacę za ciebie tysiąc rubli, wieczorem...

DR. KRAFT. Bądźmy skrupulatni: dziewięćset.

PANI KORYTKO *(z furyą).* To wszystko jedno, popołudniu płacę za ciebie tysiąc, to jest, czy dziewięćset rubli, wieczór muszę widzieć własnemi oczyma taki obrazek wyuzdania...

DR. KRAFT *(zimno).* Przesada, poezya; trzymajmy się konkretnych faktów.

PANI KORYTKO. Więc właśnie; psujesz gangreną twoich nieposkromionych żądz niewinną dziewczynę.

DR. KRAFT. Mela jest cudownie »vierge«, jak była...

PANI KORYTKO. Kazisz jej duszę...

DR. KRAFT. Powinnaś pisać wierszem takie powiedzenia.

PANI KORYTKO *(patrzy na niego z odrazą, mnie wachlarz z pasyą, chce coś mówić, głos jej wzbrania, wreszcie chrząknąwszy, wybucha).* Tak, ale to się skończyć musi, mój panie. Wszystko ma na świecie swój koniec...

DR. KRAFT *(wesoło, prawie z żydoska).* Czasem dwa...

PANI KORYTKO. Nie przerywać. Pan się musisz decydować. Nie pozwalam ci ani na krok zbliżać się do Meli, to niegodne, to obrzydliwe, to cyniczne.

Kompromitujecie mnie oboje przed całym światem. Ostatecznie wszyscy wiedzą w mieście o naszym stosunku, wszyscy, chyba oprócz radcy Tumańskiego i kilku jeszcze idyotów, ostatecznie wszyscy to uznali i świat nam to wybaczył przez tyle, tyle lat; ale teraz. Wszędzie cię widzą z Melą, asystujesz Meli, tańczysz z nią, ślizgasz się...

DR. KRAFT. Gram w lawn-tennisa... ping-ponga...

PANI KORYTKO. Głupi jesteś z twym sarkazmem, powtarzasz się. Wy mnie kompromitujecie oboje. Pomyślą że mnie puściłeś, a kochasz się w córce... a ty? ty? ty w nikim zresztą kochaćbyś się nie mógł. Dla ciebie wyrażenia, to palić się, lecieć na kogo, te coś mnie nauczył.

DR. KRAFT. A oduczył gorszych...

PANI KORYTKO. Bezwstydny jesteś.

DR. KRAFT. Powtarzasz się pani...

PANI KORYTKO *(patrzy na niego z odrazą, chce coś przemówić, traci głos, wreszcie prawie zachrypnięta, wybuchając).* Ale ja zaryzykuję wszystko, słyszysz, utracę wszystko, ja powiem mężowi. Tu wyjścia z sytuacyi nie ma, bo ja straciłam na ciebie za dużo, za za dużo, za dużo *(cedząc zimno, powoli)* Z posagu Niusi to ci się odtrąci. Odtrąci; każdy inny na twojem miejscu widząc nas w takich kolizyach materyalnych, moralnych, psychicznych, każdy...

DR. KRAFT. Piłby więcej piwa...

PANI KORYTKO *(z najwyższą odrazą).* Aaach! Każdy

pomagałby nam, poczuwałby się do świętego rewanżu za tyle, tyle dobrego, każdyby pomagałby do skojarzenia małżeństwa Heli z radcą Tumańskim, a ty ją ośmielasz się teraz właśnie bałamucić i ryzykujesz takie drastyczne sytuacye...

KONSUL KORYTKO *(wchodząc z sali balowej, niechętnie do obojga).* Moja droga, moja droga, do gości, do salonu *(złośliwie).* Odłóżcie na kiedyindziej z mecenasem waszą konferencyę, pewnie nie o zbyt znowu poważnych kwestyach, żeby aż...

PANI KORYTKO *(poważnie, patrząc surowo na mecenasa Krafta).* Właśnie, mój kochany, pan mecenas korzystał ze sposobności i pytał mnie, to jest prosił raczej, aby, gdy się tak przyspieszyło zaręczyny Meli z panem radcą, aby i jemu dać odpowiedź stanowczą co do ręki Niusinej.

KONSUL KORYTKO *(oschle, z ukrywaną złością).* Wiesz moja ukochana przecież, że Niusia nie chce o tem słyszeć...

PANI KORYTKO *(zimno).* Głos nierozważnego dziecka w tak ważnej kwestyi nie ma chyba...

KONSUL KORYTKO. Jak gdzie, moja kochana, w naszej sferze pytają się jeszcze i dzieci, nie sprzedaje się je żywcem, jak podobno w arystokracyi. *(z oburzeniem)* Tam wszystko możliwe, ale u nas w solidnych sferach mieszczańskich, chwała Bogu...

DR. KRAFT *(dobitnie, patrząc ostro w Korytkową).* Zresztą, zdaje mi się, dziś nie pora te rzeczy roz-

strzygać, pani konsulowa pozwoli, że czas najlepszy sędzia...

(Ze sali wpada gość-aranżer i zmierza do Korytków).

GOŚĆ-ARANŻER *(dryblas w białych kamaszkach na nogach).* Szanowni gospodarstwo pozwolą zapytać się, kiedy... *(urywa cokolwiek zażenowany)* kiedy, tego, kolacya, bo w takim razie teraz przetańczylibyśmy sobie poleczkę.

KONSUL KORYTKO *(biorąc go pod ramię).* Doskonale, doskonale panie hrabio, tańczcie poleczkę a potem zaraz podadzą do stołu...

(Pani Korytko i mecenas Kraft przechodzą do sali bawialnej, Konsul Korytko i gość-aranżer podchodzą do Molskiego. Ten patrzy na nich ociężale, wreszcie wstaje z mocną nonszalancyą).

GOŚĆ-ARANŻER *(podając Molskiemu rękę).* Jak się masz stary?...

MOLSKI *(protekcyjnie).* Bon soir!

GOŚĆ-ARANŻER. Rżnij nam kochanie teraz poleczkę, ale zaraz...

KONSUL KORYTKO *(uprzejmie).* Bo zaraz podają kolacyę.

MOLSKI *(patrząc na zegarek, flegmatycznie).* Najwyższy czas... wpół do dwunastej... wszyscyśmy głodni.

GOŚĆ-ARANŻER *(ironicznie).* No, nie irytuj się stary, po polce zaraz kolacya.

MOLSKI. Mylisz się, mon cher... p r z e d p o l k ą kolacya.

GOŚĆ-ARANŻER *(zdumiony).* Ależ...

MOLSKI. Co ależ? Jakie ależ? Ja teraz nie gram. Może mnie ktoś zastąpić jednak, z familii... z gości... *(z uśmiechem)* nie kładzie się tamy dobroczynności...

KORYTKO *(nieporadny).* Może jednakże pan baron da się namówić... krótka poleczka...

MOLSKI *(zdecydowanie).* Nie mój łaskawy konsulu, »nullement«, nie odstępuję od mego repertuaru *(siada napowrót na krzesło i z półeczki bierze zeszyt nut i przegląda).*

(Konsul Korytko i gośc-aranżer patrzą na siebie nieporadni, poczem konsul odciąga gościa-aranżera w tył).

KONSUL KORYTKO *(półgłosem, odwracając się).* Lepiej dać spokój mój hrabio, ja go znam, jak się uprze, nie ma nań rady, może moja żona wam pogra, chodźmy prosić *(idą do bawialnej sali).*

GOŚĆ-ARANŻER *(idąc, odwraca się jeszcze).* Molski, więc nie zagrasz?...

MOLSKI *(podnosząc głowę powoli z nut).* Nie! mydear!

(Konsul Korytko i gość-aranżer odchodzą w lewo, Molski zostaje sam. Patrzy za nimi drwiąco, poczem kładzie zeszyt nut na półce, wstaje, przeciąga się, ziewa i pewnym dystyngowanym krokiem podchodzi na środek sali, poczem staje, wkłada ręce do kieszeni, stoi chwilę patrząc w salę).

MOLSKI *(cedzi).* C'est le peuple... peuple... peuple... *(w drzwiach staje konsulowa zirytowana. Molski bar-*

dzo szarmancko zgina się wpół koketeryjnie)... a madame... a pani konsulowa...

PANI KORYTKO. Proszono mnie *(złośliwie)*, abym pana wyręczyła... polką... pan się już zmęczyłeś, tak... wcześnie...

MOLSKI *(słodko, wytwornie)*. Tak i nie tak pani konsulowo. Poniekąd powinienem czuć się już sfatygowanym, ale raczej pewnej konsekwencyi w mych zasadach przypisać muszę to, że już grać nie mogę, ustępując zaszczytu pani konsulowej.

PANI KORYTKO. Wygodnyś pan, panie Molski.

MOLSKI *(kłaniając się szarmancko)*. Powiedz pani, pani konsulowo, konsekwentny,—a nie miniesz się z prawdą.

PANI KORYTKO *(zniecierpliwiona surowo)*. Eee, to są głupstwa, a tu trzeba obowiązki spełniać sumiennie, gdy się za to bierze...

MOLSKI *(uderzając ręką o rękę)*. Pieniądze n'est pas? Masz pani racyę, pani konsulowo...

(Pani Korytko siada do fortepianu i uderza pierwsze takty polki).

MOLSKI *(głośniej)*. Ale i ja mam swoje racye, artystyczne racye tak, artystyczne i dlatego wyższe *(obraca się na pięcie i wolnym krokiem idzie na front sceny w prawą, siada na fotelu huśtającym i powoli huśta się.*

(Goście w sali balowej tańczą. Z sali balowej wchodzi

prędko Niusia Korytkówna, za nią mecenas Kraft jakby ścigając).

DR. KRAFT. Panno Niusiu!

NIUSIA *(zirytowana)*. Mówiłam panu, że z panem nie tańczę. Proszę mi nie psuć zabawy.

DR. KRAFT. Poskarżę się papie.

NIUSIA. Och panie! zamądryś pan na to. Jeszcze raz oświadczam panu, że z nim nie tańczę... nie tańczę, nigdy i wogóle, ja pana proszę...

(Molski wstaje z fotelu i zlekka podsłuchuje).

DR. KRAFT *(zatykając sokie uszy rękoma)*. Ja nie słyszę.

NIUSIA *(głośniej)*. Musisz pan słyszeć... Papa nie dopuści do tego, aha! a słyszysz pan, teraz słyszysz pan. Papa mnie naprawdę kocha i papa nie dopuści do tego, nigdy, nigdy. I możecie z mamą i z Melą Bóg wie jakie plany układać, ja się nie dam, nie dam, ja papie wszystko, wszystko opowiem...

DR. KRAFT. To panna Niusia tylko unieszczęśliwi swą mamę.

NIUSIA. O nie panie, co to, to nie. Byleśmy z panem zerwali, byle nasz dom z panem zerwał, byle mama z panem zerwała, a wszystko da się naprawić...

DR. KRAFT. Panna Niusia głupi dzieciak.

NIUSIA *(ogromnie podrażniona)*. Może, może. To samo mówi Mela. Nigdy inaczej, zawsze: idyotka, idyotka, idyotka. Dobrze, niech będę idyotką, ale mamie sprzedać się nie dam, za pana nie wyjdę nigdy,

przenigdy *(patrzy nań z odrazą)*. Tak mi Panie Boże dopomóż *(odwraca się i żegna prędko)*.

DR. KRAFT *(patrzy na nią ironicznie)*. Do czasu moja mała, do czasu. Na papę nie licz... Wydaje papa Melę za starego radcę, tabetyka, próchno, kościotrup spacerujący, to za mnie chyba ani się namyśli...

NIUSIA *(przerywając)*. Papa Meli nie cierpi i pana nie cierpi, panem gardzi, brzydzi się.

DR. KRAFT *(z obrzydliwym grymasem)*. Do czasu panno Niusiu, do czasu... firma mnie kocha, firma mnie szanuje, a to więcej znaczy... zresztą gdyby nie mama... *(pauza)* Panna Niusia zupełnie nie w moim guście. Robię to tylko z obowiązków wdzięczności dla mamy. Panna Niusia zanadto dla mnie swojska, mazowiecka trusia, mleko, maliny i kosa blond — ja w tym nie gustuję. Panna Niusia daruje, ale ja nie mam plebejskiego apetytu...

(Ze sali balowej wbiega w podskokach Mela, staje).

MELA. Mecenasie, wybieram cię...

DR. KRAFT *(do Niusi, wskazując dłonią na Melę)*. To, to co innego — to Europa *(podbiega do Meli, podaje jej rękę i tańcząc wbiegają do sali balowej)*.

(Niusia chwilę patrzy za nim, potrząsa głową z wyrazem najwyższego obrzydzenia i stoi bezradna. W tej chwili Molski staje obydwoma nogami na fotelu i przeginając się przez parawan, mówi dobitnie w głos).

MOLSKI. Przykry żyd...

NIUSIA *(zdziwiona, przerażona patrzy w górę)*. Pan?

MOLSKI *(kłaniając się wpół na fotelu)*. Do usług. Pani mi wybaczy, ja zejdę i wyekskuzuje się *(schodzi, przechodzi za parawan i kłania się Niusi)*. Pani mi wybaczy...

NIUSIA *(z lekkim wyrzutem)*. Pan podsłuchiwał?

MOLSKI. Tak pani. Musiałem. Mama dobrodziejka gra tak lekko, tak po dyletancku wobec mego fachowego tłuczenia, że każde słówko musiałem słyszeć...

NIUSIA. Trzeba było odejść.

MOLSKI. Stało się lepiej. Zostałem, słyszałem, słuchałam *(bierze jej ręce w swoje, tkliwie)*. Żal mi pani... bardzo mi żal. Oto pani jak lilia wodna na bagnisku, — to okropne. Dawniej, dawniej myślałem, że ta depra-wacya, ten brud, ta zgnilizna, to kupczenie to przywilej mojej sfery. Zapomniałem żenić się bogato, uciekałem ze wstrętem od ludzi i komponowałem melancholijne walce, smutne walce, głupie...

NIUSIA *(pragnie swoje ręce wydobyć z jego rąk)*. Przepraszam pana.

MOLSKI. Pozwól pani! *(uroczyście)*. Od kilku lat zaś, odkąd grywam *(utykając)* odkąd tego... niby nie pour passez le temps, po tych państwach, w tej średniej sferze, z dnia na dzień przekonuję się o gorszej degryngoladzie, tylko wierz mi pani, już bez tej charme naszej, a z trywialnym eclatem i bez wyboru... No daruj pani, ale taki żyd... taki Kraft, taki... jabym go do psiarni nie trzymał.

NIUSIA *(cofając silnie swe ręce)*. No dobrze, ale... *(wyrywa ręce)*.

MOLSKI. Pozwól pani. Ale ja gdybym teraz pisał, gdybym... chciał... jabym nie mógł, nie mógł już walców komponować a chyba marsze pogrzebowe po całem społeczeństwie... Le roi est mort...

NUSIA. Biedny pan! Więc pan seryo komponował? To, to co ludzie mówią, to prawda, walce?

MOLSKI *(niechętnie wstrząsając głową)*. Nie o tem chciałem mówić z panią, nie o sobie... Z panią o pani! Pani nie dopuść do siebie tej enorme kanalji, tego pana Krafta. Ja wasze stosunki znam, to gorsze wszystko od Paryża, wierzaj pani... Ale czasem trzeba atmosferę oczyścić, choć może wyjdą okropne przy tej dezynfekcyi dysonanse familijne. Miej pani odwagę i rób papie awanturę po awanturze. W nim, w konsulu jeszcze coś jest, reszta... reszta... to *(ciszej)* canaille *(do przechodzącego z tacą lokaja)* fagas *(lokaj podchodzi z tacą z winem)* byle było możliwe *(ogląda butelkę)* Sautern i francuski *(nalewa sobie)* zostaw tu tacę *(lokaj stawia tacę i odchodzi)*.

NIUSIA *(siadając na otomanie, wpatrzona w niego)*. Pan, panie baronie musiałeś bardzo wiele w życiu przecierpieć...

MOLSKI *(stając przed nią z rękami w tyle pod klapami fraka, dumnie)*. Ja pani? Nie. Ja mojem życiem kierowałem sam, sam jeden. Jak chciałem, tak się działo zawsze! Chciałem palić kompozycye moje, to paliłem, chciałem upijać się, to się upijałem. Rasę ja reprezentuję. Mój brat, mój brat August, co w spadku po ordynacie wziął starą śledziarkę, to wszystko co gminnego było w naszej rodzinie *(głośno)* Molscy c'est moi! *(nalewa sobie nowy kieliszek, pije)*. Ja grywam, tak jest grywam po fatalnie meblowanych salonach burżuazyi do tańców tym państwom w kiepskich perfumach o niemożliwych visażach *(głośno)* mais j'ai m'en fiche de tout cela pani *(nalewa sobie nowy kieliszek, pije)*. Mówią, że ja się rozpijałem, rozpijałem. C'est vrai, c'est vrai, ale mogę z dumą oświadczyć, że co piłem *(robi ulicznikowski gest nogą)* co piłem to za... obce pieniądze, O la la! Pozwalałem ludziom na zaszczyt rozpijania artysty! *(podchmielony śmieje się, nagle robi się poważnym)*. Ale pani młodziuchna, immaculata donna, pani ma takie święte oczy, pani się nie daj deprawacyi. Vièrge! Pani.., *(urywa nagle)*. Chcesz pani, zagram jej mego walca. Voulez-vous valce du baron Molski, kwiat, co raz na sto lat wykwita, niebieski, niebieski, niebiański kwiat. Napisałem go wtedy *(nalewa sobie kieliszek wina)*, kiedym się dowiedział, że pewna kobieta, w której się kochałem *(wypija haustem kieliszek wina)*, piękna jak lady zeszła z portretu Gainsborougha, czysta jak marzenie o dzieciństwie *(uderza kieliszkiem o tacę i rozpryskuje szkło)* czysta... raczej jak obrus przed kolacyą w ga-

binecie... że ta hrabina z lokajem *(prostuje dumnie kark i niepewnym choć elastycznym krokiem idzie do pianina i staje, opierając się prawą ręką silnie o pult)* Excuzez madame...

(Pani Korytko wstaje zmieszana cokolwiek zła, Niusia podnosi się zwolna, przykłada chusteczkę do oczu. Molski siada ciężko, ręką poprawia fryzurę i śmiało bierze pierwsze akordy. W miarę jak gra słychać wielkie zdziwienie w sali bawialnej, goście probują tańczyć walca, ale z trudem, kończąc jeszcze polkę zaczynają wchodzić na scenę, Niusia podchodzi do pianina i oparłszy się melancholijnie słucha).

KONSUL KORYTKO *(do Korytkowej wskazując na Molskiego).* Więc się zdecydował wreszcie...

(Pani Korytko wzrusza ramionami, bierze męża pod rękę, podchodzi z nim do stolika na froncie sceny i wskazuje na tacę z winem i rozbite szkło).

KONSUL KORYTKO *(śmiejąc się).* Hic Rodus.

(Goście probują tańczyć, ale im nie idzie. Z sali bawialnej wpada gość-aranżer z Melą pod rękę. Za nimi inne pary).

GOŚĆ-ARANŻER. Molski c'est imposible...

ZAMASZYSTY GOŚĆ. Panie pański, w tym taktu niema za kopiejkę...

(Inni goście wpadają, wchodzi radca Tumański, pary próbują tańczyć, nie mogą uchwycić taktu, siadają. Pani Korytko daje oznaki niesłychanego zniecierpliwienia, Mela złośliwie nakręca grammofon, ktory zaczyna

syczeć. Ktoś bierze ogromny album i przewraca kartkami z hałasem, reszta staje w półkolu niechętna, zdziwiona, zła, ktoś głośno uciera nos, ktoś parsknął śmiechem, Niusia wraca do otomany, siada na niej ciężko i zaczyna płakać rzewnie.

Molski gra wpół natchnieniu, wpół upiciu, silnie przeginając się całem ciałem, ale zdenerwowany gdzieniegdzie fuszeruje.

Lokaj przechodzi scenę i niezgrabnym ruchem wywraca tacę z kieliszkami.

Molski fałszuje, znów się poprawia, ostatnią część gra czysto.

Niusia wybucha spazmatycznie płaczem. Wszyscy zdziwieni patrzą skąd płacz. Spostrzega ją mecenas Kraft i podbiega do niej, i w chwili, kiedy Niusia prawie mdleje, staje przed nią).

MOLSKI *(kończy swego starego walca, wstaje, błędnym wzrokiem ogarnia wszystkie szydercze twarze, wyciąga chusteczkę, ociera sobie ręce, udaje splunięcie, psyknąwszy odwraca się na pięcie mruknąwszy głośno).* Canaille! *(powtarza)* Canaille!

Niusia odzyskawszy nagle przytomność i siłę odpycha Krafta tak gwałtownym ruchem, że ten słania się prawie upadając na dywan.

Molski zmierza ku drzwiom sali balowej. Ogólna konsternacya, wszyscy rozstępują się przed nim. Grammofon syczy dalej swą melodyjkę — muzykę przyszłości.

ZASŁONA SPADA.

SOBOWTÓR

OSOBY:

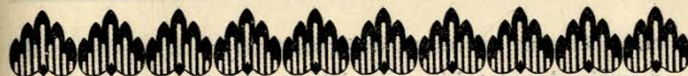
ADJUNKT KARPIŃSKI.
KLARA KARPIŃSKA.
RADCA SZERCEL.
PANI RADCZYNI SZERCEL.
TRUDA SZERCEL, szesnatolatka.
EMMA SZERCEL, czternastolatka.
DR. ROBERT SZERCEL.
PAN PREZYDENT.
PANI PREZYDENTOWA.
MECENAS KSICKI.
MECENASOWA KSICKA.
DRUGI ADJUNKT KARPIŃSKI.
GOŚCIE.

Dramat odgrywa się w prowincyonalnem mieście. Mieszkanie familii Szerclów urządzone w szablonie urzędniczej inteligencyi z rozbrajającą naiwnością dekoracyjną i zaparciem się mimowolnem stylu i piękna. Scena przedstawia pokój jadalny skombinowany z sypialnią panien Szercel. Porozwieszane na ścianie reprodukcye obrazków Defreggera, wielki portret Cesarza Franciszka Józefa w młodocianym wieku i pewna pedanterya w układzie wielkich gratów meblowych i małych gra-

cików z wosku, porcelany, włóczki, jedwabiu — wskazują na morawsko-niemieckie pochodzenie rodziny Szerclów. Szerokie podwójne i otwarte drzwi szklanne prowadzą do salonu o czerwonych tapetach i pluszowo-ponsowych popularnych meblach. Między oknami duże stojące lustro, w rogach dwa łóżeczka panieńskie kapami zielonemi zasłane. Nadto klęcznik mocno wyklęczany, kanapa wysiedziana...

Dzień imienin radcy — 29-go września: świętego Michała Archanioła. Godzina piąta popołudniu. Na dworze pada brudny deszcz jesienny, woda ścieka z monotonnym pluskiem na kamienie chodników. Stół na środku sypialnej-jadalni uroczyście nakryty i zastawiony przyborami do kawy, czekolady, herbaty, co kto zechce... Obok kredensu na ziemi syczy sympatycznie wielki mosiężny samowar. Scena dramatu pusta.

Z salonu widać grono rozbawionych osób; słychać gwar zmieszanych dyalogów, momentami śmiech serdeczny, zawsze z pewnem przycieniowaniem urzędniczą depresyą życiową.



GOŚĆ. Zima będzie bardzo ostra, wszyscy to powtarzają. Jeżeli jesień bywa tak pogodną...

GOŚĆ INNY. O to nie racya, nie. W dziewięćdziesiątym drugim cały wrzesień, październik i pół listopada pamiętam trzymała pogoda, a w zimie można było w letnich zarzutkach chodzić.

EMMA. Ale cóż pan mówi?

GOŚĆ INNY. Słowo honoru pani, słowo honoru. Kilka razy spacerowałem w południe w letniej zarzutce po rynku; ludzie się dziwili, o i jak! to prawda, ale ja swoje zrobiłem, bo mi ciepło było kompletnie *(śmieje się serdecznie)*.

RADCZYNI SZERCEL. E, bo pan sekretarz zahartowany; zresztą człowiek takiej tuszy *(śmiech)*.

GOŚĆ. Samo sadło grzeje *(śmiech)*.

GOŚĆ INNY. Ależ proszę ja państwa, cóż to mówić o mojej tuszy, nie sąż to inni znacznie tężsi, no i tłustsi? Nie?

EMMA. Na ten przykład pani Steiermarkowa *(ogólny śmiech)*.

TRUDA. Albo mecenas Ksicki? *(śmiech)*.

GOŚĆ. Albo i nasz kochany solenizant dzisiejszy! *(ogólna radość)*.

RADCA SZERCEL *(jowialnym głosem)*. Co? Ja? Ja mam niby być taki otylec, a kto to ośmiela się mówić?

co? a to pan sekretarz waży ni mniej ni więcej przeszło dziewięćdziesiąt kilo, a gdzież tu mnie do tego.

RADCZYNI SZERCEL. Boś się mój Michał nie ważył już i kilka lat chyba.

RADCA SZERCEL. A cóż ja się mam ważyć moja duszko, a po cóż? Czy to ja na sprzedaż idę do rzezalni; czy może na pensyę już i po trzydziestu siedmiu latach mam się ważyć?

GOŚĆ TRZECI *(piskliwy, a nieśmiały)*. Zawsze to przyjemnie wiedzieć panie radco, ile się waży w różnych okolicznościach życia.

RADCA SZERCEL. Jak dla kogo, jak dla kogo panie kawalerze, co mnie tam po tem! Jeszczeby może i coś złego z tego wypadło, gdyby człowiek za dużo ważył, mogą tym sposobem quinquenium wstrzymać, tak; powiedzą, że kiedy taki otyły, tu mu nie trzeba i masz babo redutę *(wybuchy najweselszego śmiechu)*.

GOŚĆ. Ale a propos, czy państwo wiecie już i wogóle co państwo na to, bo wiedzieć już chyba musicie, bo któżby nie wiedział o tem, że...

EMMA. Że pan Grotoski zaręczony!

GOŚĆ. Nie, nie o tem, tylko, że prezydent podobno ustępuje już na pewne.

RADCZYNI SZERCEL *(z przekąsem)*. On każdego roku ustępuje.

RADCA SZERCEL. Co? mały Grotoski zaręczony? Z kimżeż, no z kimże, chyba wolno wiedzieć; pewnie z bogatą pannicą!

GOŚĆ INNY. Więc to o prezydencie naprawdę jest prawdą?

TRUDA. Tato nie wiedział? Nie? Aj joj, jakże można, oczywiście z bogatą, z panną Lobewein, starszą... bierze tę kamienicę na krakowskiej, ogród, pola.

EMMA. Czterdzieści morgów *(staje we drzwiach salonu)*.

RADCZYNI SZERCEL. Mój panie sekretarzu, żebym nie wiedziała, tobym nie mówiła. Co roku niby chory, co roku bardzo sterany, dawno już jego lata przeszły i powinien ustąpić, już choćby z samej delikatności, z pewnego uczucia taktu, bo i jakże, no nie?

GOŚĆ. Och to prawda, to przecież jasne; tylu ludziom przeszkadza w awansie, tylu czeka, a on przecież brałby taką wielką pensyę.

RADCZYNI SZERCEL. Nie dziwiłabym się, gdyby mieli dzieci *(patrzy na stół nakryty w jadalni, potem podbiega do samowaru)*, ale bezdzietni; Pan Bóg poskąpił, a oni tylko z tej chciwości nienakarmionej, z takiej zawziętości.

TRUDA. Wielkich państwa udają, a tata jakby chciał, zaraz by też mógł być prezydentem.

GOŚĆ. No stanowczo, chyba niema wątpliwości.

RADCZYNI SZERCEL *(z ironią)*. O co wielkie państwo już, to wielkie państwo; każdego roku ona do Maryenbadu, on do Trenczyna, to znowu do Piszczan, w okolicy bywają i u Dąmbskich i u Rakowskich i podobno u hrabiego Reja; ano niech ich tam, ja im tam nie zazdroszczę, bo i czegóż, tych pustych ścian bez jakich dzieci, czy tej karety, co sobie wynajmują...

GOŚĆ. No pewnie, pewnie, zresztą chyba pod względem społeczno-towarzyskim to stanowczo przecież państwo radcostwo stoicie na równi z niemi.

EMMA *(krzykliwie).* No chyba!

TRUDA. Tylko tato zanadto zawsze ustępuje im i to dlatego, a tymczasem stary grzyb powinien już dawno ustąpić, a tato zostałby na jego miejsce prezydentem! *(wbiega do salonu, poprawia coś w nakryciu, poczem podchodzi do okna, patrzy chwilę na ulicę i znów wraca do salonu do gości).*

RADCA SZERCEL *(spokojnie).* No jeszcze nic tak pewnego, moja córko, kto to tam jeszcze wie?

EMMA. Jak to? Przecież papie pisali z Wiednia!

RADCZYNI SZERCEL *(karcąco).* Emma!

GOŚĆ. Ależ to nie ulega watpliwości panie radco, przecież wszyscy tak mówią, zresztą nikt inny się nie poda na nasze miasto.

EMMA. Ale tak, tak, niech pan będzie spokojny. Tato dobrze wie, tylko tak się mówi, żeby przypadkiem czego w złą godzinę nie powiedzieć.

RADCZYNI SZERCEL *(łagodnie, stanowczo).* No tak, ale teraz idź Emmuś zająć się gospodarstwem, popatrz czy w przedpokoju zaświecona lampa.

EMMA *(wbiega do jadalni, najpierw do samowaru, gdzie również coś poprawia, poczem do lustra, przed którem poprawia sobie fryzury, poczem patrzy w salon, podbiega do kanapy i przekonawszy się, że nikt nie widzi, poprawia sobie obu podwiązek, poczem biegnie do przedpokoju).*

RADCA SZERCEL. Zawsze się nikt nie podaje panie Kasprzycki, zawsze nikt, nigdzie, znikąd, a jak przychodzi do czego, to idzie pięć, dziesięć, piętnaście podań do Wiednia i pokazuje się, że się wszyscy podali.

GOŚĆ INNY. Nie ulega jednakże kwestyi, że najwięcej szans, powiedziałbym 99 na sto, ma pan radca; chyba... żeby tylko wzgląd na pana Roberta!

RADCZYNI SZERCEL. Robert idzie do Wiednia.

GOŚCIE. Co? co?

RADCZYNI SZERCEL. Tak, tak, o tem wiemy na pewne i to nasza jedyna pociecha.

RADCA SZERCEL *(staje na progu salonu).* Emma! Emma, gdzie Robert?

EMMA. Nie wiem papusiu, jeszcze go w domu niema, pewnie...

RADCA SZERCEL. W biurze go chyba w dzień imienin ojca niema, pewnie u...

EMMA *(trzymając się portyery).* Będzie u państwa Karpińskich i pewnie z nimi tu przyjdzie, bo proszeni.

RADCA SZERCEL *(idzie do okna, zirytowany).* Zawsze u Karpińskich i u Karpińskich. Co on widzi w tym Karpińskim, żeby całe wieczory u nich przesiadywać, i właśnie u człowieka coraz gorzej zapisanego; dzisiaj moje imieniny, a on jeszcze u tego wiecznego adjunkta.

EMMA *(filuternie).* Pani Karpińska jest bardzo sympatyczna i inteligentna i ładna...

RADCA SZERCEL *(stając i patrząc na nią ostro).* Co przez to chcesz powiedzieć? hę, Emma?

EMMA. Nic papo, że ona taka miła, gra ślicznie na fortepianie, maluje, wypala, gadatliwa, dowcipna.

RADCA SZERCEL. To wszystko bardzo pięknie, bardzo chwalebne, ale Karpiński nie jest towarzystwem dla młodego urzędnika z ministeryum, Karpiński jest ledwie o kilka lat młodszy odemnie, miał dwie dyscyplinarki w swej karyerze, miał brudne konszachty z adwokatami — *(chłodnąc)* — zresztą teraz nie pora o tem, jak przyjdzie, to mu reprymendę wypalę...

EMMA. Komu papo? Karpińskiemu?

RADCA SZERCEL. Ale co mi tam Karpiński, będę z waryatem gadał! Robertowi. Syn, pociecha, prymus, talent; na doktorat tyle się pieniędzy wydało, na służbę wojskową tyle, a tu pan doktor, za kilka dni koncepista ministeryalny, przyjaźni się z kim? ... Z Karpińskim! — Nie!

EMMA *(stojąc przy oknie)*. Prezydentowie idą!

RADCA SZERCEL *(nagle spokojnie, twarz niezwykle słodka, poprawia przy lustrze krawatki)*. Widzisz, a tu w przedpokoju się nie świeci, biegnij!

EMMA *(biegnie do przedpokoju, podsuwa sobie stołek i zaświeca lampę wiszącą)*.

RADCA SZERCEL *(poprawia przy stole i woła do salonu)*. Matka, Matka! *(po niemiecku)*. Elise! Ein moment bitte!

RADCZYNI SZERCEL *(Wchodzi. Osoba w typie komicznej matrony, z odcieniem purytańskim)*. Wołałeś mnie Michał?

RADCA SZERCEL *(zatroskany)*. Aha, prezydentowie idą! A Roberta niema! Co oni sobie pomyślą?

RADCZYNI SZERCEL. Znowu u Karpińskich pewnie...

RADCA SZERCEL. Tosamo mówiła Emma.

RADCZYNI SZERCEL. Możeby posłać po niego prędko.

RADCA SZERCEL. Nie wypada, trzeba coś wymyśleć, bo prezydentowa będzie się zaraz o niego pytała.

RADCZYNI SZERCEL. Byle nie wydało się, że on znowu z Karpińskim, z tym wiecznym adjunktem, bo i prezydent będzie zły, że jego protegowany z takim złym urzędnikiem się zadaje, a prezydentowa jest znów okropnie zazdrosną, jak kto kury robi Karpińskiej *(dzwonek)*.

RADCA SZERCEL. Powiedz, że Robert musiał wpaść do kasyna.

RADCZYNI SZERCEL *(idzie do przedpokoju)*.

EMMA *(otwiera drzwi; wchodzą prezydentowie, owacyjnie witani przez radcę i madame Szercel)*.

PREZYDENT *(wysoki mężczyzna, elegancki po wiedeńsku, okrągłe cesarsko-biurokratyczne bakenbardy, złote pincenez na nosie; odkładając laskę i palto, zawsze z cylindrem w ręku, zawsze w serdecznie protekcyjnym tonie, cedzi:* Dzień dobry kochanemu radcostwu, dzień dobry a raczej już dobry wieczór.

PREZYDENTOWA *(kobietka młoda, wysoka, wytworna, przeraźliwie znudzona otoczeniem, małem-miastem, mężem, gotowa do najwyuzdańszego stosuneczku z pierwszym lepszym; w braku pierwszych lepszych i ostatnich*

najgorszych — zdeterminowana. Ma obok innych bardzo swobodnych, także miłą manierę ziewania wszystkim w twarz). Dobry wieczór.

(Wszyscy do jadalni wchodzą).

RADCZYNI SZERCEL. Prosimy państwa, prosimy do salonu...

PREZYDENTOWA *(z przekąsem).* Zaraz salon, musi być salon i oczywiście kanapa i ja oczywiście na kanapie i starościna oczywiście przy mnie.

EMMA *(wesoło).* I porucznik Glaser przy starościnie!

PREZYDENT i PREZYDENTOWA *(wybuchają śmiechem).*

RADCZYNI SZERCEL *(zdekoncertowana).*

RADCA SZERCEL. Ależ Emmuś! A to co znowu!

PREZYDENTOWA *(z wybuchem).* Doskonale, przewybornie! Swietnie panno Emmo, byle śmiało!

PREZYDENT. Naturalnie, naturalnie mój radco. Nie można panie dzieci chować zanadto po trusiątkowemu, gdyż następnie wychodzi panie na świat pokolenie ogromnie nieśmiałe, taak nieśmiałe, bez inicyatywy i i...

PREZYDENTOWA *(oglądając się).* A gdzież doktor Robert?

RADCZYNI SZERCEL. A zabałamucił się nam w kasynie.

PREZYDENT *(badawczo).* Pan Robert w kasynie, no proszę, dzisiaj no i to po co?

RADCA SZERCEL. O, nic ważnego panie prezydencie, pobiegł tylko na moment, żeby się widzieć z którymś z panów wydziałowych...

EMMA *(wyrywając się niezgrabnie, ale rumieniąc się przedziwnie).* W sprawie tego teatru amatorskiego, co...

RADCZYNI SZERCEL *(zapraszając ręką do salonu).* Proszę państwa!

(Prezydent z żoną i radca z żoną idą do salonu).

EMMA *(biegnie do drzwi, z których słychać dzwonek).*

(W salonie gwar, odsuwania mebli, powitania, sadowienie się).

(W przedpokoju NOWY GOŚĆ i ŻONA NOWEGO GOŚCIA *witają się z Emmą, która pomaga im się rozbierać; dobry wieczór).*

EMMA. U nas w przedpokoju już o trzeciej popołudniu ciemno i trzeba lampę zapalać.

NOWY GOŚĆ. Ale też to leje, panno Emmo, psaby nie wygonił.

ŻONA GOŚCIA. My chwała Bogu mamy do Was blisko, ale tacy Cygnarowiczowie, tacy Karpińscy.

NOWY GOŚĆ. No Karpińscy naumyślnie tam się wyprowadzili, żeby być daleko od rynku, od sądu, od kasyna.

ŻONA GOŚCIA. Szczególnie od kasyna. Ona się o niego bała, że będzie znowu grał w karty.

EMMA. Czyż pan Karpiński tak grywał?

ŻONA GOŚCIA. Och panno Emciu, całe noce!

NOWY GOŚĆ. Ależ Zosieczko przesadzasz, nigdy panno Emmo, skądże, grywał tyle, co my wszyscy, nigdy więcej w preferka, centa od sztona, albo i taniej, tylko, że to już niby na pochyłe drzewo i kozy skaczą, czy jak to się tam mówi...

EMMA. Proszę państwa, proszę do salonu *(zaprasza ręką)*.

NOWY GOŚĆ *(kończąc)*. Więc i moja magnifika...

ŻONA GOŚCIA *(urażona)*. Mój Janku, już ja wiem dobrze, co mówię. Zgrywał się do szeląga!

NOWY GOŚĆ *(napominając, z uśmiechem)*. Moja Zosiu, pan Karpiński jest przyjacielem pana Roberta, brata panny Emci!

EMMA *(rezolutnie)*. No to raczej Robert jest przyjacielem obojga państwa Karpińskich...

NOWY GOŚĆ *(z uśmiechem)*. To znów na jedno chyba wychodzi, panno Emciu. Ja tylko staję w obronie biednego Karpińskiego, na którego już wszyscy bij zabij, że aż czasem żal się robi. Jakże się dziwić później takiemu, że choruje na tę manię prześladowczą i na wszystkie nerwy w ciele.

ŻONA GOŚCIA. No chodź, chodź, nie rezonuj.

EMMA. Proszę państwa! *(odchyla portyerę od salonu, wchodzą we troje. W salonie powitania, przesuwania foteli, siadania)*.

PREZYDENT. Nie można sobie proszę państwa wyobrazić gorszych stosunków. Co innego panie, Czesi, ci umieją chodzić za sobą, ale my, my? my umiemy wiece urządzać i zgromadzenia wyborcze i te Sokoły i krzyki tromtadrata, tromtadrata *(naśladuje na nutę „Jeszcze Polska nie zginęła". Ogólna wesołość)*, a,...

RADCA SZERCEL. A w ministeryum zaledwie trzech Polaków i jeden Sectionsschef, to okropność!

RADCZYNI SZERCEL. A pani komisarzowa, pani Zofia,

prosimy, siadajcie państwo, siadajcie; dziewczęta zajmijcie się kawą.

PREZYDENTOWA. Dlaczego kawą, czemuż kawą? to zaraz przypomina Kaffeeklatsz, »Fliegende Blätter«! Kto teraz pije kawę? Herbatą, herbatą, panno Emciu, five o clook tea! Dejcież już raz spokój tej patryarchalności!...

RADCZYNI SZERCEL. Ależ dobrze pani prezydentowo, jest i czekolada i herbata do woli, do woli...

PREZYDENTOWA. Otóż to, wcale nie do woli tylko do herbaty chodźcie panny, ja wam pomogę *(pod rękę z Emmą i Trudą wchodzą do jadalni)*.

TRUDA *(mizdrząc się)*. Ach jaka pani prezydentowa przyjemna.

EMMA *(również)*. Ach jaka naturalna pani prezydentowa jaka sympatyczna! My panią tak kochamy!

PREZYDENTOWA. Nie tytułujcie mnie tylko moje drogie. Mówcie mi poprostu pani, madame, madame. Okropne są te tytuły u nas; piąty rok jestem zamężną i jeszcze się do tych bezeceństw nie mogę przyzwyczaić.

EMMA. Ależ nie wypada...

PREZYDENTOWA. Wypada, wypada! *(siada na kanapę, dziewczęta stają przed nią z twarzyczkami pełnemi bezgranicznego podziwu)*.

PREZYDENTOWA. Wszystko wypada, co ekscentryczne, rozumiecie? A choć teraz nie rozumiecie, to zrozumiecie z czasem, wyszedłszy z dzieciństwa.

TRUDA *(figlarnie)*. Ależ my nie dzieci. Emma ma szesnaście, a ja ośmnaście.

EMMA. A Truda!

PREZYDENTOWA. Wszystko jedno! Po prowincyach wszystko jest dziecinne, kompletnie dziecinne. Tuby nikt kankana zatańczyć nie umiał, nikt, nikt doprawdy... nikt... *(nagle zmienia ton)*. Moje panny, a gdzie pan brat?

TRUDA. Robert?

EMMA. Robert w kasynie pani prezydentowo. Urządzają teatr amatorski na listopad, a Robert będzie reżyserował nim pojedzie do Wiednia.

TRUDA. Ależ nigdy Emma. Mówił, że idzie do państwa Karpińskich, po nich, bo inaczej by stanowczo nie przyszli do nas...

PREZYDENTOWA *(przenikliwie)*. Taak? Więc nie w kasynie, jak to mówiła panna Emcia, nie, tylko u państwa Karpińskich znowu. Dlaczegóżby przyjść nie mieli?...

TRUDA. Ach to zawsze tak z nimi. Pani Karpińska owszem, ale ona bez męża ruszyć się nie chce, a biedny wieczny adjunkt tak zdziczał, tak teraz unika ludzi, boi się wszystkich, nie dowierza, nie ufa, że trudno go z domu wyciągnąć.

PREZYDENTOWA *(ironicznie)*. Więc pocóż dzikiego człowieka zapraszać panno Trudo?

TRUDA. Ano kiedy ma tak interesującą żonę...

EMMA *(poprawiając ją)*. Głównie dlatego proszę pani, że państwo Karpińscy już przez dziesięć lat u nas zawsze bywali na imieninach ojca, bo przecież pani Karpińska mamy daleka kuzynka.

TRUDA. Nawet nie tak daleka. Pasierbica wuja Edwarda.

EMMA. A pan Karpiński dopiero w ostatnim roku tak bardzo podupadł na humorze z powodu tych nerwów i tych przeskoczeń w awansie czy pomijań. Do ostatniego roku, nawet w najgorszych czasach, kiedy miał te dyscyplinarki, był zawsze duszą całego towarzystwa, dowcipkował, urządzał gry, wiersze pisał. Dopiero teraz...

PREZYDENTOWA *(przyciszonym głosem)*. Słuchajcie dziewczęta, czy jest co prawdy w tem, że on się morfinizuje?... To byłoby ciekawem.

EMMA *(równie cicho)*. Tak mówią, choć...

TRUDA *(z oburzeniem)*. Nieprawda, ach nieprawda, nigdy w świecie pani prezydentowo, ja mogę przysiądz; rozmawialiśmy o tem z Robertem, przysięgał, że nie, a on przecież odkąd jest w naszem mieście i przydzielony do Sądu, bywa u nich co dzień, wiedziałby...

PREZYDENTOWA. Czasem dwa razy na dzień. Wiemy o tem.

(Dzwonek).

EMMA. Pewnie on, a może państwo Ksiccy?

PREZYDENTOWA *(wstając z kanapy)*. No to darmo! *(wzdycha lekko)*. A teraz moje panny zajmijmy się usuwaniem wszelkiej kawy i czekolady, a gościom dajcie tylko... wyłącznie... *(dziewczęta krzątają się koło stołu)*... herbatę.

(Wchodzi DR. ROBERT SZERCEL, *młodzieniec do trzydziestki, dojrzewający ostatkiem młodości, z lekką łysiną, kosmopolityczno-wojażerską fizyognomią, ubrany z pewną*

staranność i smakiem, co jednak neutralizują i do poziomu trywialności obniżają wąsy uczesane a la: Es ist erreicht).

MŁODY SZERCEL. Dobry wieczór paniom *(podchodzi do prezydentowej i całują ją w rękę).*

PREZYDENTOWA *(z szczerą kokieteryą).* Aaa dobry wieczór! Don Robert podobno z kasyna...

MŁODY SZERCEL. Nie pani, don Robert od przyjaciół.

PREZYDENTOWA. Przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi. Więc?

MŁODY SZERCEL. Od biednych państwa Karpińskich.

PREZYDENTOWA. W takim razie przyjaciele naszych przyjaciół są nam wysoce obojętni.

MŁODY SZERCEL. Wiem o tem, niestety! Żart na bok pani prezydentowo, ale to też jest co mnie gnębi, co mi sen odbiera, co mnie gryzie i czemu niestety poradzić nie mogę...

PREZYDENTOWA. Nooo? Cóż takiego? Zaczynasz być tragicznym nasz faworyzowany trzpiocie.

TRUDA *(do Roberta).* A papa i mama byli bardzo niespokojni o ciebie Robert...

MŁODY SZERCEL *(z irytacyą).* Ach! wiecznie niespokojni, wiecznie jak z porcelaną, jak z następcą tronu, jak z dziedzicem milionów, wiecznie te komedye... Przepraszam panią, uniosłem się, bez przyczyny, ale jestem tak rozdrażniony, trzęsę się cały, wszystko we mnie drga.

(Truda i Emma odchodzą do salonu, w pół obrażone, w pół zdziwione, a przedewszystkiem dyskretne).

PREZYDENTOWA *(siadając na kanapie, wskazuje mu rusałczanym ruchem kokieteryjnie miejsce obok siebie).* Więc siądź pan, odpocznij i mów. Może uda się nam wspólnie ukoić twoje rozdrażnienie... Robercie dyable...

MŁODY SZERCEL. Pani łaskawa nigdy nie traci fantazyi, nigdy i to łatwo, ooo w pewnych warunkach bardzo łatwo! Ale ciekawym, jakby pani było na sercu, gdybyś była zmuszoną przepędzić dwie godziny w towarzystwie dwojga tak nieszczęśliwych ludzi, jak...

PREZYDENTOWA *(przerywając mu brutalnie).* Pani Karpińska i pan.

MŁODY SZERCEL *(cofając się o krok w tył, surowo).* Pani się myli stanowczo,... jak oboje Karpińscy.

PREZYDENTOWA. No, no, zanadto alarmujesz panie Robercie. W każdym razie ona daje sobie rady i nie traci kontenansu, a on... chyba tylko sam sobie winien.

MŁODY SZERCEL *(silnie, namiętnie).* Nikt nie winien! Tu nikt nie winien, łaskawa pani. To co on zrobił, robią wszyscy, prawie wszyscy, wyjątki nie robią tego, tak, tylko wyjątki, a że na niego padły dyscyplinarki, to pech. Zresztą i wielu z nas dostaje często bardzo kiepskie kwalifikacye *(z naciskiem)* bardzo często niesłusznie...

PREZYDENTOWA *(zlekka urażona).* Ale cóż mnie to obchodzi, ty zapalona głowo; cóż pan mnie tu perorujesz!?

MŁODY SZERCEL. O wiele! znacznie więcej niżby się zdawało, znacznie; pani... córka prezydenta, żona prezydenta, pani mogłabyś tyle dobrego zrobić, tyle złego naprawić...

PREZYDENTOWA *(śmiało)*. Zaczęłabym chyba od pana!

MŁODY SZERCEL. Cóż odemnie? dlaczegóż odemnie? Ja dzięki łaskawości, dzięki protekcyi państwa idę do Wiednia i wielka karyera przedemną otwarta...

PREZYDENTOWA. Więc czegóż pan chcesz? Przedewszystkiem siadaj, uspokój się, nie egzaltuj! Jesteś koncepistą ministeryalnym i doktorem praw von Szercel, a masz pan maniery rewolucyonisty. Siadaj.

MŁODY SZERCEL. Nie mogę, nie usiedziałbym, muszę zwalić sobie z serca czy z głowy ten ciężar, a wtedy odetchnę. ...Pani, pani on jest stanowczo niewinnym, ta kobieta płakała, mało, łkała, zanosiła się od płaczu, ta z natury tak wesoła, rozkoszna kobieta ręce łamała! Z nim jest z dnia na dzień gorzej. Nie śpi, nie je, zamyka się u nich w salonie na wszystkie zamki, siada pod oknem i godzinami, godzinami patrzy w ulicę, w dal, w świat, a gdy ona wchodzi do salonu par force, gdy jej otworzy, gdy wnosi lampę świecącą, to on rzuca się w kąt jak nieoswojny dziki zwierz, pani, i kryje się, chowa się...

PREZYDENTOWA *(wstaje pobladłszy i cofa się powoli)*. To musi być straszne!

MŁODY SZERCEL *(zwolna opuszczając się na fotel przygnębiony)*. A kiedy siedzi z nami przy stole, zegar cicho

postukuje, a ona ściubi tę swoją robótkę, to czasem wpatrzy się w nas oboje, to w jedno, to w drugie, twarz mu ani drgnie, blada i sucha, tylko z oczu dwie łzy zwolna płyną, z suchych oczu, dwie... tylko dwie... *(patrzą na siebie. Chwila ciszy. W salonie krótki śmiech.*

PREZYDENTOWA. Taak to nieszczęście, to niedola... ale cóż my, teraz możemy na to zaradzić mój panie?

MŁODY SZERCEL *(zrywając się)*. Wszystko, wszystkiemu pani prezydentowo! Słówko z ust pani do męża powiedziane! Jedno zdanie, prośba, drobnostka, a Karpiński dostanie awans, zostaje sekretarzem, zostaje przeniesiony gdzie, wyrwie się stąd, odżyje, żyć będzie, wyratuje siebie i ją.

PREZYDENTOWA *(cierpko)*. Wiemy już wiemy chłopczyno, że to głównie o nią chodzi, że rozczulasz się nad mężem, będąc zbyt czułym i dla żony!

MŁODY SZERCEL *(urażony, staje gniewnie)*. Zapomnina się pani,... obrażając mnie, obraża pani tę męczenniczkę... nieobecną.

PREZYDENTOWA *(wyniośle, sztywno)*. Nie zapominam się panie koncepisto, ale zapominam! Rozumiesz? Zapominam, żeś pan do mnie czułe oczka robił tu przyjechawszy, zapominam, że pan Karpiński zachował się niegdyś impertynencko względem mego męża, zapominam, że pani Karpińska do niedawna jeszcze miała szalony tupet rywalizowania ze mną wszędzie i zawsze i postaram się, że biedny Karpiński będzie przy tych nominacyach awansował... może nawet na radcę *(prze-*

chodzi majestatycznie koło Roberta), tak to wszystko to zrobię tylko *(staje prawie na progu salonu, nachylając się z za kotary)* tylko dla ciebie śliczny Robercie dyable... nie mój...

(przechodzi do salonu, Robert staje osłupiały).

MŁODY SZERCEL *(stoi chwilę, wreszcie sięga do stoliczka po papierosa, zapala, podchodzi zwolna do okna, staje przy niem, patrząc smętnie w ulicę, w deszcz).*

PREZYDENT *(w salonie).* Otóż to, otóż to, mój panie Kasprzycki, tu nie mogą rozstrzygać osobiste sympatye lub antypatye, kaprysy, protekcye, przeciwnie nawet powinien tu rozstrzygać prawie matematycznie ściśle według kwalifikacyj, lat służby.

GOŚĆ. No wybaczy pan prezydent, ale cóż w takim razie znaczą wyjątkowe zdolności, tytuł doktorski, lub np. gdy się ktoś wyszczególni jako sędzia śledczy, lub jako cywilista, cóż wtedy?...

RADCZYNI SZERCEL. A jest pani prezydentowa, właśnieśmy... ...co? Robert już przyszedł?...

TRUDA. O dawno mamo, choć bez państwa Karpińskich.

RADCZYNI SZERCEL. Wszystko jedno, byle on był *(wchodzi do jadalni).* Robercie!! Bertuś, gdzież ty, a...

MŁODY SZERCEL *(podchodzi do niej i całuje ją w rękę).* Jestem mameczko, czułem się zmęczony *(przeciera czoło)* zaraz idę do gości.

RADCZYNI SZERCEL *(całując go w czoło).* Cóż ci to, cóż ci to mój chłopcze, znowuś jakiś nieswój; ach

mój Boże jak ty się niepotrzebnie przejmujesz tem wszystkiem... Więc gdzież są wreszcie Karpińscy...?

MŁODY SZERCEL. Zaraz przyjdą, zaraz będą mateczko. Chciałem, żeby wybrali się razem ze mną, ale ona zwróciła uwagę, że nie wypada. W małych miastach nic nie wypada ciągle, wszystko nie wypada, aż się ta obłuda przejada już człowiekowi...

RADCZYNI SZERCEL. Jaka obłuda? W czem? Nie rozumiem cię mój Robertuchno,... ale ostatecznie przyjdą co?

MŁODY SZERCEL. Przyjdą, przyjdą za chwilę.

RADCZYNI SZERCEL. To teraz chodź do gości ty sentymentalisto czy jaki! Tylko bójże się Boga, niech on mi znowu całego towarzystwa nie warzy, żeby nie robił takiej grobowej miny, żeby się tak nie bał wszystkich.

MŁODY SZERCEL. Ależ skądżeż, byle tylko ojciec był dla niego serdecznym, dodał mu otuchy, kilka słów.

RADCZYNI SZERCEL. Dlaczegóż ojciec niema być dla niego serdecznym. Wiesz dobrze jak Karpińskiego lubi i lubił. W tych czasach, gdy się wszyscy od niego usunęli, nawet równi mu rangą czy niżsi, myśmy ich zawsze serdecznie przyjmowali. No, no nie trzeba się znów rozdelikacać zanadto. Przed chwilą prezydentowa pytała się o niego... No chodź już ty orędowniku. *(silny dzwonek).*

(Radczyni Szercel z synem wchodzą do salonu, z którego wybiega Emma i biegnie do przedpokoju, by otworzyć drzwi).

EMMA *(do matki w przebiegu)*. Zapewne Ksiccy lub Karpińscy!

(W salonie hałas).

GOŚĆ. O następca tronu. Witamy, witamy.

ŻONA GOŚCIA. Pan Robert, a przecież już myśleliśmy, że nawet dziś nie będziemy mieć zaszczytu oglądania.

GOŚĆ INNY. Don Roberto zawsze piękny, choć dziś cokolwiek mizerny.

PREZYDENT. A pan sekretarz ma racyę, niezbitą racyę. Nasz pan minister wygląda trochę panic zkatzenjammerowany. Czemuż to, co, czemuż?

ŻONA GOŚCIA. Zapewne bumlowaliśmy do rana.

GOŚĆ. A dziś czarna kawa i cytronensaft, czy tak?

MŁODY SZERCEL. Bez przyczyny panie prezydencie, stanowczo bez przyczyny. Ot każdy człowiek przechodzi pewne fluktuacye, że tak powiem. Zdarza się czasem, że najweselszy, najdowcipniejszy, zupełnie słoneczna natura ludzka, jak go przygniecie krzywda ludzka ze wszystkich stron, to opada jak złamana gałąź i idzie już przez życie jak cień,... jak cień...

(Do jadalni wchodzą Karpińscy z Emmą.

KARPIŃSKA *(przystojna, rasowej modelacyi blondyna z wyrazem zaciętego uporu i dumy na pobladłej twarzyczce, pewna w ruchach, ale widocznie gnębiona życiem)*. Jak widzę, już bardzo wiele gości się zebrało, a my nie jesteśmy jedni z pierwszych.

EMMA. Proszę kuzynki. prosimy. Czekaliśmy tylko na państwa i na Ksickich. Pani prezydentowa już dwa

razy pytała się mnie, czy na pewno przyjdziecie, szczególnie o pana Karola *(odwraca się do bladego mężczyzny z szpakowatym krótko przystrzyżonym włosem, długimi opadającymi wąsami na bolesnej bladej twarzy, w czarnym anglezie i jasnych spodniach, wiszących jak na manekinie)*.

KARPIŃSKI *(ruchy skrępowane, nerwowe a czasem senne; poprawiając i czyszcząc sobie mocne szkła, mruży oczy; głosem cokolwiek przyciszonym chrypliwym)*. Idź Klaruś z panią, idź naprzód, ja tu sobie wypocznę... *(patrzy błagalnie w żonę, poczem z niesłychanym przestrachem w zapełniony salon)*.

KARPIŃSKA. Ależ to nie wypada Karolu, to niemożliwe! *(bierze go za rękę)*.

EMMA. Ale wypada kuzynko! Co tam! Na prowincyi wszystko wypada. Niech pani sama wejdzie do salonu, a ja tu będę towarzystwa dotrzymywała panu Karolowi.

KARPIŃSKA. Ależ moja Emciu!

EMMA. Obiecałam Robertowi.

KARPIŃSKA. Ależ moja Emciu, mój Karolu! cóż sobie wszyscy pomyślą. Nie można! Karolu proszę iść ze mną, koniecznie.

KARPIŃSKI *(cofając się ku łóżku)*. Nie, nie, nie, dej spokój Klarciu, dej spokój. Za chwileczkę, za moment przyjdę sam śmiało, a dlaczegóż nie, ale teraz...

KARPIŃSKA *(gniewnie)*. No cóż teraz? Co teraz?

KARPIŃSKI. Teraz jestem tak zmęczony, tak znużony,

że nie mogę Klarusiu... *(błagalnie).* Pozwól mi odpocząć tu chwileczkę, a przyjdę rzeźwiejszy, weselszy..

EMMA *(patrząc na niego z litością).* Niech pani męża zostawi, przyjdziemy oboje, proszę *(lekko popycha Karpińską do salonu, oglądając się troskliwie za nim).*

KARPIŃSKA. Ależ ja nie mogę tak we wszystkiem folgować jego kaprysom, bo potem do czego dochodzi...

EMMA. No to już kiedyindziej kuzynko, dziś trzeba ustąpić.

KARPIŃSKA *(wchodzi do salonu, witana głośno).*

EMMA *(wraca).*

KARPIŃSKI *(wszedł w framugę okna za firankę).*

EMMA. Panie Karolu!

KARPIŃSKI *(wychylając się na pokój).* Słucham pani, tu jestem.

EMMA. Więc tedy na jakiś czas tu zostaniemy w jadalni, ale jak pan wypocznie, przejdziemy do gości...

KARPIŃSKI *(mnąc kapelusz, z pewnem ożywieniem).* Ależ naturalnie paniusiu, nie ulega wątpliwości, z miłą chęcią, tylko ja tak zawsze na pierwszy ogień tracę całą swobodę nerwów i wolę przetrzymać niejako...

EMMA *(zbliżając się do kanapy).* Proszę tu bliżej, niech pan spocznie przynajmniej wygodnie.

KARPIŃSKI *(podchodzi i siada nieśmiało).*

EMMA *(siadając na fotelu).* Może papierosa, cygarko?

KARPIŃSKI. Nie, dziękuję; obaj lekarze kazali mi się absolutnie powstrzymać od wszelkiej nikotyny, wogóle narkotyków...

EMMA. Pan dawniej tyle palił...

KARPIŃSKI. Do trzydziestu cygaretek dziennie...

EMMA. O to teraz musi być panu często bardzo przykro, szczególnie gdy inni...

KARPIŃSKI. Nie, nie powiem. Można się bardzo łatwo odzwyczaić, oo, od wszystkiego... Dla pewnego gatunku ludzi odzwyczajanie się ma całą siłę przyzwyczajania się, tak, siłę odwrotnego nałogu.

EMMA. Jak to? nie rozumiem.

KARPIŃSKI. Tak? O to bardzo łatwe panno Trudo...

EMMA. To mojej siostrze na imię Truda, mnie Emma.

KARPIŃSKI *(niezmiernie zażenowany).* Aaa tak, prawda, to pani... Emma, ja wiem, bardzo dobrze przecicż pamiętam, znam panie przecież od dziecek.

EMMA. Jaki pan był dawniej wesoły!! Panie Karolu, pamięta pan? Och jakie to dawne już czasy!

KARPIŃSKI *(lekko w zamyśleniu).* Dawne? Właściwie i niedawne. Wcale niedawne. Jeszcze przeszłego roku na imieninach miałem swoje dawne pomysły, jeszcze figle mnie się czepiały, jeszczem w »sekretarza« się z wami bawił, potem orzechy gryzł, do tańców grałem...

EMMA *(z ożywieniem).* Pamiętam, przypominam sobie doskonale; Robert wtedy wrócił z ćwiczeń wojskowych i zaczął flirtować cokolwiek z prezydentową, myśmy się śmiali wszyscy z tego i bawili arcypysznie i zostawiali ich ciągle samych... *(śmieje się wesoło).*

KARPIŃSKI *(raptownie, wstając).* Gdzie pan Robert?

EMMA *(równie wystraszona)*. W salonie, z gośćmi; co panu panie Karolu...?

KARPIŃSKI *(opanowując się, siada)*. Nic, nic, tylko tak, jak zawsze... w salonie, oczywiście z gośćmi, bo jakżeby mogło być inaczej.

EMMA *(z wyrzutem)*. Przestraszył mnie pan.

KARPIŃSKI *(skruszony)*. Och ja przepraszam panią, wybacz mi moje dziecko, to od jakiegoś czasu, istotnie pewne podniecenie wskutek nadmiaru pracy... bezsenności.

EMMA. Ja wiem, tata nam o tem opowiadał przy stole, że pan zapracowywuje się poprostu na śmierć, że pan odrabia wszystkie zaległości za wszystkich, że pan zreferował wszystko, co gdzie było do zreferowania..., że pan jesteś wzorem!

KARPIŃSKI *(kostycznie)*. Ja...? Wzorem? No proszę, do czego to już doszło. Panowie radcowie o mnie mówią jako o wzorze, tak wzorze tylko nie do naśladownictwa, co? Bo kto »wiecznego adjunkta« będzie naśladować, sam może zostać wiecznym adjunktem... Hahaha... A to bardzo, bardzo niemiłe, nawet... straszne.

ROBERT SZERCEL *(staje w progu salonu i słucha cicho)*.

EMMA. Ależ bo panie Karolu, jak można o tem ciągle myśleć, jak można się tem jeszcze gryźć i uprzykrzać sobie życie i żonie życie i wogóle...

KARPIŃSKI *(podniecony)*. Jak można o tem myśleć...? a o czemże można myśleć, o czem trzeba myśleć... jakże ja nie mam myśleć o tem, co mnie wpół złamało

i rzuciło na śmiecie, co...? Ja najzdolniejsza siła prawnicza niby, niby najlepszy cywilista, niby najtaktowniejszy dla stron, niby najpracowitszy, niby najszybszy referent, niby atut, chluba stanu sędziowskiego, a... wieczny adjunkt, co? zdyscyplinowany, systowany, pomijany, przeskakiwany... ja! O czemże mam myśleć moja paniusiu, ja osadzony na mieliźnie, żywcem zagrzebany, ja wpakowany w kaftan bezpieczeństwa, uniemożliwiony. Nie chcę wejść do salonu... bo się wstydzę patrzyć w oczy jakiemu młokosowi, którego tytułować muszę radcą... ja... wieczny adjunkt; panie radco do Kasprzyckiego! Bo się wstydzę każdego alskultanta, bo się boję, bo się mam zetknąć z nim, z tym... bo muszę oko w oko spojrzeć, kłaniać się i symulować towarzyską gładkość, czuć się szczęśliwym, wesołym w towarzystwie... prezydenta...

MŁODY SZERCEL *(podchodząc na palcach, dyskretnie)*. Pssst. eee panie Karpiński! ciszej, bójże się Boga, prezydentowie są w salonie!

KARPIŃSKI *(wstaje raptownie, znów niesłychanie zawstydzony)*. Aaa przepraszam, znów się zapomniałem, to to ciągłe rozdrażnienie nerwów, podniecenie, noo wybaczcie, panie Robercie, panno Emmo, ale tam chyba nic słychać nie było, tam się bawią, gwar...

MŁODY SZERCEL. Przypadkowo nie było słychać, ale tego ryzykować nie można, absolutnie nie można, tembardziej kiedy...

EMMA. To ja panów zostawię teraz,... Robercie dobrze?

MŁODY SZERCEL *(do Emmy nachylając się).* Dobrze, dobrze, a siedźcie tam jeszcze długo i ty Emma uważaj, żeby nam nikt nie przeszkadzał...

EMMA *(wybiega do salonu).*

KARPIŃSKI *(łagodnie).* Niech się pan nie gniewa, panie Robercie, niech pan weźmie pod uwagę. Ja tego wszystkiego bardzo nie lubię i nienawidzę scen i spektaklów w życiu, ale uważa pan znowu przypadkowo się podrażniłem, do ostatnich granic i teraz już na nowo jestem niemożliwy... nietowarzyski...

MŁODY SZERCEL *(uspokajając go i sadowiąc na fotelu).* Ale bo nie trzeba się tak rozmyślnie egzaltować wszystkiem, tembardziej, gdy to lata trwa... to pro primo, a pro secundo właśnie, właśnie teraz trzeba zachować spokój, grandezzę, obojętność...

KARPIŃSKI. Ja to wiem, wiem, ja to czuję sam, właśnie przy takiej okazyi, na imieninach radcy, gdy cały sąd się zbiera, w salonach gościnnych, jak się to mówi, powinien człowiek towarzyski mieć tę obojętność na niedole i troski... prywatne, to pewne...

MŁODY SZERCEL. Oczywiście! Ale ja nie to miałem na myśli...

KARPIŃSKI *(z uporem).* Ale to, to, to, ja wiem, ja to dobrze czuję. Właśnie dziś powinienem być pewny siebie, wesoły... dowcipny, powinienem temu panu i tej pani dać poznać całą moją szlachetniejszą rasę, dumę, pańskie lekceważenia łajd...

MŁODY SZERCEL. Tak, to swoją drogą panie Karolu,

zapewne. zapewne, ale jeszcze dla innych powodów powinieneś pan dzisiaj być wyjątkowo uprzejmym dla prezydenta...

KARPIŃSKI. Ależ będę, będę charmant i galant dla pani, a uniżony i korny dla wszechmocnego chefa, byle mi tylko odwagi nie zbrakło, *(trwożliwie)* byle mnie kto oczyma nie sfixował i nie przygwoździł do ziemi, byle mnie nikt zanadto nie zadrasnął, byle żona... *(patrzy błagalnie na Roberta).*

MŁODY SZERCEL *(niecierpliwie).* Znów pan wpadasz, znów... odwagi... znów... żona... znów oczyma przygwoździł do ziemi..! Kto ma pana oczyma przygważdżać, kto? Przecież pan więcej wart w jednym calu, w jednym referacie, w jednej myśli od tych prowincyonalistów rutynistów, mechaników. O tem powinieneś pan ciągle myśleć...

KARPIŃSKI. A czy ja nie myślę? Mój panie Robercie! Czy ja nie myślę, czy ja nie wiem o tem? Czy ja nie ciągle gryzę się najwięcej tem mojem opadnięciem skrzydeł, tem tchórzostwem, tem uciekaniem, wymijaniem, przepłoszeniem ciągłem. W sercu na dnie mam dumę, mam przeświadczenie zdolności, pracy, wartości, ba nawet wyjątkowości mej osoby, a gdy wchodzę na salę rozpraw nogi się podemną uginają, to blednę, to się czerwienię: na sesyach nie otwieram ust, bo mnie się zdaje, żem przybłęda, żem ja obwiniony, że nie mam prawa nosić złotego kołnierza, żem darmozjad, pasożyt..,

MŁODY SZERCEL (*z rosnącą niecierpliwością*). Ależ panie Karolu, opamiętaj się pan! Już drugi raz powtarzasz pan dzisiaj te swoje przywidzenia, doprawdy nie wiedzieć, co z panem już robić...

KARPIŃSKI (*nie słysząc tego, w zamyśleniu*). I panie drogi, ja już mam taką odrazę, taką nienawiść, taką wściekłość do tego chorego tchórza we mnie, tak mnie ten stan oskarżania i poczucia winy niezawinionej czy bezwiny wyczerpał, wysuszył, wyniszczył, że już tylko marzę, śnię o jakimś nagłym kataklizmie w mej duszy czy jak to nazwać, jakiejś nagłej przemianie na odważnego, śmiałego, pewnego siebie, nawet bezczelnego Karpińskiego, tak koniecznie!

MŁODY SZERCEL. Słusznie, doskonale, nic innego! Właśnie dzisiaj pokaż się pan tym dawnym rozrywanym, wesołym panem Karolem, właśnie dzisiaj, kiedy tyle osób się zbierze z naszego kółka, no nie? Tembardziej, że...

KARPIŃSKI. Ja też chcę dzisiaj przełamać, dziś albo nigdy! Ja to czuję (*gorączkowo*), że dziś albo nigdy!... Albo do tamtego salonu (*wskazuje ręką na salon*) wejdzie śmiałym krokiem ten mój wymarzony drugi ja, pewny siebie i życia, nie dający się zatopić fatalnościom, tryumfujący, uśmiechnięty, albo (*opada na fotel, blednie; chrypliwie*) tu... zostanie kryjący się, tchórz, chory, zgnieciony marnościami... nieśmiertelny... adjunkt (*zakrywa twarz dłońmi*).

(*Cisza. Słychać zmieszany gwar salonu*).

GOŚĆ. Stanowczo najgorsze!

DRUGI GOŚĆ. Ja też doszedłem do przekonania, że najgorsze.

RADCA SZERCEL. Bo pomyślcież tylko sami! My juryści ślęczymy nad tem całe życie, studyujemy panie po sześć, ośm lat, do końca życia zdajemy wciąż egzamina, na stare lata musimy wybębniać nowe procedury, a tu siada przed tobą dwunastu jakichś spędzonych zewsząd...

PREZYDENT. Rzeźników, krawców, szewców, panie...

(*Ogólny śmiech*).

GOŚĆ. Panów przysięgłych i to na to, żeby spać, ziewać, obgryzać paznokcie...

DRUGI GOŚĆ. ...zadawać głupie pytania... (*śmiech*).

ŻONA GOŚCIA. Prosimy! Prosimy! Musi pani zaśpiewać!

RADCZYNI SZERCEL (*staje na progu salonu i prędko podchodzi do Karpińskiego i syna*).

MŁODY SZERCEL (*stał bezradny, przygnieciony; jakby budząc się*). A mameczka!...

KARPIŃSKI (*zrywa się na równe nogi*). Pani dobrodziejka... przepraszam, bardzo (*mocno zażenowany*). Zagadaliśmy się z panem Robertem...

RADCZYNI SZERCEL (*patrząc na nich badawczo; zła*). A widzę to, widzę; znowu pewnie o tych neurasteniach i spirytyzmach, tak, jakby to już w życiu samem nie było utrapień...

MŁODY SZERCEL (*energicznie, łagodząco*). Ależ nigdy mameczko, bądź spokojną, skądżeby tak ni stąd ni

zowąd *(śmiejąc się łagodnie)* o neurasteniach i... spirytyzmach...

RADCZYNI SZERCEL. Ta pewnie, że dziś bynajmniej nie dzień stosowny na takie egzaltacye... Prośże pana Karola do salonu, nie tu...

MŁODY SZERCEL. Własnieśmy mieli iść...

RADCZYNI SZERCEL. Truda prosiła, żeby jej kto zaakompaniował do śpiewu. Trzeba ojcu uprzyjemnić jakoś ten dzień przecie.

MŁODY SZERCEL. Owszem matko, owszem, co tylko odemnie...

RADCZYNI SZERCEL. Akompaniować umie tylko pan Karol...

KARPIŃSKI *(z gotowością, ale ze strachem)*. Z największą chęcią, z największą chęcią, proszę szanownej pani, tylko aż za chwilę, aż wypoczniemy, to jest aż ja wypocznę. Tak, jak obecnie, jestem zupełnie wyczerpany, zmęczony... *(blednie)*.

(W salonie gra ktoś na fortepianie pierwsze dwa takty z sympatycznie ordynarnej piosenki „Jestem mała wdówka“.

RADCZYNI SZERCEL. O, słyszy pan... Truda by śpiewała cały swój repertuar, gdyby się tylko znalazł kto łaskawy...

KARPIŃSKI *(już w strachu)*. Ależ ja! ja zagram, z największą chęcią, z miłą chęcią, tylko za moment, za momencik... Dobrze? Zostawcie mnie państwo samym, na chwilę samym, a przyjdę do siebie, przemogę się i wejdę jak tryumfator, jak hofrat... jak...

MŁODY SZERCEL *(do matki)*. Tak, to dobrze mateczko, chodźmy do salonu, sędzia zaraz przyjdzie za nami *(bierze matkę pod rękę)*.

KARPIŃSKI *(jakby ochłonął)*. Tak, tak, idźcie państwo, Karpiński zaraz będzie *(cokolwiek błędnie)* rozbawcie gości do czerwoności, a wtedy ja wejdę i będę kuł żelazo póki gorące... *(odprowadza ich dwa kroki)*.

MŁODY SZERCEL. Byle wnet!

RADCZYNI SZERCEL *(odwracając się upominająco)*. Ej, ej, panie Karolu z tymi kaprysami! nie trzeba być tchórzem i hypochondrem, nie trzeba!

MŁODY SZERCEL *(ociągając ją, gniewnie)*. No, już! już mamo!

RADCZYNI SZERCEL. Bo... oskarżymy wszystko Klarci...

(Matka z synem wchodzą do salonu. Ktoś uderza znowu kilka taktów sympatycznie ordynarnej: „Jestem mała wdówka“).

KARPIŃSKI *(stoi bezradny, blady, podnosi obie ręce do głowy, trze dłonią po czole, bezdźwięcznie)*. Nie trzeba być tchórzem i hypochondrem, bo oskarżymy wszystko Klarci *(idzie kilka kroków do klęcznika, mocno)* tchórzem i hypochondrem... och pewnie, że nie trzeba, pewnie... a jakież na to lekarstwo masz pani *(zakłada ręce w tył i ściska pięści)* co? jakie...? *(ogląda się, gdzieby siąść, siada na krześle przy łóżku wpatrzony w salon cokolwiek błędnie)*.

(Kilka taktów piosenki: o wdówce).

EMMA i TRUDA. ...I ochoty do pieszczoty
...Też nie mogę skryć
GŁOSY MĘZKIE. ...Więc kto się nie boi
...Propozycyi mojej...
(Służąca niesie z przedpokoju tacę z winem i kieliszkami i wnosi ją ostrożnie przez próg do salonu).

KARPIŃSKA *(staje w progu, ogląda się po pokoju, szuka męża oczyma; jest zarumienioną, podnieconą).* Karolu! Karuś, gdzie ty?

KARPIŃSKI *(wstaje blady, podchodzi krok).* Tu jestem!

KARPIŃSKA *(spostrzega go, biegnie do niego; ciepło).* Karuś, no chodź już do nas, chodź; wszyscy bardzo serdeczni dla nas, wszyscy pytali się o ciebie, nawet on, ona kilka razy...

KARPIŃSKI *(sztywnie, bezdźwięcznie).* Proszę, co za łaska, nawet pani! córka prezydentów, żona prezydentów, noo...

KARPIŃSKA *(gładząc go po twarzy).* Nie być mi już gorzkim, rozpogodzić mi się, będzie wszystko dobrze mój dzikusie, będzie; ja ci wszystkiego jeszcze nie mogę powiedzieć *(tajemniczo),* ale ja coś wiem, ach coś bardzo radosnego...

KARPIŃSKI *(cierpko).* Nie może być nic bardziej radosnego jak to, że się niektórzy nawet raczyli pytać o mnie radcowie matadorzy, dygnitarze, Kasprzycki... hehehe...

KARPIŃSKA. Ależ to głupstwo, to błahostka, ani bym o tem nie wspominała, tylko dla rozruszania ciebie, dla nadania ci odwagi.

KARPIŃSKI *(cofając się za łóżko Emmy; z bolesnem wyczerpaniem).* Mnie nie trzeba odwagi, ja nie chcę odwagi... ja chcę spokoju; zmiłujcie się nademną — spokoju! Ja już chcę być u siebie przy biurku i odrabiać kawałki za innych, za wszystkich, za radców, za hofratów, za chefów sekcyjnych, za ministrów, za wszystkich, byle nie tu, bo ja się wstydzę, okropnie wstydzę! rozumiesz, za to wszystko zaawansowane łajdactwo ja się wstydzę. Ja nie mogę mieć odwagi, ja nie mogę być wesoły i błaznować i akompaniować i grać do tańca... Człowiek, który trochę w sobie szanuje człowieka, nie może być odważnym tam *(wskazuje na salon)* między nimi, nie może być wesołym między nimi, dla nich, człowiek szanujący się może tylko żyć w cieniu... z daleka... osobno... tu! Zlituj się Klaruś, zostaw mnie tu, idź ty do nich... możesz...

(W przedpokoju dzwonek; służąca otwiera drzwi i wyprowadza parę ludzką: złudnie podobnego do utuczonego prosięcia MECENASA KSICKIEGO *i jego żonę równie tuczną jak spoconą* MECENASOWĄ KSICKĄ. *Z salonu wybiega Emma i wprowadza takich Ksickich do jadalni).*

KARPIŃSKA. Karuś popatrz się, na co ty mnie narażasz... Idą Ksiccy, chodź wejdziemy razem...

KARPIŃSKI *(trzymając się łóżka ręką).* Nigdy, nie ruszę się stąd... może potem... pewnie potem za chwilę...

KARPIŃSKA. Karuś! nooo, przysiągłeś, obiecywałeś mi,

obiecałeś panu Robertowi, dałeś słowo panu Robertowi, że się... zwalczysz i pokażesz wszystkim.

KARPIŃSKI *(surowo).* Teraz nie.

KARPIŃSKA *(błagalnie, wpół-obrócona do Ksickich).* Więc kiedy? kiedy?

KARPIŃSKI *(ukrywając się w róg za stołkiem),* Może... za moment... może nigdy...

KARPIŃSKA *(puszcza jego rękaw, postępuje krok naprzód i wita się z* KSICKIM*).*

KSICKI *(głos rzezańca).* O quelle beaute, o quelle grace, ach zawsze piękna pani sędzina!

KSICKA. Jak się nam miewasz śliczna pani Robertowo? Tak dawno, tak dawnośmy cię nie widzieli...

KSICKI. Odsuwacie się moje pieszczoty od naszych najserdeczniejszych.

KSICKA. Pozwól, że cię wypieszczę *(zarzuca ciężkie, potworne ręce w złoto-jedwabnym staniku na szyję Karpińskiej i całuje ją gwałtownie).*

EMMA *(śmiejąc się).* Może państwo pozwolą, wszyscy czekamy.

KSICKI. A, to idziemy, idziemy klejnocie koronny rodziny Szerclów, chodź połowica.

KSICKA. Idę, idę mój Ksicki, tylko uważasz, tak dawnośmy się nie widziały, a my ze sobą bardzo sympatyzujemy. Nieprawdaż kociałapko, że bardzo? powiedz!

KSICKI z EMMĄ *(wchodzą do salonu).*

KARPIŃSKA *(roztargniona).* O bardzo, bardzo! *(ogląda się jeszcze w ciemny pokój; szeptem proszącym)* Karolu!

(Karpińska i Ksicka wchodzą do salonu).

(Jadalnia ciemnieje. Gwar w salonie rośnie, przerywany wybuchami śmiechu, akkordami na fortepianie, nieartykułowanymi głosami głupiej ochoty życiowej itp).

KARPIŃSKI *(wpatrzony w drzwi salonu, ciężko znużony opada na krzesło, z krzesłem podsuwa się jak najbliżej łóżka, przysłuchuje się gwarowi z salonu, rozróżnia głosy rozmaite, wstaje, nadstawia uszy, znów siada, boleśnie się śmieje, coraz niespokojniejszy, burzy dłonią fryzurę, przechodzi do okna, patrzy w ulicę niespokojnie, znów wraca, coraz bardziej wzburzony, wreszcie siada na łóżku Emmy i zamyśla się w sztywnej pozycyi, wpatrzony w drzwi salonu).*

EMMA i TRUDA. Jestem mała wdówka
Lubię słodkie słówka

GŁOSY MĘZKIE. I ochoty do pieszczo... oooty...

GŁOSY. A, witamy! Witamy!

RADCA SZERCEL. Oczekiwani, pożądani, ukochani!

RADCZYNI SZERCEL. Truda, podaj wino panom.

TRUDA. Już mamo nalane!

GOŚĆ. Ileż to razy się zdarzało, że sąd przysięgłych uwalniał naprzykład przy obrazie majestatu.

GOŚĆ DRUGI. Przy zakłóceniach porządku publicznego, gwałcie publicznym, obrazie religii...

MECENAS KSICKI. Nasza najszanowniejsza, najczcigodniejsza pani prezydentowa!

KSICKA. Jakżeż teraz rzadko ma się sposobność skompletować taką miłą societę.

ŻONA GOŚCIA. Psuje się nasze miasto pod tym względem; a jakie tu były tradycye, bale kostyumowe, pikniki, kuligi po ośm dni...

RADCZYNI SZERCEL. Mój Boże! ta to niedawno jeszcze, jak tylko sędzia Karpiński co aranżował,

ŻONA GOŚCIA. Zawsze wszystko się udawało, wszystko, ale teraz, odkąd mąż pani się wycofał z Kasyna i z całego życia towarzyskiego...

PREZYDENT *(stając w progu do salonu).* Ma pani najkompletniejszą racyę. Wszystko tu na nim się opierało. *(Wchodzi z* KSICKIM *i* KARPIŃSKĄ *do jadalni; panowie zapalają sobie cygara).* Pani Karolowo... *(zapala cygaro)* co do mnie, to jest i co do żony mojej, to jedno, zaznaczam, to jedno mamy tylko do zarzucenia mężowi pani, że tak panie egoistycznie panie odsunął się nagle od nas wszystkich...

KSICKI. To, to, oczywiście to jedynie, pozbawiając nas przez cały rok towarzystwa tak pięknej żonusi.

PREZYDENT *(dobitnie).* I bardzo panie małemi przeciwnościami losu dał się tak zrazić, pokazał tak mało hartu, siły woli etc. Zresztą, no mój Boże, to tak młody człowiek, kochana pani, że jeszcze wszystko może odrobić.

KSICKI. Dzieciak, trochę szpakowaty, ale dzieciak wobec nas, wobec mnie, prezydenta, solenizanta.

KARPIŃSKA. Ach łaskawy panie prezydencie, żeby on to mógł wszystko słyszeć *(patrzy troskliwie w pusty pokój).*

KARPIŃSKI *(z wyrazem bezbrzeżnego strachu i moralnej odrazy, cofa się jak najgłębiej w łóżko).*

PREZYDENT. Moja kochana pani sędzino, toż ja mu to wszystko w oczy powtórzę, z największą panie chęcią, o ile to będzie miało jaki panie pozytywny skutek. Przecież tu będzie dzisiaj mąż pani?

KARPIŃSKA. Będzie, będzie *(niespokojnie patrząc w pokój)* to jest...

PREZYDENT. A więc! Z największą satysfakcyą powiem naszemu, już krótki czas może tylko, »wiecznemu adjunktowi« moje verba veritatis..., z całej panie dobrej woli...

(Ksicki wchodzi do salonu).

PREZYDENT *(nachylając się do niej).* To jest panie zresztą generalnie, że jego całe postępowanie było wcale nie correct, że te wszystkie panie fochy, dąsy, zrywania z branżą sądową, mizantropie, to nie na swojem miejscu i że śmiałem, pogodnem panie wzięciem się byłby sobie więcej ujął chefów, niż tem do pewnego stopnia tchórzostwem, a niby dumnem... no pani mnie rozumie... Kobiety zawsze w takich razach...

KARPIŃSKA *(z pewnym smutkiem).* Ależ rozumiem, rozumiem panie prezydencie i powtórzę mu to dokładnie *(patrzy przenikliwie w mrok pakoju i dostrzega Karpińskiego siedzącego na łóżku).*

PREZYDENT *(biorąc ją podufale pod rękę).* Aa to już zbytecznie; nie od tego są piękne kobiece usteczka. To już ja mu szczerze nie jak przełożony, ale jak

starszy panie kolega, jak brat, wszystko wyeksplikuję... no, a teraz cygarka się skończyły i wielki czas będzie wracać do salonu, jeżeli nie chcemy na siebie wzbudzić podejrzenia... flirtu *(rzuca resztę cygara, wiesza się swobodnie pod ramię Karpińskiej i wracają do salonu).*

(Mrok zapada. W salonie zapalają lampę).

(Słychać do drzwi energiczne pukanie. Karpiński przerażony staje na równe nogi, poczem znów siada, uspokaja się, jest jakby senny, zahypnotyzowany i tylko wielkimi źrenicami patrzy w pokój, w salon, w drzwi do przedpokoju).

*) *Z salonu wychodzi* RADCA SZERCEL, *szybko idzie do przedpokoju, otwiera drzwi.*

Wchodzi DRUGI ADJUNKT KARPIŃSKI *zewnętrznie tożsam pierwszemu z szpakowatym krótko przystrzyżonym włosem, długimi fantazyjnie zakręconymi wąsami na czerstwej, energicznej twarzy, w czarnym anglezie i jasnych spodniach; ruchy energiczne i zdecydowane, ciągły uśmiech na twarzy.*

DRUGI ADJUNKT KARPIŃSKI *rozbiera się z palta, energicznie poprawia szkieł, zamaszyście wita się z radcą, całują się w oba policzki,* RADCA *niezmiernie ucieszony.*

Wchodzą obaj do jadalni, DRUGI ADJUNKT KARPIŃSKI *winszuje czegoś radcy, ściska mu serdecznie dłonie, znów padają sobie w objęcia, całują się, śmieją, poczem obaj trzymając się pod ramiona, wchodzą do salonu.*

*) Pantomina.

W salonie wszyscy witają ich z radością. Panie i panny otaczają drugiego adjunkta kołem, poczem wszyscy śmieją się, podnoszą ręce do góry, klaskają w nie.

KSICKI *podchodzi do* DRUGIEGO ADJUNKTA KARPIŃSKIEGO *i rzuca się mu na szyję, wszyscy biją brawo.*

PREZYDENT *podchodzi do niego, serdecznie mu czegoś winszuje,* DRUGI ADJUNKT KARPIŃSKI *całuje go w ramię, poczem,* PREZYDENT *całuje go w czoło i kreśli nad nim znak krzyża. Wszyscy niezmiernie uradowani biją brawo.*

ŻONA *i* MŁODY SZERCEL *biorą go pod ramiona, a* TRUDA *i* EMMA *stają przed nim z tacą wina.*

DRUGI ADJUNKT KARPIŃSKI *bierze uroczyście kieliszek, wygłasza toast i szerokim ruchem obejmującym wszystkich, niesie kieliszek do ust. Wszyscy mu dziękują, całują go.* RADCZYNI SZERCEL *z rozrzewnienia płacze i ociera łzy chustką. Znać ogólną radość, serdeczność, swojskość...*

DRUGI ADJUNKT KARPIŃSKI *znużony owacyami ociera pot z czoła, otwiera drzwi szklanne i wchodzi do jadalni.*

KARPIŃSKI *w chwili, kiedy ten staje na tle drzwi szklannych, zrywa się na równe nogi, wodzi błędnym wzrokiem dookoła, dłonią jak daszkiem przesłania sobie oczy, wpatruje się w drzwi szklanne lunatycznie, wreszcie idzie naprzeciw urojonego widma jakby pijanym krokiem zataczając się, z wyrazem wściekłej, graniczącej z szaleństwem nienawiści, dysząc ciężko.*

DRUGI ADJUNKT KARPIŃSKI *pewnym krokiem prze-*

chodzi po za stołem, staje chwilę na tle drzwi do oświetlonego przedpokoju.

KARPIŃSKI *rzężąc prawie i chrapiąc, z podniesionemi pięściami staje na wprost drzwi z tej strony stołu. Przez moment patrzą na siebie.*

DRUGI ADJUNKT KARPIŃSKI *przechodzi zwolna w stronę lustra, w cień i ginie.*

KARPIŃSKI *jak wściekły rzuca się w stronę niknącego, staje przed lustrem, cofa się krok, wpatruje na moment, wreszcie podnosi ręce i z nieludzkiem chrapnięciem uderza niemi z niesłychanym rozmachem w lustro.*

Brzęk szkła padającego na podłogę sprowadza nagle całe towarzystwo z salonu. Popłoch, zgroza.

Krzyki: „światła!" „Jezus Marya!" „Mój mąż!" „Ostrożnie!" „Wody!" „Po pachołków!".

KARPIŃSKI *z wyrazem bezbrzeżnego spokoju i szczęśliwej bezmyślności wyciąga przed się broczące krwią ręce.*

ZASŁONA SPADA.

CYRCE MAŃKOWSKA

OSOBY:

PANI PRYNCYPAŁOWA.
PANNA KAZIA }
PANNA STEFA } konfekcyonistki.
PAN THUGUT, właściciel fabryki cementu.
BOGDAN COLONNA ROZDRAŻEWSKI.
HRABIA WŁADYSŁAW OLEŚNICKI.
PANI THUGUTOWA.
PANI LASKOWSKA.
PANI STERNBALDOWA.
MANIA MAŃKOWSKA }
HERMINA SANÇONCI } »z własnych funduszów«.
AGAJ ZOFIA SCHOLC }

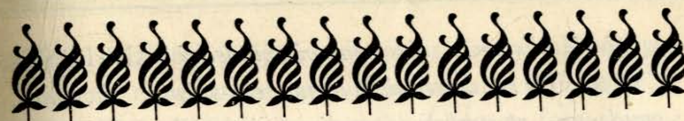
Rzecz dzieje się w Eldorado polskiej prostytucyi, na wyspie Syreniego grodu, w Warszawie. Pracownia konfekcyi damskiej na jednej z najludniejszych ulic u *madame Anna,* na pierwszem piętrze dochodowej mansardy któregoś z polskich magnatów-aferzystów.

Scena przedstawia rzęsistem elektrycznem światłem zalany pokój do przymierzania sukien, którego drzwi po prawej wskazują swym napisem: »Obcym wstęp wzbroniony«, pracownię cichych bohaterek igły; szeroka, imponująca kotara w głębi zasłania wejście do równie rzęsiście

oświeconej poczekalni; dwie wielkie szyby lustrzane wychodzą na ulicę; na szybach lustrzanych złote napisy: »Pracownia konfekcyi damskiej«, »Magasin t'hailleur des dames«. Pokój urządzony ze zbytkiem, cały kryty dywanem, z dwoma obrazami w gustownych ramach, przedstawiającymi osławione miłosne sceny Romea i Julietty, Fausta i Małgorzatki. Na środku pokoju dwa wielkie zwierciadła w kosztownych ramach, przy nich wygodne foteliki, kozetki, krzesełka. W głębi dwa długie stoły całe pokryte stosami materyi, koronek, pasmanteryi, pudełek od kapeluszów, kapeluszami, wstążkami, gipiurami, gazami, tiulami, itp. Na wieszadłach, mamekinach i po stołkach porozrzucane niewykończone suknie, staniki, wielkie bryty materyi jedwabnych itp. W progu z prawej szeroki, elegancki comptoir czy kantorek, koło niego poczciwa, otyła kasa wertheimoska, na ścianie szafka telefonu nr. 3989. Wszędzie porozrzucane tygodniki mód we wszystkich językach, żurnale, kroje...

Atmosfera absolutnej effeminacyi, bezpodzielne królestwo kobiet lekkich, lżejszych i najlżejszych.

Zima, karnawał *(Carne Vale!)* w dniach najwyższego rozpasania, 16° C., godzina szósta poobiednia.



Z ulicy dochodzi równomierny stukot gumowych pojazdów po drewnianym bruku, dzwonki tramwayów, hałas inteligentnej i barbarzyńskiej ciżby przeszło półmilionowego, anormalnie rosnącego wszerz, wzdłuż i w głąb zepsucia miasta.

W poczekalni ruch i gwar za kotarą, co moment przebiegają stamtąd konfekcyonistki i biegną do stołów lub do pracowni, wracają, przebierają między materyami, niosą pudełka do poczekalni.

Przed lustrem stoi PANI THUGUTOWA *trzydziestoletnia kobieta, o pięknej, niezwykle miękko modelowanej twarzy, słodkich oczach dziecka, z bezpretensyonalną fryzurą przebogatych lśniących włosów, ubrana z wyczerpującą się, zeszłoroczną elegancyą; w ogólnym tonie znać pewne zaniedbanie harmonizujące chyba z melancholią altowego głosu i to egzaltacyą to cierpkością intonacyi. Jest zupełnie widocznie w błogosławionym stanie, a majestat ten dziwnie drastycznie sprzecza się z luxusowym kolorytem magazynu. Pani Thugutowa przymierza przerabiany zimowy płaszcz, przy niej kręci się* PANNA KAZIA *słodka dziewczyna z Leszna w piramidalnej fryzurze. Przy oknie stoi w płaszczyku, z czapeczką w ręku dziewięcioletni* THUGUTEK, *dziwnie blada, poważna, bezsłoneczna roślina wielkomiejska, i patrzy*

w piekło uliczne... Za comptoirem siedzi PANI PRYNCYPAŁOWA *czterdziestoletnia eks-kokota siwiejąca, znudzona, „stosunkowo poczciwa" jednostka ludzka, i notuje skrzętnie rachunki w długich książkach,..*

THUGUTOWA. Giguś zdejm płaszczyk!

GIGUŚ THUGUT *bez drgnięcia.*

THUGUTOWA. Gigusiu bóstwo moje, zdejm płaszczyk, bo się zaziębisz.

GIGUŚ THUGUT *otrząsa się niecierpliwie.*

PANNA KAZIA. Trzeba zdjąć płaszczyk panie kawalerze, bo na dworze mróz, a tu jak w łazience, war idzie od kaloryferów.

GIGUŚ THUGUT *z niesłychanem znudzeniem, flegmatycznie ściąga z siebie płaszczyk.*

THUGUTOWA *(z egzaltacyą).* Grzeczny mój aniołek, śliczny, brylantowy król, słucha mamusi, słucha *(obraca się dookoła i mierzy, do panny Kazi:)* Czy tylko w tyle dobrze leży?

PANNA KAZIA *(cokolwiek mechanicznie).* Ależ świetnie, jak ulany, jak nowiuteńki, doskonale *(poprawiając fałdów)* Jak na imię synkowi wielmożnej pani?

THUGUTOWA. Jak na imię? a, Giguś, to jest Gustaw, August, August, Fryderyk, Zdzisław Thugut, moja chluba, moja perła... moje... Giguś! na zlitowanie boskie siadaj ty aniele mój, bo się zmęczysz, siadaj.

GIGUŚ THUGUT *z kapitalnem znudzeniem siada na szerokim fotelu, zrzucając na ziemię materye, próbki.*

THUGUTOWA *(w uniesieniu biegnie do niego w płaszczu).*

Moje kochanie, moje złote; patrz panna jaki on posłuszny, jakie to wzorowe, fenomenalne dziecko!

GIGUŚ THUGUT *(bezdźwięcznie).* Zdejm ty futro, bo się potem zaziębisz.

THUGUTOWA. Dobrze, dobrze; mamusia też będzie posłuszna, kiedy Giguś taki posłuszny, taki wzorowy, taki śliczny *(staje przed synkiem i prezentuje się).* No, jak ci się królewiczu mój podobam teraz w tem futrze, co?

GIGUŚ THUGUT *(odwracając się).* Nie podobasz mi się, masz brzydką figurę.

(Thugutowa i panna Kazia w śmiech).

THUGUTOWA *(do Kazi).* Słyszy panna, ha ha ha, jaki krytyk surowy! Moje dziecko, moje najukochańsze, upieszczone, najdroższe *(całuje małego i pieści z najprzesadniejszą egzaltacyą).* Czy kto widział takiego znawcę, takiego konesera? Czy uwierzy panna, że to bobie ogląda się już za każdą piękniejszą kobietą, to mało, że on zna się, chwali, gani, wie której w czem do twarzy, wie która włosy farbuje... pamięta z kim którą widział.

PANNA KAZIA. O ja to już dawno spostrzegłam *(z złośliwą intencyą).* Kawaler nad wiek swój rozwinięty, rozsądny; będzie z niego pociecha dla państwa.

THUGUTOWA. Och dla mnie to już jedyna pociecha, to jedno co mam na świecie, co mnie trzyma ze światem to ten mój królewicz z bajki *(do Gigusia).* Ale na razie mama lepszej figury mieć nie może... Jak

Giguś będzie dalej tak grzeczny i rozsądny, to mamie się wnet figura poprawi i chłopiec będzie znów dumny ze swej mamusi.

PANNA KAZIA. Więc wielmożna pani jest całkiem zadowolona z tej przeróbki? Teraz jest chyba wygodny, przestrony, a kołnierz też leży świetnie... chyba by może jeszcze podnieść go, chociaż wątpię, bo we wszystkich nowych żurnalach są niskie.

THUGUTOWA. Nie, nie trzeba, zupełnie nie trzeba *(nieśmiało)* Chciałam jeszcze oglądnąć te garnitury futrzane z niebieskich lisów...

PANNA KAZIA. W tej chwili, służę wielmożnej pani *(biegnie do stołu, do pudełek)*.

THUGUTOWA. Co prawda, dziś nie będę kupować, chciałam tylko oglądnąć, czy byłyby stosowne do tego futerka... może...

PANNA KAZIA. O, tego nie powiem, ale proszę, spróbować w każdym razie można; taki garnitur da się zawsze nosić *(przynosi dwa pudełka i wyjmuje z nich futrzane kołnierze, zarękawki, czapeczki)* ... O proszę, ten nawet stosunkowo nie drogi, a bardzo, bardzo efektowny; pani łaskawa przymierzy.

THUGUTOWA *(przymierza garnitur z prawdziwą rozkoszą, patrzy w lustro, odsuwa się)*. Swoją drogą mnie się zdaje, że dla mnie, obecnie, to jest przy tej figurze takie rzeczy są niestosowne, za żywe, nie?... za mało poważne...

PANNA KAZIA *(rumieniąc się)*. O, dlaczego proszę łaskawej pani? pani hrabina z Wiejskiej ulicy także jest... także w tym, to jest odmiennym stanie proszę, a przedwczoraj taki sam u nas kupiła, jeszcześmy do czapeczki czaple pióra doszywali...

THUGUTOWA. Tak, tak, ale to co innego, im wszystko wolno i wypada!... *(wskazując garnitur na sobie)* Musi być bardzo drogi.

PANNA KAZIA *(patrząc na pudło)*. O, nie, wcale nie, ten drugi droższy, ten 180 rubli.

THUGUTOWA *(z przestrachem)*. 180 rubli! 180 rubli! Ależ nie może być... *(smutnie)*. To mnie ani nawet myśleć o tem, prawda Giguś? skądbyśmy wzięli... 180 rubli!

PANNA KAZIA *(dyskretnie)*. Wielmożna pani żartuje!

THUGUTOWA *(cierpko)*. Ech, gdzie tam żartuje..., mnie tam do żartów *(ściąga z siebie niecierpliwie garnitur, rzuca mufką do pudełka)*. Jakże można tak drogo cenić, nikt wam tyle nie da, nikt, pakuj to panna; proszę mi tamten żakiet stary odesłać do domu, ja już zostanę w tem futrze... *(cokolwiek szorstko)*. Giguś ubieraj paltocik.

GIGUŚ THUGUT *(siedząc na fotelu, przegląda z żywem zainteresowaniem żurnale, ani drgnie)*.

THUGUTOWA *(podchodząc do comptoiru)*. Okropnie drogie te lisy u was moja pani, któżby to kupił.

PRYNCYPAŁOWA *(ożywiając się)*. O, tak się mówi łaskawa pani; trzy garnitury już poszły, tylko dwa jeszcze zostały i te zaraz pójdą...

(Dzwonek od telefonu: dzzzzyń, dzzzzyń).

PRYNCYPAŁOWA *(ostro).* Kazia! do telefonu. Lisy teraz ogromnie w modzie; mówiła nam jedna pani, która przedwczoraj wróciła z Paryża, że wychodzić z Renaissançu albo z Opery to nic tylko same lisy niebieskie, albo i gronostaje. Wprowadziła panna Wanda Choińska, nasza proszę pani rodaczka, ona jest w Odeonie, czy Ambigu, nie wiem dokładnie, a od niej cała arystokracya...

PANNA KAZIA *(przy telefonie).* Z Bristolu proszę pani jakiś pan pyta, czy kostyum damy coeur dla panny Mańkowskiej gotowy...

THUGUTOWA *(drgnęła cała i lekko pobladła).*

PRYNCYPAŁOWA *(do Thugutowej).* Przepraszam panią, tylko to załatwię *(do Kazi).* Co za pan?

PANNA KAZIA. Jakiś pan, gość przez płatniczego, czy kostyum na maskaradę panny Mańkowskiej gotowy?

PRYNCYPAŁOWA *(niezdecydowanie).* Cóż to za głupie pytanie? kto?... zresztą powiedz, że gotowy, od rana gotowy, ale się go nie wyda, dopóki conto panny Mańkowskiej nie będzie wyrównane... przepraszam wielmożną panią... ale co to?... pani zbladła... w tym gorącu, w futrze, naturalnie, proszę, niechże pani zaraz siądzie *(schodzi z za comptoiru, poddaje Thugutowej fotel, ta siada).*

THUGUTOWA. ... To nic, to chwilowe, tu jest istotnie niemożliwe gorąco, a ja jestem tak wrażliwą...

PRYNCYPAŁOWA. Szczególnie teraz chyba, przypuszczam, niechże łaskawa pani choć zwilży usta *(podaje jej szklankę wody sodowej z jakimś sokiem).* Zawsze mamy na podorędziu wodę sodową, bo dość często się zdarza...

THUGUTOWA *(wypiła).* Dziękuję, już mi lepiej; przepraszam panią za tyle ambarasu... Giguś jesteś gotów? A teraz chciałabym mój rachunek wyrównać... choć w części... *(zakłopotana),* gdyż zdaje mi się większa kwota już się... to jest... większa suma już pewnie, bo kilka razy... *(wstaje).*

PRYNCYPAŁOWA *(słodko).* A, z największą przyjemnością. Zaraz się wystawi pani pokwitowanie, ale niema co się spieszyć, musi łaskawa pani trochę jeszcze odpocząć.

PANNA KAZIA *(odejmując słuchawki telefonu).* Ten pan co się pytał, zaraz tu będzie *(dyskretnie, tylko do pryncypałowej).* Mówi płatniczy Artur, że stary wściekły...

PRYNCYPAŁOWA *(karcąco).* Co za stary?

PANNA KAZIA *(zawstydzona),* A no niby ten pan od panny Mańkowskiej; płatniczy Artur nie mówił, co za jeden, tylko ten stary, że jest wściekły, że się mu o rachunkach powiedziało, i że zaraz tu będzie...

PRYNCYPAŁOWA. Dobrze, już dobrze, niech tylko płaci... *(do Thugutowej).* Służę pani *(idzie za comptoir)* ... przepraszam, że zatrzymuję, ale doprawdy, powinna pani jeszcze spocząć *(patrzy w książki rachunkowe i liczy osobno na ćwiartce).* Noo w tym sezonie... od jesieni począwszy, nie było dużo... bardzo mało, same

przeróbki i zmiany... wielmożna pani Aleksandra Thugut... 18 rubli, a 95 rubli, a 73 ruble, a 44 rubli to za ten żakiet jesienny.., a 123 ruble... to jedyna większa pozycya teraz, ta wełniana suknia, a 25 rubli, a teraz 12 rubli — razem czterysta pięćdziesiąt.

THUGUTOWA *(z przestrachem).* Aż 450 rubli! Nigdy nie myślałam, że aż tyle...

PRYNCYPAŁOWA *(zdziwiona).* Jakto aż tyle? Innemi laty, pamięta pani wielmożna, bywało do 2500, do 3000 rubli; przecież dobrze pamiętam tę suknię balową: sama jedna przeszło 450 rubli...

THUGUTOWA *(szybko).* Tak, to prawda, bywało więcej, no widzi pani tego roku ja nie potrzebuję, absolutnie nie potrzebuję, nigdzie nie bywam, o karnawale nie wiem, więc...

PRYNCYPAŁOWA *(protekcyjnie).* Tak, ja to pojmuję, oczywiście, nie może być inaczej; przecież będąc przy nadziei nie można ubierać się w dekoltowane suknie, Rembrandty, lub tańczyć. ...O, tu proszę pani łaskawej pokwitowanie...

THUGUTOWA *(niespokojna, strapiona).* Tak? no dobrze, ale ja tyle gotówki nie wzięłam z sobą, ani połowy... tak to jest... ja... tylko na conto w takim razie...

PRYNCYPAŁOWA *(zamykając hałaśliwie wielką książkę).* Ależ proszę łaskawej pani, proszę, przecież my dobrze wiemy; pokwitowanie się poszle do domu razem z żakietem; chłopak zaniesie...

THUGUTOWA *(wyjmując nieśmiało z pugilaresku banknot).* A tymczasem z mojego conta odliczy pani 25 rubli.

PRYNCYPAŁOWA. Dobrze, dobrze, to drobnostka, proszę się tem nie kłopotać, to zresztą może pani wielmożna już razem w domu zapłacić, po cóż osobno...

THUGUTOWA *(chowając banknot ochotnie).* Tak?... A to dobrze, tak będzie najlepiej, tylko... jeżeli to pani nie zrobi różnicy, to może... oczywiście, jeżeli tylko trzeba to zaraz... ale dogodniej by mi było w przyszłym miesiącu wyrównać...

PRYNCYPAŁOWA. Ależ naturalnie, naturalnie, niema o czem mówić, kiedy szanowna pani sobie tę drobnostkę przypomni..., proszę tylko dla naszego etablissement zachować sympatyę... Z ostatniej roboty myślę, że pani zadowolona...

THUGUTOWA. O, tak, to drobiazg, ale zawsze jest mi w tem wygodnie... ale... a propos chciałam się panią jeszcze o coś zapytać *(ogląda się znacząco za panną Kazią).*

PANNA LOLA *dziewczyna w rażąco secesyjnym stylu koafiury, ubrania, cery, twarzy, wpada z pracowni z efektownym kostyumem damy kierowej i obie z* PANNĄ KAZIĄ *układają go na kozetce, przyglądając się rozłożonemu z lubością).*

THUGUTOWA *(jeszcze więcej zmieszana).* W pewnej sprawie cokolwiek drażliwej, tak, że wolałabym, aby...

PRYNCYPAŁOWA. Rozumiem, rozumiem *(do dziewcząt ostro).* Proszę panien nie zabawiać się, tylko do poczekalni.

PANNA KAZIA *wybiega szybko.*

PANNA LOLA *z gestami obrażenia i uporu wychodzi powoli, wzruszając pogardliwie ramionami.*

THUGUTOWA *(niepewnym głosem).* Ja tylko, to jest oddawna już chciałam się pani zapytać, czy tu u pani, tak tylko z ciekawości... czy tu ubiera się u pani... ta... *(jąkając się)* ta pann... *(wskazuje mufką na kostyum damy kierowej).*

PRYNCYPAŁOWA *(lekko zakłopotana).* ...Kto?... aha ta panna, to jest niby... ta Mańkowska? ...a tak u nas się ubiera, ale to darmo proszę pani, my nie możemy wybierać, to jest przebierać w klienteli, to darmo, żadna pracownia nie przebiera... tu już wiele pań się skarżyło, ale cóż ja na to pocznę? my na tych paniach stoimy tak, wszystkie magazyny na tem stoją, ooo ja nie ukrywam proszę łaskawej pani; i Scholzówna się tu ubiera i trzy Marcinkowskie i Mańkowska i Stefańska i ta jakżeż jej tam.., ale to też one nadają szyku w całem mieście...

THUGUTOWA. Mnie też zupełnie nie razi, nie dlatego się pytam, tylko tak...

PRYNCYPAŁOWA. Ja też domyślam się, że łaskawej pani o to nie rozchodzi się, bo skądże, przecież zresztą w całym cywilizowanym świecie: w Paryżu, w Nicei, w Aix les Bains, no i u nas przecie i pierwsze panie z teatru i najwyższy high-life, owszem kilka pań każe sobie zawsze robić suknie według Marcinkowskiej, bo ta ma wszystko od mistrza Martiala, od Armanda...

THUGUTOWA. Słyszałam, słyszałam; ta Mańkowska ubiera się też prześlicznie, one wszystkie ubierają się bardzo estetycznie... czasem... więc proszę pani, czy... czy ta panna, ta Mańkowska tu bywa... bo ten kostyum naprzykład...

PRYNCYPAŁOWA *(podchodząc do kozetki i rozkładając kostyum).* ...O bywa; ten kostyum to na dzisiejszą maskaradę w redutowych... Niech pani wielmożna sama powie; nasza pracownia dla tych pań zrobiła sześć kostyumów, to jest ten kostyum pompadour dla panny Sançonci, dla trzech Marcinkowskich trzy suknie à la Diana de Poitiers, à la madame de Sevigne, à la Dubarry, a dla tej zwaryowanej Scholzówny szambelana Mossakowskiego kostyum Joanny papieżycy...

THUGUTOWA *(z wzrastającem zainteresowaniem, zasłuchana).* Jaki?... przepraszam, bo nie zrozumiałam...

PRYNCYPAŁOWA *(śmiejąc się serdecznie).* ...ach, a czy wielmożna pani myśli, że ja rozumiałam? Kostyum żony jakiegoś papieża z średnich wieków, która sama była papieżem podobno... tak mi panna Scholzówna tłómaczyła i dała nam obrazek, przedstawiający ową papieżycę i w tym kostyumie będzie na dzisiejszej maskaradzie...

THUGUTOWA *(z szczerym podziwem).* Ależ to nieprawdopodobne moja pani *(śmieje się).*

PRYNCYPAŁOWA. A jednak prawdziwe. Na dzisiejszej maskaradzie ma być premiowanie najpiękniejszej maski wspaniałą brylantową broszką, którą ofiarował na to ordynat Tenczyński...

THUGUTOWA. ... na premiowanie maski?...

PRYNCYPAŁOWA. Tak; otóż teraz już agitują dwie partye, gdyż kandydują na broszkę panna Scholz ta półwaryatka i Mańkowska...

THUGUTOWA *(z wzrastającą ciekawością)*. Taak, no i co? no i co?...

GIGUŚ *(z fotelu)*. Nudzi mi się, chcę już do domu! *(wstaje)*.

THUGUTOWA *(niecierpliwie)*. Teraz czekaj troszeczkę.

GIGUŚ *(stanowczo)*. Nie chcę czekać... Zaraz idziesz, albo Giguś sam pójdzie...

THUGUTOWA *(ze złością)*. Niedobry, niegrzeczny dzieciak! ... Więc cóż? mów pani... wszystko cokolwiek pani wie... proszę, ani pani uwierzy jak mnie to wszystko zajmuje... proszę się niczem nie krępować...

PRYNCYPAŁOWA *(skromnie)*. Ja tam tylko tyle wiem co słyszę rozmowę między temi pannami... tutaj... w probierni... otóż za Scholzówną agituje i już teraz zbiera bilety wizytowe szambelan Bossakowski, a za Mańkowską agitują hrabia Oleśnicki młodszy i jakiś stary bogacz, ale który się ukrywa, ten który za nią wszystko płaci, utrzymuje ją niby, ale incognito.

THUGUTOWA *(zupełnie zmieszana, przybladła i jakby bliska zemdlenia, opada na fotel)*.

GIGUŚ *(w paltociku, czapeczce, przy drzwiach)*. Idziesz mama, czy nie?... to paa...

THUGUTOWA *(z wysiłkiem podnosząc się, błagalnie)*. Giguś! Gigulu, Gig... idę, ależ idę... zaraz...

PRYNCYPAŁOWA *(odwróciwszy się, surowo do Giga)*.

... O, niegrzeczny kawaler, bardzo niegrzeczny, przecież Giguś widzi, jak mama zmęczona, fee!...

THUGUTOWA. To nic, to nic, już nie zmęczona mama, już idzie.,. *(kieruje się ku wyjściu)* ...mama już musi iść... *(do pryncypałowej)*. Ani pani nie przeczuwa... ile... ile pani wdzięczna jestem za te informacye... tak... ale jeszcze... więc ta panna,... ta Mańkowska tu dziś jeszcze będzie?... pewnie...

PRYNCYPAŁOWA *(wyciągając złoty zegareczek z za paska)*. Tak... o 7-dmej zamykamy magazyn, więc między szóstą a siódmą... ale dlaczegóż wielmożna pani tak...

THUGUTOWA. Nic... nic, tak tylko, mam w tem swój interes... w każdym razie dobrze, że wiem... popróbuję... Giguś!...

PRYNCYPAŁOWA *(badawczo)*. No... ciekawam, bo cóż wielmożną panią... zresztą cóż nas to... *(z uśmiechem)* do szóstej są te panie wszystkie w cukierniach, albo w Alejach, na gumach hahaha.

THUGUTOWA *(z uśmiechem)*. Ano tak podobno być musi, trzeba się godzić z tem... Giguś dej rączkę... do widzenia pani... *(bierze Gigusia za rączkę)*.

PRYNCYPAŁOWA. Moje uszanowanie. Adieu szanownej pani, adieu, dobra noc *(odchyla kotarę do poczekalni)*.

THUGUTOWA *(już w przechodzie pod kotarą)*. Mówię do widzenia... tak, bo być może, jeszcze tu dzisiaj do pani wpadnę... do widzenia *(znika za kotarą)*.

PRYNCYPAŁOWA *rozciekawiona, kiwając głową wraca do comptoiru.*

(Telefon: dzzzzdzzzzyń!...).

PRYNCYPAŁOWA *(cokolwiek nie w humorze).* Godzinę siedzi, a nie płaci; a jeszcze raz chce przyjść, eee... *(głośno)* Kazia! telefon!

PANNA KAZIA *(wbiega z poczekalni, w podskokach do telefonu).* Hallo! Kto mówi?... *(rozmawia).*

PRYNCYPAŁOWA *ogląda z satysfakcyą kostyum damy kierowej.*

PANNA KAZIA. Proszę pani? proszę pani! Z Europy... Pan hrabia Oleśnicki u telefonu, zapytuje czy kostyum panny Mańkowskiej gotowy?... czy tu niema panny Mańkowskiej, czy może była?... czy nie były panna Scholz z panną Sançonci?... czy ich niema?...

PRYNCYPAŁOWA *(zła).* No więc cóż czekasz, cóż mnie pytasz? nie widzisz? Gotowy, nie były, niema, będą.

PANNA KAZIA *odpowiada do telefonu.*

PRYNCYPAŁOWA *(z pasyą).* Co oni się wściekli wszyscy z tą Mańkowską?... Boże Ojcze taka wywłoka i taką karyerę robi... to jednemu Pan Bóg wszystko da, a innej to jednego starego poskąpi...

PANNA KAZIA. Proszę pani! Pan hrabia pyta, czy nie było u nas pana Thuguta?

PRYNCYPAŁOWA. Jakiego? Starego? Skądże znowu, była przed chwileczką żona, ale pan Thugut, skądżeby...

PANNA KAZIA *odpowiada do telefonu i zamyka.*

PRYNCYPAŁOWA. Oberwanie głowy dziś z tym telefonem, jak się zezłoszczę, to zamknę raz na zawsze, niech dzwonią aż do nagłej śmierci...

(Portyerę uchyla wysoki, wytwornie szpakowaty gentleman w kosztownem krótkiem futerku, spasły, wygolony, z cylindrem w ręku: fabrykant cementu Thugut).

PRYNCYPAŁOWA *(odwracając się, ostro).* Przepraszam, mężczyznom wstęp wzbroniony!

THUGUT *(stanowczo, lekko wzburzony).* Wyjątkowo wolny... *(oglądając się dookoła).* Wszak niema nikogo? *(surowo)* Czy z panią pryncypałową?...

PRYNCYPAŁOWA *potakuje, ale zirytowana.*

THUGUT. Jestem Thugut... telefonowałem przed chwilą do magazynu pani *(rozpina palto)* proszę natychmiast przedstawić mi rachunki... tak... ale pozwalam sobie zwrócić uwagę kochanej pani, że to .. że to nie jest w formie kupieckich interesów... tego... podobnie impertynencko... tego... telefonować... proszę natychmiast pokwitować... *(wyjmuje portfel z kieszeni i otwiera).*

PRYNCYPAŁOWA *(niedokładnie rozumiejąc).* Ależ przepraszam szanownego pana... pan szanowny zapewne w błędzie... Pani w tej chwili... przed momentem wyszła z zakładu zupełnie zadowolona.

THUGUT. Co kochana pani wyplatasz?... Co wyszła, gdzie wyszła, kto wyszła?... Mnie nie obchodzi kto wszedł, kto wyszedł... Pierwszy raz trafia mi się odbierać podobną alternatywę... tego, albo się rachunek zapłaci... albo się sukni nie wyda... i to ma być europejski interes...

PRYNCYPAŁOWA *(energicznie).* Ależ szanowny pan sta-

nowczo jest w błędzie... Dla szanownej pani nie robiło się w ostatnich czasach żadnej sukni, więc żadnej nie można było wydać lub nie wydać, zresztą...

THUGUT. Jakto się nie robiło? gdzież się robiło, a gdzież dzisiejszy kostyum damy kierowej?...

PRYNCYPAŁOWA *(staje nagle ze zdziwienia)*. ... Damy kierr...? Aha... Kostyum dla panny Mańkowskiej?... Ależ jest, jest *(wskazuje ręką na kostyum)* tu, tu, gdzieżby indziej... więc wielce szanowny pan każe sobie podać rachunek pani Mańkowskiej?... ależ w tej chwili, to tylko pewne nieporozumienie, zrozumiałe wobec tego... tak... że *(podchodzi do comptoiru, otwiera i przewraca w książce i liczy na osobnej kartce)* ... że nigdy nie przypuszczaliśmy, to jest ja nie śmiałam przypuszczać, że to szanowny pan... w tej chwili będzie...

THUGUT *(podchodząc do kozetki i oglądając kostyum)*. Więc to dla tego arcydzieła kochana pani zdecydowała się na... tego, na awanturę... no proszę. Piękne to jest, nawet bardzo piękne *(podnosi stanik)* ale...

PRYNCYPAŁOWA *(z ołówkiem w zębach)*. Ależ nigdy awanturę.. gdybym była choć trochę przeczuwała, nie pisnęłabym ani słówka, 80 *(zapisuje)* ... ale tak proszę szanownego pana łatwo wytłómaczona nieufność ze strony *(zapisuje)* 120 rubli... ze strony kierowników magazynów przy codziennych doświadczeniach i wogóle zarywaniach, 180 rubli *(zapisuje)* ... Śliczny! nasz magazyn w każdym razie odniesie tryumf, bo oba konkurencyjne kostyumy wyszły z pod... 75 rubli *(zapisuje)* ... Tak, teraz sobie zsumujemy... Już szanowny pan z pewnością będzie z nas zadowolony po dzisiejszym tryumfie... Oto jest... a tu pokwitowanie... *(podchodzi do niego z dwoma papierkami)*.

THUGUT *(patrząc przez pincez-nez w rachunki)*. Więc teraz łaskawa pani dopiero pozwolisz na wydanie... czy tak?... bagatela... do 800 to znaczy do tysiąca rubli... tak... no proszę... *(podaje pryncypałowej kilka banknotów)* tak, a teraz proszę zawsze każdy rachunek pani... panny Mańkowskiej posyłać zaraz do kancelaryi, tak, nie do kantoru w mieście, tylko do kancelaryi fabryki... wie pani gdzie...

PRYNCYPAŁOWA. O, wiem, skądżeby też *(idzie do kasy wertheimowskiej i chowa pieniądze, ale nie zamyka jej, tylko wziąwszy z kantorka inny rachunek, podchodzi z nim do Thuguta; symulując pewne niezdecydowanie)* A tu proszę szanownego pana, to już odrazu... przy sposobności to możeby się i z temi drobnostkami uregulowało *(wręcza mu papierek)*.

THUGUT *(czyta)*. Czterysta pięćdziesiąt, tak, bardzo pięknie... tak, ale to przy innej tego okazyi... tak, nic chyba pilnego.

PRYNCYPAŁOWA *(z ociąganiem się)*. To nie! Nie koniecznie, ale jeśliby wielce szanowny pan mógł przy dzisiejszej okazyi... bo to z końcem miesiąca wypłaty mamy ogromne... tak, a to zalega od jesieni, cóż, drobnostka...

THUGUT *(sucho, chowając portfel i zapinając futerko).* Nie, to już kiedyindziej... nie bankrutujemy ani ja, ani pani... W każdym jednak razie conto mojej żony proszę na tej pozycyi zamknąć, nie płacę żadnych długów... ostrzegam... *(popatrzywszy jeszcze raz na kostyum, wkłada cylinder na głowę)* kostyum wydaje mi się bardzo stylowym... to prawda... *(prawie wesoło, już na wychodnem).* Jeżeli ten kostyum otrzyma pierwszą nagrodę...

(Z za kotary wchodzą: mecenasowa LASKOWSKA *i doktorowa* STERNBALDOWA, *przeciętnie hałaśliwe i trywialne mieszczanki z t. zw. inteligencyi, lafiryndy trottoirowe, pozujące bez ostatecznego zdecydowania raz na kokoty, raz na damy z towarzystwa. Laskowska fason lalki o mózgu lalki, z trocin. Sternbaldowa przysadzista, krzaczasta semitka).*

THUGUT *(uchylając cylindra).* A przepraszam! *(kończąc do pryncypałowej i wkładając cylinder napowrót)* to w takim razie i drugie conto zaraz się wyrówna... dobra noc pani, adieu *(wychodzi).*

LASKOWSKA. Dobry wieczór, cóż ten tu?

STERNBALDOWA. To Thugut, prawda? ten milioner?

LASKOWSKA. Ach gdzież tam zaraz milioner.

STERNBALDOWA. Ale zawsze krociowi ludzie... Nieprawda?... Cóż, czy zgodzi się pani na ośmdziesiąt rubli za tę suknię wełnianą? po tośmy właśnie wstąpiły...

PRYNCYPAŁOWA *(sztywno, niezbyt grzecznie).* Nie proszę pani, ani na 95, tylko równe sto.

LASKOWSKA. Julo, popatrz się, jakiś kostyum na maskaradę, ale śliczny *(ogląda, podnosi suknię).*

STERNBALDOWA. Śliczny jak z cukru! Pewnie na dziś?

PRYNCYPAŁOWA *(wracając za comptoir).* Ehe.

LASKOWSKA *(z źle tajoną zawiścią).* Mogłabym się założyć, że dla którejś z tych, co się na gumach rozbijają.

STERNBALDOWA. No, a tyś myślała, że dla Urszulanek, czy Sakrekerek...

LASKOWSKA. Właśnie, że ja zgadłam, że dla którejś kurtyzany... Któżby mógł sobie pozwalać na takie zbytki, moja kochana; zresztą co prawda uczciwa kobieta by się w taki kostyum nie ubrała.

STERNBALDOWA. Eh, daj tam spokój Zosiu, gdyby tylko można... hoho każda z nas, no przyznaj się... myślisz, żebym nie poszła naprzykład na dzisiejszą maskaradę... och joj dałabym pięć lat życia, gdybym mogła, tylko nie mogę, bo wiem, że Sternbald na niej będzie...

LASKOWSKA *(z dumą).* Ale mój mąż nie będzie...

STERNBALDOWA. A bo musi grać w karty, z fachu... to co innego, *(do pryncypałowej)* więc jakże będzie z nami?... proszę pani a czyj ten kostyum?

PRYNCYPAŁOWA *(wymijająco).* To jednej z pań z baletu...

STERNBALDOWA. Bączkowskiej?

PRYNCYPAŁOWA *(sucho).* Nie, proszę pani.

LASKOWSKA. Siekierskiej?

STERNBALDOWA. Pławickiej?

LASKOWSKA. Piszczakiewiczównej?

STERNBALDOWA. Rombini? no więc czyj? niech nam pani powie, zachowamy dyskrecyę.

LASKOWSKA. Aaa, już wiem, pewnie tej, co teraz ma przejść do dramatu, jeżeli ją przeforsuje hrabia Oleśnicki z swoją kliczką.

STERNBALDOWA. Acha, tak! *(z wybuchem)* Mańkowskiej.

PRYNCYPAŁOWA *potakuje.*

LASKOWSKA. O, tak, ja zaraz domyśliłam się, to ładna, o ładna, ślicznie zbudowana kobieta, co za biusta, co za prześliczne biusta, co za biodra! mówię ci Jula, że doprawdy nie ma się co dziwić mężczyznom, że tak lecą na nią na złamanie karku.

STERNBALDOWA. Ubiera się ślicznie, wszyscy mówią, pisali gdzieś nawet, że na wyścigach miała poemat z koronek i piór na sobie.

PRYNCYPAŁOWA *(z prostotą).* Ubiera się u nas i u Armada paryskiego...

LASKOWSKA *(staje z podziwu).* Doprawdy?

PRYNCYPAŁOWA. Można przejrzyć książki... I ta suknia jej zielona palietkami cała obszywana, sławna na całe miasto i ta narzutka z koronek z białym kołnierzem z angielskiej gipiury... wszystko u nas.

STERNBALDOWA. No, no, nic nie wiedziałyśmy; więc teraz moja pani, jakże będzie z moim kostyumem?... Więc ośmdziesiąt pięć...

LASKOWSKA. No, daj już 90...

STERNBALDOWA. Dobrze już, więc niech stracę: 90.

PRYNCYPAŁOWA *(z lekceważącym śmiechem).* Eee co tam łaskawa pani masz tracić, to już niech kto inny traci... prix fixe, prix fixe, prix fixe...

STERNBALDOWA. A zdecyduje się pani dodać ten haft z sutażu?

PRYNCYPAŁOWA *(sucho).* Owszem, za osobną dopłatą... 10 rubli, razem sto dziesięć.

LASKOWSKA *(zamyślona).* Prawda proszę pani, ta Mańkowska jest teraz na utrzymaniu szambelana Bossakowskiego?

STERNBALDOWA. Ależ Zosiu! co ty za herezye wyplatasz, jeszcze nie wiesz, sto razy się o tem na dzień mówi, a ty jeszcze...

LASKOWSKA *(przypominając sobie).* A, prawda, przepraszam cię, jakże ja mogłam zapomnieć, ale bo tyle się tego słyszy, że potem wszystko się miesza. To Scholzówna ta ekscentryczka u Bossakowskiego, Marcinkowskie u ordynata, najmłodsza Marcinkowska u księcia Zbaraskiego, a Mańkowska żyje z Oleśnickim.

STERNBALDOWA. Średnia Marcinkowska u ordynata, najmłodsza u Salomona Steiermarkera, wszystkie mięszasz...

LASKOWSKA. Mnie chodzi o Mańkowską teraz; więc prawda proszę pani, że Mańkowska z Oleśnickim.

PRYNCYPAŁOWA *(ziewając bez żenady).* Prawda i nie-

prawda proszę pani. Świat mówi, że u hrabiego, cały świat, a ja swoje wiem...

LASKOWSKA i STERNBALDOWA *(zainteresowane do najwyższego stopnia).* Więc u kogo? u kogo? powiedz pani.

PRYNCYPAŁOWA *(stanowczo).* Nie mogę, zresztą panie wybaczą, ale ja mam czas wyrachowany... więc...

STERNBALDOWA. To ja już daję sto rubli, ale musi być ten haft.

PRYNCYPAŁOWA *(sztywnie).* Nie, bez haftu.

LASKOWSKA *(skromnie).* Słuchaj Jula: to ja dodam te dziesięć rubli, tylko *(wracając się do pryncypałowej, z błagalną miną, niepewnie),* tylko pani kochana nam powie to o Mańkowskiej, na czyjem utrzymaniu...

PRYNCYPAŁOWA *(surowo, obrażona).* Pani chyba żartuje... *(odwraca się i sztywnym krokiem idzie do pracowni, trzaskając za sobą drzwiami).*

(Z poczekalni słychać srebrzysto-wyuzdany śmiech kobiet, hihoty, głośne zdania, wpada panna Kazia i trzyma szeroko odchyloną kotarę, z za której wchodzą panny: MAŃKOWSKA, SCHOLZ, SANÇONCI, *za niemi* PANNA STEFA).

LASKOWSKA i STERNBALDOWA *patrzą na siebie kompletnie zdekoncertowane, nie wiedząc co z swemi figurami podziałać.*

(Dzwonek telefonu: dzzzzzń, dzzzzzń).

MAŃKOWSKA *imponująca Rubensową pełnią bioder, kształtną zwięzłością różowych kolan, niepojętem zdrobnieniem stóp, Tycyanowskiemi liniami pleców i jedwabną kataraktą rudo-kasztanowych włosów; oczy wilgotne najedzonej pantery, ząbki młodych kotów, timbre głosu greckich ephebów.*

HERMINA SANÇONCI *gryzetka francuska, znaleziona pod mostem na Pradze, bez imienia, nazwiska, ojca, matki, religii, skrupułów społecznych; niska, szczupła, arogancka, o oczach blado-fiołkowych, ciemniejących i fosforyzujących jak węgle na widok każdego lepiej zbudowanego mężczyzny,*

ZOFIA AGAJ SCHOLZ, *wysoka i smukła jak pinia, alabastrowej karnacyi i cery, zielone oczy jaszczurów, przesadnie plastyczne cuda okrągłych piersi, długie nogi Fidyaszowej modelacyi. Fryzura od poczciwej Cleo de Merode, mądra dla hebanowych, w niebieski połysk wpadających włosów. Wąż ten w czarnej, obcisłej sukni, ma biały gronostajowy kapelusz, a po wyleczonym śmiercionośnym jadzie została mu melancholia centralizująca się w potwornie pięknych zapadających się oczach-kameach i ukochanie wszelkiej „literatury“ i wszelkich ekscentryczności. Przepada za maraskinem, androgynizmem, a wężowej natury będąc, objadłszy się mężczyznami, zwija się w kłębek i śpi, a w śnie jeszcze wzdycha i pyszczek otwiera szeroko.*

(Dzwonek telefonu: dzzzzzń, dzzzzzń, dzzzzzyń).

MAŃKOWSKA *(wesoło, imperatywnie).* Panno Kaziu do telefonu, hopla... *(do dam serdecznie).* Dobry wieczór paniom!

LASKOWSKA i STERNBALDOWA *nie odpowiadając, cofają się w bok.*

PANNA STEFA. Zaraz pójdę po pryncypałową *(biegnie do pracowni).*

SANÇONCI *(biegnie wprost do kostyumu).* Jest, jest, jest! Mańka jest twój kostyum, śliczny, psia kostuśka, śliczny, brillant, excellente, collosal!

MAŃKOWSKA. Pokaż, pokaż...

PANNA KAZIA *(przy telefonie).* Hallo! Jest... Madame Anna, tak,... proszę, są panie, w tej chwili przyszły proszę jaśnie pana... *(urywa; do dam)* Pan Colonna Rozdrażewski pyta się, czy panie tu są... z Bristolu... i gdzie pan hrabia Oleśnicki może być teraz, czy panie nie wiedzą?...

SANÇONCI *(krzyczy).* W powozie, czeka na dole.

PANNA KAZIA. Dobrze i gdzie pan Gęborzewski?

MAŃKOWSKA. W cyrku na próbie, albo w tattersalu, gdzieżby...

PANNA KAZIA. I gdzie stary pan Thugut?

MAŃKOWSKA i SANÇONCI *w śmiech.*

PANNA STEFA *wraca z pracowni i podchodzi do cofających się z widowni Laskowskiej i Sternbaldowej.*

MAŃKOWSKA *(zanosząc się od śmiechu i równocześnie zdejmując, a raczej zdzierając z siebie wspaniałe sobolowe futro).* Powiedz panna, że stary Thugucik w kantorze, albo w fabryce...

SANÇONCI. I żeby pan Colonna zaraz pojechał po pana Gęborzewskiego i po pana Thuguta.

MAŃKOWSKA *(z furyą).* Co? Ty sfiksowałaś Sansuska na glanc, czy tobą zakręciło? po co mi tu starego sprowadzasz na łeb...

SANÇOUCI. A to prawda. *(Do panny Kazi)* Więc tylko, żeby pan Colonna i pan Rębaczewski tu zaraz do nas przyjechali, bo reina będzie próbowała kostyumu, a hrabia Oleśnicki, powiedz panna, marznie sam na dole w karetce...

PANNA KAZIA *telefonuje.*

(Z pracowni wchodzi PRYNCYPAŁOWA *i kłania się sztywno.* LASKOWSKA *i* STERNBALDOWA *wobec tego wszystkiego cofły się straciwszy rezon aż do stołu w głębi; bezmyślnymi gestami dają wyraz swemu moralnemu oburzeniu, krótko konferują z* PANNĄ STEFĄ, *niecierpliwą i lakoniczną, wreszcie z szerokimi ruchami absolutnej obrazy i odrazy wychodzą.*

SCHOLZÓWNA *(która cały czas obserwowała je z miłą arogancyą cedzi flegmatycznie).* Poszły te flondry, które cały dzień pływają po Alejach...

(Wszystko w śmiech).

PRYNCYPAŁOWA *(żywsza, wesoła).* Oj masz pani racyę, masz, te flondry to coś okropnego, godzinami wysiadują...

SANÇOUCI. Wyłącznie dla macedonii jedwabiu i koronek; zna się takie, zna... Lepsze ze sklepów wylewają. *(Śmiech).*

PRYNCYPAŁOWA. Och! Oczywiście i to siedzi, siedzi, dobrze panna mówi, dla koronek i jedwabiu i gada,

gada, aż w brzuchu wierci i pyta się i targuje się, że dyabli człowieka biorą...

PANNA STEFA *(do Mańkowskiej, podnosząc kostyum).* Będzie pani zapewne zaraz próbować?

MAŃKOWSKA. Zaraz, natychmiast, bo chcę być już w kostyumie, jak chłopcy przyjdą... a Olesia trzeba będzie zaraz zawołać...

PANNA KAZIA. Służę pani... stanik...

PRYNCYPAŁOWA *(nachylając się do Mańkowskiej, półgłośno).* Przed chwilą był tutaj pan Thugut.

MAŃKOWSKA *(zdziwiona).* Tutaj? *(do przyjaciółek).* Słyszycie? Stary tu był... Po co? Z czem?

PRYNCYPAŁOWA. Zapłacił rachunki!...

MAŃKOWSKA *(dość radośnie).* Zapłacił rachunki, moje? tak? Bardzo słusznie. Zacny paradyer, zacny staruszek, święty staruszek; dostanie za to buzi, buzi i wszystkiego, co będzie chciał...

(Ogólny śmiech).

PRYNCYPAŁOWA *wskazuje gestem na dziewczęta sklepowe upominająco.*

MAŃKOWSKA *(rozpinając stanik jeszcze bez zdjęcia kapelusza).* Panny konfekcyonistki nie słuchać, nie gorszyć się, nie patrzyć się, bo ktoby zgorszył jedną z tych maluczkich, godzien jest, aby mu kamień młyński przywiązano do szyi...

SCHOLZÓWNA *(równie sentencyonalnie).* I pokazywano w panoptikum...

(Ogólny śmiech).

PANNA STEFA *(rezolutnie).* To czy mam iść na dół proszę pani po pana hrabiego Oleśnickiego?

PRYNCYPAŁOWA *(ostro).* Siedź tu, nie pójdziesz, widzicie ją, jużby leciała na szyję; pilnuj panna swojej roboty, pomagaj pani rozbierać się.

MAŃKOWSKA *(łagodnie).* Ale może, może; panienka ruda jak kokosowy interes, hrabia nie cierpi jasnorudych słomkowych dziewiczek, może, może...

PRYNCYPAŁOWA. Ale nie o nią mi chodzi, tylko nie wypada; już się wiele pań kundmanek skarżyło, że mężczyźni efroncko zaglądają do probierni, a już podczas rozbierania się, to już absolutnie nie.

SCHOLZÓWNA *(siedząc na kanapie z przedsię szeroko wyciągniętemi nożkami, ćmiąc cieniutkiego papierosa; poważnie).* Owszem, można, pozwalam.

(Wszyscy w śmiech).

MAŃKOWSKA *(zanosząc się od śmiechu).* Agaj na rany Boskie trzymajcie mnie, jaka ona komiczna, to potrzaskać można.

SANÇOUCI. Ale trzeba tu hrabiego sprowadzić, bo tam zmarznie... *(do pryncypałowej)* proszę pani przecież to już wnet siódma, teraz już nikt nie przyjdzie, żadna z tych pań...

SCHOLZÓWNA *(przerywając jej).* Owszem. Mogą przyjść i przyjdą. Ale cóż z tego? Piękna, dobrze zbudowana indywidualność może się wszędzie rozbierać, nawet na ulicy.

MAŃKOWSKA *(z której obie dziewczęta zdejmują spódnicę;*

zanosząc się od śmiechu). Jak Boga kocham ja trzasnę... Agaj jak dziś nie przestaniesz, to ja kolek dostanę.

SCHOLZÓWNA *(poważnie).* Filisterki na to są, aby się nam przyglądały z uczuciem śmiertelnej zawiści i wielbiły nasz dyonyzejski światopogląd *(jakby sobie jeszcze coś przypominała)* aha! i nasz hedonizm, he-donizm!

PANNA KAZIA *parska nieprzepartym śmiechem i ucieka do stołu,* MAŃKOWSKA *zostaje w negliżu.*

MAŃKOWSKA *trzymając się jedną ręką za biust, drugą za brzuszek, dopada w śmiechu kozetki i rzuca się na nią leżąco tuż obok* SCHOLZÓWNY, *która z dziwną powagą wstaje i siada na inny fotel.*

PRYNCYPAŁOWA *(patrząc niespokojnie na portyerę).* Bójcie się biedy, jakby tak kto teraz wszedł, ciekawam coby sobie pomyślał.

SANÇOUCI. Ależ nikt nie wejdzie hahaha, już nikt nie wejdzie, ale bo naprawdę ta Scholzówna to prawdziwy nadfacet; niech pani... hahaha... patrzy tylko, co ona wyprawia.

SCHOLZÓWNA *(siedząc na fotelu, podsuwa sobie nogami inny fotel i kładzie na nim nogi, lekko).* Niema tak dalece co podziwiać moje panie. Każda z nas urządza sobie życie najwygodniej, a jak sobie kto wyściele, tak się wyśpi...

SANÇOUCI *(śmiejąc się).* Pościeli.

SCHOLZÓWNA. Wyściele, tak się wyśpi. Trzeba przysłowia naprawiać, a nie podawać je w ich pierwotnej...

pierwotnej, aha autochtonicznej, au-tochto-nicznej... formie...

MAŃKOWSKA *(w śmiechach).* Co ona bredzi? czy wy słyszycie?... Hermina bójcie się Boga zamknijcie jej jadaczkę, bo ja się rozpęknę dzisiaj, a przecież mamy całą noc przed sobą... hahaha... *(do pryncypałowej).* Czy pani widziałaś coś podobnego?... przecież ona tyle takich słów umie, co nie po polsku tylko po jakiemuś francusko-grecku... że czasem kwadrans dobry mówi, a z nas żadna jej nie rozumie.

SANÇOUCI *(do Mańkowskiej).* Opowiedz pani o »Musik« i o kalece... hahaha... moja Maniu opowiedz...

SCHOLZÓWNA *(ironicznie).* Sądzę, że przedtem należałoby przymierzyć ten dama coeur... ten karciany kostyum, w którym masz tupet rywalizować ze mną.

MAŃKOWSKA *(wesoło).* Zaraz, zaraz, przymierzę nawet przy tobie; przecież Zosiu trzeba, żebyś się z nim oswoiła... papieżyco Joanno...

(Wszyscy w śmiech; MAŃKOWSKA *zdejmuje spodnicę białą niby za lustrem, a dziewczęta nakładają jej mocno ażurową spodnicę z czerwonego muślinu.*

PRYNCYPAŁOWA. Koniecznie trzeba wypróbować, choć to nie robi wrażenia właściwego, bo spodniczka idzie przecież na trykoty, nie na...

MAŃKOWSKA *(wybiega z za lustra).* Stanik!... *(podają jej)* prawda? a fryzura będzie casque... tak mi Marcinkowska radziła i fryzyer.

SCHOLZÓWNA *(ironicznie).* Bardzo pięknie... jest to fryzura ulubiona przez nasze babki.

SANÇOUCI *(melancholijnie).* Eee, która tam z nas miała babkę?...

MAŃKOWSKA *(z wybuchem radości).* Jak to? nie wiesz? przecież babka Agaj opowiadała, nazywała się kasztelanowa Zakroczymska, ooo! Jezus Marya, trzymajcie mnie; nie pamiętasz jak Agaj opowiadała o starej babce kasztelanowej w zamku na górze...

SANÇOUCI. Ach prawda, prawda! Mów Agaj, mów o tej babce... mów, ja tak lubię jak ona swoje powiastki opowiada...

SCHOLZÓWNA *(odwracając się do nich tyłem, przestawiwszy fotelik pod nogi).* Nie będziesz rzucał pereł między świnie, nawet fałszywych...

(Ogólny śmiech).

MAŃKOWSKA. Taaak?... Czekajże *(ubierając równocześnie stanik wycięty w careau, a raczej w niemożliwy sposób).* Tak, to ja opowiem o kalece i o »Musik«... *(do pryncypałowej głównie).* Więc wierz pani, na jakie ta wpada pomysły, toż cała Warszawa trzęsie się od kilku dni ze śmiechu... *(staje przed lustrem, dziewczęta przy niej).* Wyobraź sobie pani przez dwa dni z rzędu obnosiła się wszędzie z wielką teczką z napisem »Musik«, niby, że to z pensyi; wzięła pół-krótką sukienkę, białe pończoszki, kapelusz z różową wstążeczką...

(Dziewczęta, pryncypałowa, Sançonci zanoszą się od śmiechu).

SANÇOUCI *(przypominając),* A kaleka!...

MAŃKOWSKA. Aha i jeszcze wynajęła sobie na kilka dni małego chłopczyka garbuska i kulawego, prawda?

SANÇOUCI. Tak, tak i kulawy był.

MAŃKOWSKA. I wyobraź sobie pani, dla secesyi, dla secesyi, bo dla czegóżby innego, woziła się z tem wszystkiem do Doliny, do Nowości, do Jackowskiego, do Bristolu, podobno nawet do Sielanki z tym kaleką i z tą teczką, aż jej w końcu i kalekę i teczkę odebrali... Tak Agaj?... no powiedz... ty secesyo... no?...

SCHOLZÓWNA *(zapalając nową papierosinę).* Tak! głupia Cyrce zamieniająca ludzi w świnie, tak moja Mańko perfumująca się Trefle Incarnat, tak moja Mańkowska mówiąca Monte Carlo, zamiast Monte Carle... tak... tak odebrali mi garbuska, jak tobie odbiorą Thugucika...

MAŃKOWSKA *(cokolwiek gniewnie, ale nie tracąc humoru).* Co?... Mnie ma kto zabrać starego... mnie... jeszcze się taka nie urodziła... jeszcze węgle gryzie za kominem... niech która spróbuje... proszę *(staje na środku pokoju, bierze się pod boki i przed Scholzówną cokolwiek kankanuje, podśpiewując):*

Proszę spojrzyć tu i tam, tu i tam, tu i tam,
Jaką piękną nózię mam, nózię mam..... cham.

(otwiera usta szeroko i kłapie zębami, jakby Scholzównę chciała ugryźć; Dziewczęta patrzą na nią z uwielbieniem).

SANÇOUCI *(z podziwem).* Śliczna jesteś, bój się Boga, ale trzeba posłać po Olesia, bo zamarznie na dole.

PRYNCYPAŁOWA *(patrząc z lubością na kostyum)*. No chyba panna Mańkowska zadowolona, co?

MAŃKOWSKA *(protekcyjnie, klepnąwszy lekko pryncypałową.po plecach)*. Panna Mańkowska zawsze z madame Anna zadowolona *(imperatywnie do Kazi)* Proszę panienko iść zaraz na dół do powozu i powiedzieć panu Oleśnickiemu, że mu już wolno...

PANNA KAZIA *wybiega z impetem.*

PRYNCYPAŁOWA *(krzywiąc się)*. Oj joj joj, byle mi teraz żadne klientki nie przychodziły, bo może być awantura, mężczyznom policyjnie zabronione tu wchodzić...

MAŃKOWSKA. Eee! głupstwo, hrabiemu Oleśnickiemu wolno wszędzie wejść.., nawet przez dziurkę od klucza... *(staje przed Scholzówną; zaczepnie)*. Cóż podobam ci się papieżyco... *(kankanuje, śpiewając):*

Proszę spojrzyć tu i tam, tu i tam,
Jaką piękną nóżkę mam, nóżkę mam...

(wskakuje jedną nogą na fotel, na którym SCHOLZÓWNA *trzyma nogi i stoi, z lekka fikając)*.

SCHOLZÓWNA *(patrzy na nią lornetką)*. Nogi masz ładne, to ci zawsze mówiłam, ale ręce... ręce! Twoje łapuchy przypominają mi damy sprzedające selery za Żelazną Bramą...

PRYNCYPAŁOWA *(podchodząc do nich, by zażegnać spór)*. Kostyum jest non plus ultra, czyli hors concours, paryzki... *(do Scholzówny)* ale i pani chyba zadowolona ze swojego; przy nim było chyba cztery razy tyle

roboty, bo i prucia i przeszywania i potem z tą infułą czy mitrą *(śmieje się serdecznie)*.

SCHOLZÓWNA *(protekcyjnie)*. Bardzo, bardzo, próbowaliśmy dzisiaj rano, było kilku malarzy, których sprowadził mój Jur i wszyscy unosili się. Owszem *(podaje pryncypałowej lewą rękę i wstrząsa jej dłonią serdecznie)* owszem, przyjm pani wyrazy najwyższego zadowolenia... aha sankcyi najwyższej...

MAŃKOWSKA *(krzyczy)*. Hermina! Hermina chodź-no tu, popatrz się jaką reinę robi Agaj *(śmieje się i fika nogami)*.

SCHOLZÓWNA *(złośliwie, poważnie)*. Ale wracając do twoich rączek mydear Mańkowska *(do pryncypałowej)* otóż o jej rączkach opowiem ja znowu historyjkę, jak panie pozwolicie.

MAŃKOWSKA *(cokolwiek niepewnie, nadrabiając wesołością)*. Owszem, owszem... proszę cię... mów secesyo mów, nooo słuchamy...

SCHOLZÓWNA *(jakby fantazyowała bajkę)*. Pewnego razu więc była sobie pewna Cyrce, nazwiskiem Mańkowska od imienia Mańki, to jest Maryi Zielnej... Immaculaty... nie wiem... Otóż ta Cyrce miała nogi białe jak alabaster w nocy... w poświacie księżycowej, ale ręce... ręce czerwone jak rubieża zachodzącego słońca...

MAŃKOWSKA *(pobladła z passyi)*. Czy ona wściekła się, czy co?...

SCHOLZÓWNA *(spokojnie, jakby nie słyszała)*. Nadto

pociła się,... pociła się tak okropnie, że skandal.. Aby jednak te brzydkie rączki przypodobnić tym pięknym nóżkom, smarowała się według Ronikera ichtyolowem mydłem. Nie pomagało... Wtedy zaczęła smarować ręce na noc tynkturą benzoesową. Nie pomagało... Potem nacierała się maścią cynkową i pakowała rękawiczki irchowe i nie pomagało...

(Wszystkie wstrzymują się z wysiłkiem od śmiechu).

MAŃKOWSKA *zeskakuje z fotelu i staje purpurowa ze złości przed Scholzówną.*

SCHOLZÓWNA *(flegmatycznie).* I wtedy poradziła jej pewna kabalarka stara z Brackiej ulicy, żeby smarowała rączyny miodem. Że to podobno wszystkim pannom zawsze pomagało... Ale naszą Maniusię i to zawiodło... A wiecie czemu?

(Chwila ciszy; DZIEWCZĘTA *przykładają dłonie do ust, żeby nie wybuchnąć śmiechem,* MAŃKOWSKA *dygota ze złości).*

SCHOLZÓWNA *(upuszcza nogi z fotelu, wstaje, prostuje się i z angielską flegmą).* A, bo nasza kochana Cyrce... lubiła zbyt słodycze i... zlizywała w nocy miód z... rączek... *(Niepowstrzymany wybuch śmiechu).*

SCHOLZÓWNA *i* MAŃKOWSKA *stają naprzeciw siebie jak pantera i hyena gotowe do skoku; pierwsza trupio blada, druga apoplektycznie czerwona.* SANÇONCI *i* PRYNCYPAŁOWA *stoją bezradnie. W głębi kotara się podnosi, wchodzą: pan* COLONNA-ROZDRAŻEWSKI *i* HRABIA OLEŚNICKI.

COLONNA-ROZDRAŻEWSKI *wysoki, wychudły jak chart, ale jak chart rasowy dryblas, dosłownie łysy jak kolano bachantki z apostolskim wianuszkiem siwych włosów już blisko karku. W oku normalna dekoracya podobnych dekoracyjnych egzemplarzy z towarzystwa: monokl. Wąsiska z amerykańska obcięte, nos cokolwiek haczykowato-feudalny, również feudalna arogancya, tabes i noblesse, plecy zgięte już od dwunastu pokoleń Rozdrażewskich Colonnów (!). Patronuje młodym paniczykom, z zawodu szuler, krytyk marek szampańskich i wiceprezes towarzystwa łowieckiego.*

HRABIA OLEŚNICKI *blanc-becque w przesadnie gogoskim marchesterskim stylu. Facyatka wygolona, bezwąsia, oczęta wybladłe, podkute, wiecznie zaspane. Równie senne ruchy. Rysy twarzyczki nie wyróżniają się od rysunku twarzyczek progenitury epiciersko-komi-wojażerskiej niczem chyba absolutnem brakiem już nie inteligencyi, ale jakiegokolwiek sprytu. Jest przeraźliwie skrofuliczny, wskutek czego flegmatyczny, wskutek czego wróżą mu dyplomatyczną karyerę i w nim składają misyę narodową. Nie wymawia naturalnie rrr i z powodu natłoku wenerycznych przypadłości jest „interesującym“ ... (impotentem).*

COLONNA *(w cylindrze na głowie).* Wieczór dobry paniom, czy można? he? *(wchodzi).*

MAŃKOWSKA *(odskakuje od Scholzówny i biegnąc naprzeciw).* Można, można, prosimy...

COLONNA. No... ty! prosisz niemowlę, ale czy pani pozwala? *(wskazuje cylindrem na pryncypałową).*

PRYNCYPAŁOWA *(uspokojona)*. Proszę, proszę już panów, magazyn zaraz się zamyka i tak, więc wyekspedyuję ostatnich gości *(kłaniając się uniżenie, przechodzi do poczekalni)*.

COLONNA. Dziękujemy pani serdecznie... Dobry wieczór piękne gracye!

SANÇOUCI, SCHOLZÓWNA. Dobry wieczór, Bon soir!

COLONNA. Imaginujcież sobie moje ko-ko-ko-kocięta, że ten pierwiosnek marzł na dolę i że trzeba było dopiero mojego szczęśliwego zjawienia się... Sapristi nom de Dieu, co za kostyum!... Och co to za atut taka dama coeur... chodź tu, do mnie śliczny czerwony... ptaku...

OLEŚNICKI *(który obserwował wszystko, odkrywczo)*. Słuchaj Colonna!... one się tu musiały bardzo wyzywać, spójrz ty, jaka Scholz blada... a reina czerwona, co?...

MAŃKOWSKA *(szybko)*. Co? my? ależ nigdy, co ci się wydaje Władusiu mój *(podbiega do niego i rzuca mu się na szyję)* skądżeby też znowu... ja z Agają, za bardzo ją lubię, kocham, wielbię, podziwiam, nigdy...

SANÇOUCI *(nie w porę)*. No, no, no, troszeczkęście tam sobie naurągały, niema co odkręcać teraz kontramarę.

PANNA KAZIA *i* PANNA STEFA *wynoszą się do pracowni.*

SCHOLZÓWNA *(wyniośle, ostro)*. Panna się mylisz, albo widzisz na jawie to, czego niema, czyli jesteś w hallucynacyi, w stanie... tym, no jakże... w transie...

OLEŚNICKI *(odsuwając delikatnie Mańkowską, bezmyślnie)*. Błogosławionym...

(Wszyscy w śmiech).

SCHOLZÓWNA *(przypominając sobie)*. Aha, w transie hypnagogicznym, a ty mój hrabio nie rób dowcipów płaskich, a dziękuj Bogu, że cię zupełnie nie w porę powołał na świat *(patrzy na Oleśnickiego i rzucając mu w przechodzie pogardliwie)* Amfibia! *(przechodzi do okien wystawowych i z flegmą staje w oknie między manekinami, patrząc w ulicę)*.

(Ogólny śmiech).

COLONNA *(siadając na kozetce i uderzając laską o dywan)*. Silence! Petites dames de Varsovie! Silence, uspokójcie się na chwilę, mam coś ważnego...

SANÇOUCI *(śmiejąc się)*. Ale bo ta Agaj jest niezrównana..., przecież ona wymyśla takie historye, żeby inny godzinami nad tem myślał i...

OLEŚNICKI *(trącając ją delikatnie laską)*. Cicho souris, cicho siedź, Colonna ma wam coś powiedzieć *(siada równie na fotelu. Mańkowska i Sançonci stają obok)*.

MAŃKOWSKA. Eee głupstwo, pewnie jakie świństwo.

OLEŚNICKI. Miałaś ty reina mówić cochonneria, ty się nigdy niczego nie nauczysz, ha?

MAŃKOWSKA *(przymilająco, nachylając się do niego)*. No już się nauczę mój komtusiu, mój komturku, już się Mania nauczy, tylko bądź dobry, bądź cacacacany...

COLONNA *uderza laską w podłogę*, SCHOLZÓWNA *wraca od okna i staje przy nich.*

COLONNA. Mais oui... więc... jakby to wam powiedzieć. Otóż szczególnie ty Maniusia żebyś nie stanęła dęba zaraz, więc tak jest, że tego... *(wszyscy czekają)* że on został dziś przyjęty, więc już nie może iść na maskaradę. a ty... tak, to darmo, ale tak być musi, a ty pójdziesz... ze starym Thugutem... co?

(Ogólne zdziwienie. OLEŚNICKI *oparł rękę na lasce i kiwa lakierkiem),*

MAŃKOWSKA *(przybladła).* Jak? Co?... Nic nie rozumiem...

SCHOLZÓWNA *(objaśniająco).* Niektórych niektórzy puszczają kantem... czy tak?...

COLONNA *(nie kontent).* Mais non... Panna Scholz zawsze wściubia swoje trzy kopiejki między drzwi... *(do Mańkowskiej, łagodnie)* Nie słuchaj jej moja Mańkosiu... On, ten... *(wskazuje laską na Oleśnickiego)* Oleśnicki oświadczył się o rękę księżniczki Miry Woroniczównej i tego i wbrew wszelkim szansom został kupiony, to jest przyjęty... wobec czego uważasz, Władek musi się szanować... ca faire...

MAŃKOWSKA *(odstępując na krok, wściekła).* Żeni się? Co to gadać długo i głupio! Żeni się. Z tą małpą, z tym kakadu, z tym koczkodanem, z tym chuchrem, z tą zieloną, obskurną, piegowatą dmiwierzą? Z tem paskudztwem flanelowem, z tym chudym wiechciem?

OLEŚNICKI *(spokojnie, nie podnosząc głowy).* Szarżujesz Mańkowska, fatalnie szarżujesz.

MAŃKOWSKA *(nie słuchając).* Ależ dobrze! bardzo dobrze! Świetnie! Cóż się boicie? niech się żeni, czy ja mu bronię? czy on ze mną wiązany? czy ja go rujnuję może? dobrze, w samą porę, żeńcie go, żeńcie, róbcie mu dzieci, chrzcijcie dzieci... tak... swoją drogą to tak łatwo nie pójdzie... przenigdy; do karety się rzucę i parasolką tej orangutance spierę buziaków... o czekajcie, wy mnie jeszcze nie znacie, pókim dobra to... bale, na ranę mnie przyłóżcie i wygoi, ale ja umiem być... spytajcie się... podpaliłam w nocy poduszki, całą pościel, firanki, kapy, fiuuuut, poszedł chambr jednemu głupiemu frajerowi, co ze mną zadzierał... Niech się żeni Oleśnicki z Woroniczówną, owszem, owszem, ale Mańkowska da wam prezent... da, szczególnie temu chuchru, temu wyskrobkowi, temu...

COLONNA *(wstaje raptownie z groźną miną i zamierza się laską na Mańkowską).* Milcz szelma!

(Ogólna konsternacya. MAŃKOWSKA *nagle chłodnie i cofa się z pośpiechem w tył).*

COLONNA *(prawie sycząc przez zęby).* Jak jeszcze słówko piśniesz, nie dostaniesz ani rubla i na... Pawiak!... *(siada napowrót na kozetkę i raptownie poprzednim tonem).* Tak więc moja śliczniusia reino, dziś poafiszujecie się na maskaradce z nieocenionym panem Thunichtguthem... co?

OLEŚNICKI *(podnosi zwolna głowę).* Passez, passez assais! Kończycie spektakl, co? schocking! Ty reina chyba się nie gniewasz, co? he? raz w życiu każde z nas musi się z kimś drugiem ożenić... to

było stanowcze do prze... tego do przewidzenia. Ja ci tego nie chciałem dziś mówić, bo widzisz od tego jest Colonna, on jest nadzwyczajnie sublime w takich rzeczach, taak, no a co do *(wstaje z fotelu)*, a co do mojej narzeczonej, to stanowczo przyznaję ci bon sens entre nous, to jest tak racyę... *(wskazuje na Colonnę)*. On to samo mówił na dole... *(wkłada cylinder na głowę)*.

MAŃKOWSKA *(podbiega do Oleśnickiego, opiera mu ręce na piersiach)*. Ja cię puszczam, dobrze Władek, ja cię puszczam, ale cię muszę skarotować na koronkową, puentlassową suknię, dalej na automobil, na szkockiego szpica, a ja go dla ciebie nazwę już komturkiem i grammofon musi mi Właduś dać i dwadzieścia flakonów Coeur de Jeanette, a dwadzieścia Edellweissu i garnitur porcelanowy na dwanaście gości i dywan z białego futra do sypialki i tego i zegar kurantowy i... aha i kinematograf, prawda koniecznie kinematograf, no i pięć tysiączków rubeliansów... tak? *(rzuca się Oleśnickiemu na szyję)*, no powiedz komturku, no...

OLEŚNICKI *(odchylając głowę do Colonny)*. Colonna pamiętałeś? *(do Mańkowskiej)*. Spisz to moja reina na karteczce, i dej karteczkę Colonnie... hę?...

MAŃKOWSKA *(przymilająco)*. A Mańkowska też coś zapłaci swemu komtusiowi...

OLEŚNICKI *(odsuwając ją delikatnie)*. To jest pan Thuguter chyba, co? nie?

MAŃKOWSKA *(odbiega dwa kroki, skacze na krzesło i krzyczy)*. Brown Séquard chłopczyku! Brown Séquard, prezent ślubny hrabiemu z Oleśnicy: Brown Sequard!

(Wszyscy wybuchają wesołym śmiechem).

(Dzwonek: dzzzzyń, dzzzyń...).

SCHOLZÓWNA *biegnie do telefonu; we drzwiach staje Panna Kazia i podbiega do telefonu.*

SCHOLZÓWNA. Nie potrzeba panno, już jestem, ja powiem... Hallo!... kto mówi?... *(odwracając się)* pan Thugut mówi... są, jesteśmy, mierzy kostyum, prześliczny, prawda... nie, niema *(odwraca się)* mówię, że hrabiego Oleśnickiego tu niema... *(do telefonu)* dobrze, to zaczekamy... *(odwraca się)* zdecydował się iść na maskaradę z tobą *(do Mańkowskiej)* w nagrodę, że już mniej flirtujesz z nim *(wskazuje na Oleśnickiego; do telefonu)* dobrze! Szambelan idzie ze mną... do widzenia, czekamy *(zamyka telefon)* a pan całuj psa w nos *(krzyczy w telefon)* stary cemenciarzu, koźlorogi starcze! Marasumus senilis...

(Wszyscy w śmiech. Scholzówna poważnie schodzi od telefonu).

COLONNA *(wstając i zapinając palto)*. Wszystko tedy wybornie się składa... parfaitemen... Ja tam do was przyjdę koło drugiej, trzeciej rano... z małą Rombini i resztę nocy spędzimy razem, a Władek może nad ranem przyjechać już wprost do Marcelina; co innego bums, a co innego wielka maskarada... no pa, pa dziecka... petites...

SANÇOUCI. Więc Mańka dzisiaj pierwszy raz ze starym?

COLONNA *(filuternie)*. Od niej będzie zależało, aby sędziwego gentlemana przemienić mocą czarodziejską... c'est à dire... w...

SCHOLZÓWNA *(dobitnie)*. W świnię!

(Wszystko w śmiech. COLONNA *i* OLEŚNICKI *odprowadzani przez* SANÇONCI *i* MAŃKOWSKĄ *wychodzą)*.

OLEŚNICKI. Bądź dobrej myśli reina, Colonna sobie wszystko zapisze... Dobranoc paniom.

SANÇOUCI. Dobranoc panom.

MAŃKOWSKA *(czule)*. Do widzenia Władusiu...!

SANÇOUCI. Żeby was połamało...

MAŃKOWSKA *(ściskając pięść)*. Ach żebym ja tego Colonnę mogła kiedy dopaść niby po pijanemu, niby sam na sam, bójcie się Boga żywego... zbrodniaby się stała... Jabym szampańską flaszkę mu na łbie rozbiła, jabym mu oczy drapała szpilkami od włosów, jabym tego szczypę... ach żebyście wy dziewczęta wiedziały jak ja go nienawidzę wściekle, to zły duch, to dyabeł wszystkich chłopców, to...

SANÇOUCI. Ta przestań już, coś się uwzięła, czy co dzisiaj, co on ci zrobił... przecież to nie Colonna się żeni.

MAŃKOWSKA. Ech co mi tam żeni się, czy się nie żeni, przezemnie mogą się wszystkie żenić co do jednego, co do nogi, cóż mnie mogą obchodzić ich żeniaczki, mam ich wszystkich w małym palcu od nogi... facetów nigdy nie zabraknie na świecie, ale... choeiaż... teraz tylko mi o to chodzi, żeby stary nie zawiódł.

SANÇOUCI. Zaraz tu będzie przecież, słyszałaś?

SCHOLZÓWNA *(leżąc znowu na kozetce z nóżkami opartemi na fotelu i paląc papierosa)*. Będzie.., mówił... swoją jednak drogą papiery twoje pani Mańkowska stoją niżej... znacznie dzisiaj w nocy... co stary, to nie hrabia Oleśnicki... co kapitalizm, to nie feudalizm... Żal mi cię... na dziś..! cała frajernia warszawska musi być dzisiaj za mną... Chodź tu do mnie... ty plutokratko!...

PANNA KAZIA *podbiega do okien wystawowych, skręca światło elektryczne, poczem biegnie do pracowni.*

MAŃKOWSKA. Przestań, proszę cię Agaj już przestań... nie zamieniałabym się na twoje... o nigdy, nigdy... *(z wybuchem radości)* będę miała grammofon, a ty nie! będę miała kinematograf, a ty figę, a ty figograf, będę miała automobil, a ty tylko amerykan masz, będziemy się ścigały do Mokotowa z Marcinkowską i z Pławicką i z Piszczakiewiczówną, każda ze swoim, każda na swojej maszynie, a ty co?...

SCHOLZÓWNA. Ja?... ja... o madame *(z niesłychaną wyniosłością)* o madame! Jedno skinienie palca tego *(wskazuje mały paluszek u ręki)* a mam pierwsza w Warszawie telefon bez drutu... automobil na sześć osób... yacht na Wiśle... gwiazdkę z nieba... Tylko nie chcę... pojmujecie wy mnie?... Nie chcę... nie życzę sobie... Mnie wystarczy białe futro pod nogi, kozetka directoire, trochę starego cognaku i... literatura... pojmujecie wy to... piękno... sztuka... artyści... myśliciele... filozofi!... Czy panie, czy panie cokolwiek choć

słyszałyście o madame Thalien?... o Ninon de Lenclos... o wielkiej Ninon de Lenclos!..., co?

SANÇOUCI *(piskliwym głosem, nucąc).* Ninon, Ninon, qu'es tu fait de la vi... eeee... *(śmieje się).*

SCHOLZÓWNA *(machnąwszy ręką z wyrazem bezgranicznej pogardy).* Ach głupiaś... głupieście obie!... Nic tylko Sclavenmoral, sclavenmoral i Pomery-Dry i ananas po portugalsku...! Wasze nadiry i zenity to... automobil, Cavalieri... oooch *(wstrząsa się z wyrazem niepokonanej odrazy).*

PRYNCYPAŁOWA *(cokolwiek niespokojna, staje za kotarą, rozgląda się szeroko i rzuca przyciszone).* Thugutowa idzie tutaj!

SANÇOUCI *i* MAŃKOWSKA *mocno skonternowane i bezradne.*

MAŃKOWSKA. Cooo? Thugutowa? bójcie się Boga...

PRYNCYPAŁOWA *(do Mańkowskiej, w przechodzie).* Ona ma jakiś interes do pani *(idzie do kantorka, oglądając się)* Proszę pani łaskawej, proszę...

MAŃKOWSKA *(ze zdziwieniem).* Do mnie? *(zdejmuje właśnie stanik).*

SCHOLZÓWNA *(wyciągając lorgnon).* Tableau! zapowiada się scena.

SANÇOUCI *(z przestrachem).* O Jezus!

THUGUTOWA *(wchodzi niepewnym krokiem, wzruszona).* Przepraszam panią, magazyn pewno się już zamyka.

PRYNCYPAŁOWA. Tak proszę wielmożnej pani *(wyciąga z za paska zegareczek)* Siódma godzina. Kazia

do pracowni, panno Stefciu w poczekalni gasić! Zamykamy. *(Dziewczęta biegną, słychać gwar i hałas w pracowni).* ...Czem mogę służyć... pani łaskawej, myśmy posłali rachunek dla formalności tylko...

THUGUTOWA. Ja wiem... myślałam sobie, ja też nie dlatego *(pochylając się do pryncypałowej; w podnieceniu)* Prawda... ta w kostyumie, to panna Mańkowska...

PRYNCYPAŁOWA *potakuje głową.*

THUGUTOWA. Tak?... Ja właśnie... tylko... ja właśnie tylko z panną Mańkowską chciałam w pewnej kwestyi.., możeby mi, nam pani ułatwiła, ale tylko z nią samą...

PRYNCYPAŁOWA *(zdziwiona, ale chętna).* Pani? Z panną Mańkowską... ale dobrze... tylko *(do Mańkowskiej)* Przepraszam panią... pani Mańkowska, bo ... pani Thugutowa życzy sobie... na słóweczko.

MAŃKOWSKA *(stojąc w samej spódniczce kostyumowej).* Ze mną? *(podchodzi)* proszę... ja jestem Mańkowska... Pani pozwoli... *(dziewczęta ściągają z niej spódniczkę i pomagają włożyć suknię).*

SCHOLZÓWNA *(siada wygodnie na fotelu, patrzy impertynencko).* Nooo avançez...

THUGUTOWA *(rozpinając sobie z wysiłkiem płaszcz, blada, wzruszona).* Przepraszam panią bardzo, jestem Thugutowa... żona fabrykanta cementu Thuguta... pani wie... ja chciałam się bardzo widzieć z panią, bo mam do pani wielką, szczerą prośbę *(ogląda się na Sançouci i Scholzównę).*

MAŃKOWSKA. Służę pani... czem mogę służyć? *(nabierając śmiałości)* To moje koleżanki... Proszę niech pani siada *(siadając, zapina sobie haftki stanika, poprawia sukni).*

THUGUTOWA *opuszcza się osłabiona na fotel.*

PRYNCYPAŁOWA *odwołuje gestami obie panny sklepowe i wyprowadza je do poczekalni.*

THUGUTOWA. Dziękuję pani *(łagodnie)*, bardzo dziękuję... ale ja chciałabym tylko z panią samą...

MAŃKOWSKA *(już zupełnie pewna siebie).* Ależ i owszem... Agaj, Hermina, proszę, zostawcie nas chwileczkę same...

SANÇOUCI *przerażona ucieka prędko do poczekalni.*

SCHOLZÓWNA *bez jednego drgnięcia, zapala spokojnie papierosa.*

MAŃKOWSKA *(wskazuje na Scholzównę, a potem uderzając się palcem w czoło dla prinformowania, że Scholzówna ma początki niepoczytalności).* Możemy... Słucham panią...

THUGUTOWA. ...Ja przyjechałam tutaj drugi już raz, bo chciałam się koniecznie widzieć z panią i prosić ją o coś... gorąco...

MAŃKOWSKA *(śmiało).* Mów pani! Śmiało. Wszystko się zrobi, co tylko odemnie będzie zależało, no...

THUGUTOWA *(zmięszana coraz więcej, pojąkając się).* Dziękuję pani z góry, dziękuję... *(podaje jej nieśmiało rękę).*

MAŃKOWSKA *z wielkim impetem ściska rękę Thugutowej.*

THUGUTOWA. Ja wiem, pani musi mieć... w gruncie rzeczy bardzo dobre serce, pewnie, pani mnie zrozumie... ja mam synka... ja spodziewam się znowu... *(walcząc ze łzami)* ...niech pani się ulituje nad nami, nad matką, nad dwojgiem dzieci... on już przecież niemłody... pani go nie kocha, nie może kochać... w to nikt nie uwierzy, a on rujnuje się na to, a to mały interes, początkujący, nowa fabryka jeszcze pięciu lat nie ma... zlituj się pani, my sobie w domu od ust odejmujemy, ja nie mam się w co ubrać, tak nie mam, biżuterye moje wziął... ta markiza to moja, ale niech tam... tylko teraz już, żeby dzisiaj nie szedł na tę maskaradę, moja pani ulituj się, żeby dzisiaj nie szedł... bo to kompromi... nic więcej... *(wyciąga chusteczkę i lekko zanosi się od płaczu).*

MAŃKOWSKA *(zrywając się raptownie; brutalnie).* Coo? coo? Czego pani chcesz. Jakie biżuterye, jaka markiza? co? Może oddać! Cóż to pan Thugut frajer, czy co? Ja go rujnuję? Kto to pani powiedział? Ja, jeszcze coś nowego, słyszysz Scholz, ja mam zrobić, żeby stary... pan Thugut nie szedł dzisiaj na redutę... urwanie głowy.

THUGUTOWA *(przez łzy).* Tylko to jedno, od tego zacząć moja pani... przecież jest tylu mężczyzn... wolnych... bardzo bogatych, my tyle renty nie mamy... Pani musisz to zrozumieć... odczuć *(wstaje z trudem).*

MAŃKOWSKA *(w furyi).* Dejcie mi spokój święty! *(krzyczy)* Sançouci! Sançouci! Słyszysz?

SANÇOUCI *wbiega osłupiała.*

MAŃKOWSKA. Słyszysz, a to ci szopka dopiero. Jeszcze tego brakowało... żebym tak zrobiła... żeby pan Thugut dzisiaj nie szedł na redutę i wogóle żebym go puściła... Czyś ty słyszała coś podobnego na świecie?

SCHOLZÓWNA *(wstaje, uroczyście)*. W tym wypadku całe moje współczucie po stronie pani... czyli legalnego kon... legalnej konkubinacyi...

SANÇOUCI. Ależ nigdy, nigdy Maniu, dzisiaj to byłaby klapa na całej linii... pomyśl tylko, cała zabawa zepsuta...

MAŃKOWSKA. Nigdy! *(z wybuchem)* nigdy... niech pan Thugut zresztą rozstrzyga, on nie blanbek ani dziecko... Co on powie, tak będzie, chce iść niech idzie, nie, to nie! ooowa, myśli pani, że sobie nie damy rady? taki on nam potrzebny, jak pieprz w...

PRYNCYPAŁOWA *(staje przed kotarą, zgoła zbita z kontenansu)*. Przepraszam panie, ale pan Thugut idzie...

THUGUTOWA *(z przerażeniem)*. Mój mąż?...

PRYNCYPAŁOWA. Tak! *(odwracając się za kotarę)* Przepraszam pana, w tem moment *(trzymając kotarę)* Ktoś musi iść do pracowni..

MAŃKOWSKA *(odymając wargi)*. Ja... w każdym razie... nie.

SANÇOUCI. To ja! *(biegnie do pracowni)*.

THUGUTOWA *(w śmiertelnym strachu, nogi drżą pod nią)*. Ja się skryję... ja przeczekam... panie tymczasem z nim wyjdą *(zmierza, cała trzęsąc się, do pracowni)* ...nie chcę w żaden sposób, żeby się domyślił... o to

jedno tylko... błagam was, aby nie dowiedział się... to była desperacya... dla Gigusia... przebaczcie panie i wyjdźcie zaraz... *(otwiera drzwi pracowni prędko i wychodzi)*.

MAŃKOWSKA *(patrząc za nią, potem na pryncypałową, pewna siebie)*. Już... już możesz pani wpuścić... Agaj zlituj się nademną i nie mów nic staremu... Dobry wieczór.

SCHOLZÓWNA *potakuje protekcyonalnie głową*.

THUGUT *(wchodzi energicznie, z wiązanką przepysznych parmeńskich fiołków)*. Dobry wieczór paniom, dobry wieczór, już bałem się cokolwiek, czy was tu zastanę.

MAŃKOWSKA *(przyszpilając kapelusz)*. Właśnieśmy się ubierały; o mało co byłbyś nas nie zastał *(patrzy z lekkim niepokojem na drzwi pracowni)*, a, dziękuję.

THUGUT *(wręcza jej staro-szarmanckim ruchem fiołki)*. Oto zwiastuny wiosny *(podtrzymuje Mańkowskiej rotundę)*.

SCHOLZÓWNA *wdziewa swój płaszcz, głęboko zamyślona*.

THUGUT *(do Scholzówny)*. Więc dzisiaj w nocy ma się rozegrać turniej między obiema królowymi naszego małego światka, tak?

MAŃKOWSKA. Dzisiaj, tak i spodziewam się, że pan mój dzielnie walczyć będzie o nagrodę dla mie.

THUGUT. Och moja cacana, jakżeż możesz wątpić na chwilę...

MAŃKOWSKA *(stając przed nim)*. Słowo?

THUGUT. Ależ dwa słowa, ślub, przysięga... Ale a propos słyszałyście piękne panie ostatnią senzacyę?

SANÇOUCI *(już w futerku)*. Hrabia Oleśnicki się zaręczył, ta?

THUGUT. O tem myślałem *(biorąc za rękę Mańkowską)*. I cóż na to moja Maniusia śliczna?...

MAŃKOWSKA. A nic, cóżby? A niech się zaręczył. A cóż mnie każdy blanbek, co sie zaręczy, ma obchodzić? A niech go dyabli... zresztą niech mu się najlepiej dzieje... taki on dobry jak każdy, będzie miał sukcesora, jak mu przyjaciele pomogą, oj joj, z miłą chęcią... Oleśnicki, więc cóż z tego?

THUGUT *(biorąc ją pod rękę)*. Więc nic. Bardzo się z tego cieszę, że nic, że już nie będę czuł za plecami ciągle tego żółtodzióba... *(z szczerą starczą radością)* A teraz chodźmy! *(ogląda się za* SCHOLZÓWNĄ *i* SANÇOUCI*)*.

(Szykują się do wyjścia. Przy ścianie stoi PANNA KAZIA, *która ma zaraz światło gasić)*.

SCHOLZÓWNA *(do* SANÇOUCI *raptownie)*. Jak ty się właściwie nazywasz? co? bo jak można tak całe życie incognito... co?... Sançouci... wiesz co Sançouci?... wymyśliłam już aforyzm na kartki pocztowe ze mną, wiesz jaki?... Idźcie państwo, idźcie... my zaraz...

THUGUT *i* MAŃKOWSKA *pod rękę wychodzą*.

SANÇOUCI *stoi wesoła u portyery*.

SCHOLZÓWNA. Otóż tak: gdyby ten lekki chleb nie był tak ciężkim, byłby ten ciężki chleb najlżejszym... Co?...

SANÇOUCI. Pyszny, pyszny! *(wybiega)*.

PANNA KAZIA *gasi światło elektryczne*.

SCHOLZÓWNA *(ogląda się w ciemnościach, podbiega do drzwi pracowni, otwiera je, krzyczy donosnie)* Dobra noc pani filisterce! *(i ostrożnie zmierza do kotary z poczekalni)*.

ZASŁONA SPADA.

PRAWO MIMICRY

OSOBY:

REJENT MILCZEK.
REJENTOWA.
LUDWIK MILCZEK, artysta malarz, syn.
KALIKST MILCZEK, prof. zool. i botan.
WDOWA SZTALBURGIER.
ZOSIUNIA.
MANIUSIA.
STARA KUCHARKA.
POKOJÓWKA.

Scena przedstawia t. zw. gniazdo rodzinne, t. j. salon burżuazyjny z kancelaryą pana domu z prawej, sypialnią z lewej, jadalnią w głębi. Podłogę żółto pokostowaną kryje w tych warunkach szeroki mocno wydeptany dywan w czerwone i modre kwiaty. W rogach salonu rozkładają się pontyfikalnie dwa gryzące się kolorami swych okryć garnitury mebli. Jeden z nich, wyszły z tapicerni w pierwszej połowie XIX-go wieku, jest potworny rozmiarami swych dwóch kanap i czterech foteli, z których każdy mógłby być kurulnym; drugi wiedeński znacznie lżejszej struktury nosi wszelkie rysy wiedeńskich stylów, to jest gracyę, lekką melancholię i tandetność. Każdy z garniturów uzupeł-

niają stoły mahoniowy i orzechowy; każdy stół kryty jest dywanową frędzlowaną kapą; na kapach albumy, pełne ś. p. osób i znajomych pań w tiurniurach, pra-pań w krenolinach, dalej patery na bilety, zaproszenia, gratulacye, bukiety à la Makart w wazach. W rogach przeciwległych staruszeczek-fortepian, jego rówieśniczka serwantka szklanna z serwisami z saskiej i żydowskiej porcelany i szeregiem owoców, łudząco a obbrzydliwie wyrabianych z wosku; nadto komoda w stylu Louis... Philip z szerokiemi szufladami i puste kosze kwiatów. Nad komodą wisi duży zegar złocony z obrazem malowanym na blasze, a przedstawiającym starego Mozarta klęczącego przed siedmioletnim W. A. Mozartem, przebierającym lewą rączką na klawicymbale; zegar ten z uderzeniem każdej godziny gra od r. 1827 menueta Mozarta z »Uprowadzenia z Seraju«.

Jest dzień przed Bożem Narodzeniem, kiedy pierwsza gwiazdka tradycyjna błysła już gdzieś z za śnieżnych mgławic, mrok zapada nieubłagany na zmrożony świat, a gromadki ludzkie zbierają się w razdorocznym czystszym nastrojeniu swych biednych, zabrukanych dusz, aby się radować z tego, że Chrystus... jeszcze się nie narodził.

Drzwi do sypialni i kancelaryi otwarte, do jadalni zamknięte; na komodzie stoi wielka patryarchalna lampa z szerokim kloszem, przyćmiona; na osobnych stoliczkach: choinka obwieszona świecidełkami, łańcuchami kolorowymi, srebrnym deszczem, złoconymi

orzechami, światami z opłatków, pierniczkami itp.... oraz mała krakowska szopka z kolebką Jeschuy z Nazaretu.

Z jadalni dobiegają zmieszane głosy rodziny Milczków, słychać brzęk talerzy, widelców i szklanek, wreszcie śpiew na dwa piskliwe głosiki dziecięce i jeden basowy głos męzki:

Bóg się rodzi, moc truchleje
Pan niebiosów obnażony!
Ogień krzepnie, blask ciemnieje
. . . .



Drzwi jadalni zwolna otwierają się, widać jasno oświetlony stół i siedzącą przy nim rodzinę; do salonu wchodzi z zaświeconym małym stoczkiem w ręku REJENT MILCZEK *pośpiewując dalej najprześliczniejszą polską kolendę. Mężczyzna barczysty, zgięty w plecach nadchodzącym szóstym krzyżykiem i innymi krzyżami życiowymi z poważną twarzą, nie zdradzającą niczem zatwardziałej bezmyślności jak chyba grymasem zaciętego uporu koło ust, krytych siwiejącym rudym wąsem, bezwzględnie podobnym do wąsów Fryderyka Nieckiego, filozofa znanego pod nazwiskiem: Nietsche. Ubrany odświętnie w biurokratyczny „szlussrock“, białą kamizelkę i powagę notaryusza rządowego i dziada wnukom.*

REJENT *zamyka za sobą oględnie drzwi, idzie pośpiewując do komody, rozświetla lampę, poczem podchodzi do stolika z drzewkiem i zaświeca stoczkiem niżej umocowane świeczki. Z jadalni słychać dalej śpiew dzieci, któremu rejent stara się zresztą nieco dysonansami wtórować.*

Drzwi jadalni otwiera nerwowym ruchem i zamyka prędko na klucz za sobą, wchodząc do salonu, REJENTOWA. *Kobieta siwiejąca przedwcześnie już w czterdziestym którymś roku życia, o twarzy zagasłej od zgryzot i łez bezsennych nocy, przybladłej, a jeszcze ochotnie uśmiechającej się do każdego, choć słabego promienia szczęścia, padającego w szarość jałowych dni. Matka dzieciom, z duszą nieporadnego dziecka, na całe życie w jedyną broń słabych opatrzona w błagalność próśb i w łzy desperacyi, wieczna, cicha ofiara brutalności otoczenia, nieznużona koicielka sporów i nienawiści rodzinnych a więc jedynie istotnych, niestrudzona pracownica gospodarstwa domowego, zasypiająca nocą, gdy już wszyscy posnęli, budząca się raptownie we śnie z troski, że któreś z dzieci może kiedyś w życiu być głodnem, być złodziejem, być nikczemnem... i zasypiająca napowrót z cichym płaczem matek... płaczem do poduszki. Ubrana w ciemną, przerabianą na „modny fason“ wełnianą suknię, kupioną za dzień w dzień ciułane groszaki... nie gorszą od tej, jaką sprawiła sobie jej rówieśniczka i przyjaciółka jeszcze z lat dziecinnych starościna Raptusiewiczowa, także córka obywatelska, „szlachcianka“ i panna z bardzo dobrego domu, tylko... posażna... jedynaczka.*

REJENTOWA *(uradowana widokiem drzewka).* Sam zaświecasz Antosiu?

REJENT. Ano widzisz przecie, niema komu innemu, to człowiek sam wszystko musi robić... za wszystkich.

REJENTOWA *(łagodnie).* Pozwól! niechże ja cię wyręczę, przecież nie będziesz na krzesło stawał *(chce go wyręczyć).*

REJENT. Abo to pierwszy raz na krzesło stanę? ta twoja Magdusia zawsze mi cylinder na szafę bistya kładzie, to zawsze muszę dopiero krzesło sobie podstawiać. Zostaw *(odsuwa ją gburowato).*

REJENTOWA *(zapalając sobie małą świeczkę).* Alež ja

w żaden sposób nie pozwolę. Skądże ze zreumatyzowaną ręką żeby sięgać tak wysoko *(zaświeca inne świeczki).*

REJENT *(już w irytacyi).* Cóż znowu za czułości... tyle razy nie uważałaś na moją zreumatyzowaną rękę, a dziś ni stąd, ni zowąd jakieś napady opieki nademną... odsuń-że się... *(odsuwa ją ze złością).* Zawsze mi się pchasz nie w porę.

REJENTOWA *(odsuwając się, z drugiej strony przystawia sobie krzesło i oświeca górne świeczki).* Oj nie napady Antosiu, nie napady, tylko przecież nie mogę ci pozwolić, żebyś się męczył... o tak, patrz... patrz mój kochany jak ładnie...

REJENT. Co ładnie, co ma być znowu tak ładnie? Jest tak jak zawsze. A że tego roku świeczek za dziesięć krajcarów więcej, więc musi być oczywiście jaśniej... no...

REJENTOWA *(trzymając papierowego aniołka, z radością).* O patrz się mój kochany, patrz, ten aniołek, to nowy, Mańcia go kupiła dzisiaj, bo dzieciom chce powiedzieć, że to ten właśnie aniołek przynosi zawsze drzewko... o... napisane: P a x v o b i s... c u m!

REJENT. To zupełnie niepotrzebny wydatek. Jest tych głupstw na drzewko chyba dosyć, nie, żeby każdego roku jeszcze wyrzucać pieniądze na śmiecie...

REJENTOWA. No przecież można każdego roku jakąś drobnostkę dokupić... żeby tylko ładniej wyglądało... coraz ładniej...

REJENT. Ładniej, ładniej, ciągle ma być ładniej. Manci

widocznie przelewają się pieniądze, dobrze o tem wiedzieć, o dobrze, to od stycznia będzie nam musiała do czynszu o dwa złote więcej dodawać. To się jej dzisiaj przy sposobności powie, tak! *(zaciera ręce z zadowolenia).*

REJENTOWA *(zdziwiona, z krzesła).* Ależ Antosiu! Skądże? Przecież Mancia i tak trochę zadużo płaci, bójże się Boga, przecież i za te pokoje dopłaca *(wskazuje na salon, sypialnię),* i za twoją kancelaryę dopłaca, a dzieciskom nie wolno się tu nigdzie ani pokazać... tylko tam ciągle *(wskazuje na jadalnię).*

REJENT *(czerwieniejąc z pasyi).* A cóżeś ty chciała? może bębny bistyjskie mają mi tu po salonie uganiać, może do kancelaryi mam takie raki puszczać, co?... Może Mancia niezadowolona? może się skarżyła? to proszę każdej chwili może się wyprowadzać, nie potrzebna mi ani na obwinięcie palca... proszę od Nowego Roku...

REJENTOWA *(schodząc z krzesła).* Ależ skądże? Nigdy, ani razu, ani słówkiem... przecież ja tego nie mówiłam!

REJENT. Może, kto wie? Może jej tu nie recht, może jej ja zawadzam, może już ja moich fajek palić nie mam dla jej jakichś płuc, co?

REJENTOWA. Ale Anteczku, nigdy, powtarzam ci nigdy mi się nie skarżyła, broń Boże, tylko to ja, od siebie, bo się przelękłam, że jej naprawdę chcesz czynsz podwyższyć.

REJENT. A, naprawdę. Jak mi Bóg miły, słowo honoru

dają, a ty wiesz, że ja słowa na wiatr nie daję... Dwa złote miesięcznie... a mógłbym i cztery, ale nie chcę... Ale od dwóch nie odstąpię.

REJENTOWA *(niespokojnie, ze łzą w głosie)*. Antosiu! Ty tego nie zrobisz... mój Anteczku prawda? Ty tylko tak straszysz, bo skądżebyś bez powodu... biednej wdowie córce... Ona każdy krajcar odkłada dla robaczków *(podchodzi do niego i przymilając się głaszcze monstrum po plecach)*.

REJENT *(odpychając ją silnie)*. Dla robaczków, dla robaczków, wszystko bistyjstwo dla tych robaczków... oto też właśnie za to, że tu wszystko dla tych robaczków... człowiek sam nic nie znaczy, z gęby sobie odejmuje, na szklankę piwa nie idzie, kart tarokowych od roku nie miałem w ręku, preferansa tak lubię, a tu człowiek odmawia sobie wszystkiego, a w domu tańczy wszystko koło tych dyabelskich robaczków...

REJENTOWA *(ze zgrozą)*. Ależ Antosiu to przecie twoje wnuczki!

REJENT. Co mi tam wnuczki, co mnie to ma rozczulać... wnuczki, więc cóż z tego? Więc już ja dlatego mam być pomiotłem w domu, kopciuszkiem psiamać, fagasem... a wszystko dla wnuczków... Żeby już raz wszystko...

REJENTOWA *(załamując ręce)*. Anteczku! bójże się Boga!... Jakby kto słyszał, mógłby pomyśleć, żeś ty najgorszy człowiek, że ty to wszystko naprawdę i to dziś właśnie...

REJENT. A to niech słyszy! niech każdy słyszy, do miliona dyabłów! A cóż mnie kto obchodzi? Czy ja od kogo zawisły, czy może od kogo centa darmo wziąłem, coo? Na swoich śmieciach jestem i wolno mi gadać co mi się żywnie tylko podoba. *(Ręką wskazuje dookoła)*. Wszystko tu dookoła moje, wszystko i to, i to, i tamto i to, nic waszego, nic twojego, wszystko z mojej pracy, stamtąd *(wskazuje na kancelaryę)* za ciebie nie wziąłem ani złamanego feniga posagu... ani halerza... fortepian samem sprawiał... serwantka moja we Widniu kupiona, wszystko... aha chyba ten głupi grat, ten twój stary zegar...

REJENTOWA *(żałośnie)*. Ja to wiem, Anteczku, ja wiem, ja ci przecie nie zaprzeczam, nigdy, ani mi przez myśl nie przeszło... tylko po cóż właśnie dziś w taki uroczysty wieczór mówić to biednej Manci, zmartwi się niepotrzebnie...

REJENT. Wszystko jedno, wszystko jedno, lepiej zawsze wcześnie przygotować, potem mi będziecie zarzucały, że niespodzianie wpadam na takie pomysły, a tak będzie Mancia wiedziała, że to już dawna historya... no ale teraz już do dzieci... gdzież te prezenta?

REJENTOWA *(wzdychając ciężko)*. O tu, tu Antosiu... *(podchodzi do foteli w głębi)*.

REJENT *(nagle z pasyą)*. Już znowu to bałwańskie wzdychanie! Już znowu ta ciągła męczennica... Jak mi dzisiaj będziesz jeszcze komedye tu grała, to pójdę do kancelaryi i zamknę się na cały wieczór...

REJENTOWA *(błagalnie).* Antosiu! Antosiu... ależ ja nie wzdychałam przecież, tylko odbiło mi się... no chodź tu, oglądnij...

REJENT. No więc! Żeby mi te wzdychania głupawe raz się skończyły. Wiesz dobrze, że nie znoszę koło siebie żadnych zaburmuszonych twarzy... No więc gdzież te twoje prezenta?... *(podchodzi i przerzuca).*

REJENTOWA. O tu... to dla Manci... sześć par ciepłych pończoch, bo już nie ma... i te perfumy... a to dla dziecek... a ta papierośnica dla kuzyna Kaliksta... to dla Magdusi, to dla Janci...

REJENT *(ironicznie).* Hoho!... perfumy! nono! po cóż nową lalkę dla Maniusi, przecież to i tak zaraz temu oderwie głowę, ręce, nogi i do śmietnika... a papierośnicę... ja właśnie chciałem dać Kalikstowi starą moją papierośnicę... ale tak to się zaoszczędzi na drugi rok...

REJENTOWA. A gdzież twoje rzeczy Antosiu? to też porozkładam.

REJENT *(sięgając do tylnych kieszeni w surducie).* O pozwól, nie fatyguj się, ja tam mam przy sobie... ja tam znowu nie wyrzucałem tyle pieniędzy na raz, *(ironicznie)* nie mam na to moja kochana...

REJENTOWA. Ja też nie, ja też nie Antosiu, tyle nie wyrzuciłam znowu... zresztą same praktyczne rzeczy.

REJENT *(szyderczo).* Praktyczne? Pierwszy raz słyszę, żeby lalki, perfumy, per-fu-my! papierośnice, były praktycznymi przedmiotami... to jest praktyczne co ja

mam od Storcha... o tu ciepła spódnica barchanowa dla Manci... tu cukierki dla dzieci... o drewniane, to trwałe... a tu kalosze dla ciebie... noo?...

REJENTOWA *(z wybuchem wdzięczności).* O dziękuję ci Anteczku. Jakiś ty poczciwy! zawsze o mnie pamiętasz *(obejmuje monstrum za szyję)* no dej, niech cię pocałuję, ale ja o tobie też nie zapomniałam *(całuje go),* dostaniesz coś bardzo, bardzo pięknego...

REJENT. No powiedzieć co, nie rób wiecznych komedyi... *(odsuwa ją niezgrabnie)* no cóż takiego?

REJENTOWA *(z poczciwą figlarnością).* Ej nie, nie teraz mężusiu, aż wszyscy będą...

REJENT *(lekceważąco).* E co tam nam starym brewerye wyprawiać; tobie jeszcze w grobie będzie się figlów zachciewało. Więc co? pytam się po raz drugi.

REJENTOWA. No już powiem, już *(wyciąga z za fotelu wspaniałą z żółtej pianki morskiej fajkę, na długim wcale gustownym cybuchu)* masz.

REJENT *(z zadowoleniem biorąc fajkę do rąk).* A! to bardzo piękna rzecz, hoho to ta z wystawy z Bazaru, z gablotki... ha ha! no proszę, a ja tyle razy przechodziłem tamtędy, ale gdzieżby mi tam mogło przyjść do głowy kupować taki luxus, no, no...

REJENTOWA *(z radością i z dumą).* A to z moich oszczędności koszykowych... cały rok się składało cent do centa, szóstkę do szóstki i...

REJENT *(ironicznie).* No, no z oszczędności koszykowych

moja pani... to jak widzę porządne można z tego odcinać kupony kiedy tak...

REJENTOWA. Ależ po kilka centów dziennie Anteczku!

REJENT *(z niecierpliwością).* Po kilka centów, po kilka centów, cóż mi tem w oczy kolesz, toż ja wiem, że nie po kilka ryńskich do dyabła, a tybyś zapewne chciała koronami dziennie odkładać na koronkowe mantyle!

REJENTOWA *(z żalem).* Skądże znowu? Antosiu, przecież...

REJENT *(przerywając jej).* No cicho już, cicho do stu dyabłów. Potem pogadamy o tych twoich koszykowych oszukaństwach i budżecik się inaczej ułoży *(zaciera ręce z zadowoleniem).* A teraz trzeba dzwonić... *(bierze do ręki dzwonek).*

REJENTOWA *(machnąwszy ręką z determinacyą).* A niech ci tam będzie jak uważasz... Ale czekaj, jeszcze trzeba zaświecić w szopce *(podbiega do szopki i zaświeca za bibułkami świeczki)* ... Anteczku.

REJENT. Aha prawda... *(ogląda jeszcze prezenty).* No a gdzież są zakupy pani Sztallburgier *(ironicznie)* no; twoja córka, faworytka, ona nic! oszczędza każdego cencinę i nic rodzicom, nic... he...

REJENTOWA. Mój Antosiu! ta dejże już spokój! taka ona moja córka i faworytka, jak twoja... Prezenty swoje pochowała zapewne... No już dzwoń...

REJENT. Pochowała? proszę? takie wspaniałości zapewne no, no, no... Cóż gotowaś już, bo dzwonię...

REJENTOWA. Już... Dzwoń, ja otworzę... *(idzie do drzwi i otwiera je kluczem).*

REJENT *stając uroczyście naprzeciw drzwi do jadalni dzwoni silnie.*

(W jadalni słychać wesoły chichot dzieci, poczem drzwi otwierają się szeroko i wchodzi gromadka ludzka: dwoje dziewcząteк ośmioletnia i pięcioletnia, ubranych w białe sukieneczki z czerwonemi wstążkami pasków i kołnierzyków, z włosiętami związanymi w drobniusie warkoczyki, dwoje sierotek anemicznych z oczyma przestraszonych sarenek, szeroko otwartemi przed blaskiem przejasnej choinki, z serduszkami konwulsyjnie kołaczącemi pod ręką: ZOSIUNIA *i* MANIUSIA.

(Za niemi wystraszona pokojówka i stara kucharka. Wreszcie WDOWA SZTALBURGIER *ni młoda ni stara trzydziestoletnia kobieta, silnie pudrowana z bezwzględnie apatyczną twarzą i sztywnym profilem, energiczna i nieestetyczna w ruchach, jakby naśladujących automat. Timbre głosu suchy, stalowo-zimny, dykcya apodektyczna, suknia bez wyrazu szara jak poranek deszczowy, na szyi zawieszony na talmigoldowym łańcuszku wielki koralowy krzyżyk...*

(Za nią na ostatku wchodzi leniwym krokiem, kręcąc sobie papierosa z bibułki i z pod oka spoglądając dookoła KALIKST MILCZEK *profesor zoologii i botaniki w gimnazyum miejskiem, brat stryjeczny rejenta. Jest chudy jak szczypa z żółtą cerą biedaków cierpiących na śledzionę, z mocnymi okularami w szerokich oprawach;*

nosi zarost Don Quixota czy Napoleona III, co bolesnej twarzy wiecznego cierpiętnika nadaje śmiertelnie komicznego grymasu. Włosy przedługie, fantazyjnie zaśmiecone i zmierzwione opadają na aksamitny kołnierz przeraźliwie szerokiego, złośliwie skrojonego surduciny, pod którym kamizela absolutnie zadługa i wąziuteńkie spodeńki brązowe w czarne kraty. I to wszystko w olbrzymich stukających bucikach!

Ma zwyczaj chrząkać, wyciągać niezwykłych rozmiarów chustkę i albo leciutko w nią dmuchać, czy spluwać, albo czyścić sobie nią okulary; nadto kilka dziwacznych narowów, zwykłych u przyrodników, np. niedomykanie skrupulatne spodeniek, mówienie bezwzględnej prawdy w oczy ludziom a nawet wywlekanie dyssonansów etycznych, dalej dłubanie długimi, haczykowatymi paznokciami w spróchniałych zębach i lekceważenie małomieszczańskiej wegetacyi wobec misteryów Świętej Fauny i Świętej Flory np. na... Celebes... Sumatrze...).

DZIEWCZYNKI *podbiegają z radosną nieśmiałością do drzewka z wykrzyknikami zachwytu.*

REJENTOWA *(w rozpromienieniu).* Chodźcież już żabusie... chodźcież!

REJENT *(protekcyjnie).* No szkraby śmiało!... Widzicie znów aniołek wam drzewko przyniósł, choć tam prawdę mówiąc, nie bardzo zasłużyłyście może...

REJENTOWA *(do sług).* Chodźcież, Magdusiu, chodźcież...

WDOWA SZTALBURGIER *(dzieci naprzód popychając).*

No żabuchy śmiało... Ta cóż się znów dziadzia boicie, fe, no do drzewka i do paciorka.

ZOSIUNIA *i* MANIUSIA *podchodzą nieśmiało pod same drzewko, sługi stoją patrząc wystraszenie na pana rejenta. Ten zakłada ręce do kieszeni i z patryarchalnym majestatem mierzy wszystkich okiem.*

KUZYN KALIKST *patrząc z podełba na drzewko, przechodzi w przeciwległy róg pokoju i siada powoli, wygodnie na fotelu przy serwantce, gdzie zapala swą papierosinę.*

REJENT *(do Kaliksta).* No jakże Kalikst uważasz, co? he?

KUZYN KALIKST *(nie patrząc na niego, wymijająco).* Taak... Owszem... Ehe...

REJENT *(upornie).* Imposant, co? Wspaniałości, hę?

KUZYN KALIKST *(sztywnie, puszczając dymek).* Ehe.

WDOWA SZTALBURGIER. No żabusie! klękać.

(Dziewczynki klękają przed drzewkiem).

REJENTOWA *(stając też przy nich).* A teraz robaczęta zmówią ładnie paciorek, żeby aniołkowi podziękować za to wszystko *(gładzi je miękko po główkach).*

REJENT *odwraca się zły od Kaliksta i staje naprzeciw dzieci.*

(Chwila ciszy).

WDOWA SZTALBURGIER *(do dziewczątek).* No Zosiuniu... Ojcze Nasz... któryś jest... w niebie...

REJENTOWA *(do Sztalburgierowej, dając jej znak ręką).* E może coś krótszego Mańciu zmówią, Aniele Stróżu mój...

REJENT *(podchodząc krok).* O już coś krótszego! Już

system babciny! tylko ułatwiania i ułatwiania, nawet pacierza porządnie nie nauczy...

REJENTOWA. Wszystko jedno mój Anteczku, przecież zawsze mówią cały paciorek... rano i wieczór, więc teraz mogą przecież...

REJENT *(tupnąwszy w pasyi nogą)*. Właśnie że teraz powinny zmówić cały pacierz... Nasze dzieci mówiły zawsze cały, do dyabła... No dzieci! modlić mi się...

WDOWA SZTALBURGIER *(rzuciwszy na rejenta spojrzenie bezmiernej nienawiści, poczem do dzieci)*. Zmówicie tylko: Aniele Stróżu mój... no Zosiuniu...

(Chwila ciszy. Kuzyn Kalikst zwolna wstaje z fotelu).

REJENTOWA. No Maniusiu... Zosieczku... no...

(Chwila ciszy).

ZOSIUNIA *(raptownie, z lekkim płaczem)*. Eee... kiedy dziadziu na nas patrzy...

(Cisza).

KUZYN KALIKST *(chrząknął znacząco i podchodzi do drzewka)*. No wodorosty małe... nie macie się czego bać... hehehe *(patrząc to na dzieci, to na rejenta)* Dziadziu znowu nie żaden potwór... ani octopus!... ani dyabeł!... ani kaleopar, żeby was porwał...

WDOWA SZTALBURGIER *(sucho)*. Dziadziu was ani tknie, skądżeby... no Zosiuniu... Aniele Stróżu mój...

REJENTOWA *(łagodnie)*. Noo! bo Bozia już słucha.

MANIUSIA *(piskliwie, śmiało)*. Jak Dziadziu pójdzie...

REJENT. Ej, ej, dziadziu nietylko nie pójdzie, ale zdaje

mi się, weźmie ze szafy trzepaczkę i na Boże Narodzenie wytrzepie porządnie skórkę!

WDOWA SZTALBURGIER *(drżącym z pasyi głosem do rejenta)*. Mógłby też tato choć dzisiaj dać już spokój tym wiecznym trzepaczkom i trzcinom, tylko się biedactwa dzikie i przepłoszone robią... No dzieciny, bo Święty Aniołek czeka, no...

ZOSIUNIA *(cokolwiek mechanicznie)*. Aniele Stróżu mój

MANIUSIA *(prędko)*. Aniele Stróżu Mój

REJENT *(równocześnie czerwony z pasyi, stanął przed kuzynem Kalikstem)*. Cóż ty na to? co? We własnym domu muszę się liczyć ze słowami! co?

KUZYN KALIKST *(nie zwracając nań uwagi)*. Ehe... No wodorosty więc jakżeż... Stróżu mój!... no...

REJENT *popatrzywszy za nim z furyą, ciężkim krokiem idzie do kancelaryi.*

ZOSIA i MANIUSIA: Ty zawsze przy mnie stój
Jak we dnie tak i w nocy
Bądź mi zawsze ku pomocy

— — — — —

ZOSIUNIA. Strzeż mnie od wszelkiego złego

MANIUSIA i ZOSIA. I doprowadź do żywota jasnego

WDOWA SZTALBURGIER *(pouczająco)*. Do żywota wiecznego. Zosiuniu... mówi się wiecznego. Tyle razy was uczyłam.

MANIUSIA *(rezolutnie)*. E wkiedy ładniej: jasnego!

REJENTOWA *(gładząc im główki i podnosząc je)*. Dobrze, już dobrze, ślicznie *(całuje je rozrzewniona w główki)*

i do jasnego może być; teraz już wstańcie i chodźcie najpierw do szopki *(bierze je za rączki i wiedzie do szopki)*.

WDOWA SZTALBURGIER *(podchodząc do mebli)*. Za to, że dzieci ładnie zmówiły paciorek, to dostaną od Aniołka prezenty.

(Dzieci z wybuchami radości i bezgranicznego podziwu, stają przed szopką).

KUZYN KALIKST *(wskazując na rejenta wychodzącego do kancelaryi)*. Atmosfera na czas jakiś zapowiada się bardzo czystą *(podchodzi do fotelu pod serwantką i wygodnie siada)*.

WDOWA SZTALBURGIER *(odwracając się do niego, z rękami pełnémi dziecinnych zabawek)*. Oj tak, tak, byle tylko tak zechciała przetrzymać dłużej.

REJENTOWA *(do obydwu)*. Ależ moi drodzy, przecież nie możemy pozwolić, żeby tato wieczór wigilijny przesiedział w kancelaryi!...

WDOWA SZTALBURGIER *(ostro, zacięcie)*. Dlaczego mamunciu? dlaczego? bo ja znowu nie chcę absolutnie pozwolić, żeby mi w taki wieczór dzieci szykanował... nigdy...

REJENTOWA *(łagodnie)*. Ależ Manciu, przecież tato jeszcze im nic nie zrobił, ot pożartował sobie, nie można znowu wszystkiego sobie tak zaraz tłómaczyć, gdzież znowu *(woła w stronę kancelaryi)* Antosiu! Anteczku!

WDOWA SZTALBURGIER *(niecierpliwie)*. Ach niechże mama da raz spokój... po co?... choć chwilkę .. Chodźcie dzieci...

KUZYN KALIKST *(do rejentowej)*. Aha... po co?... on wróci i bez prośby, będziecie widziały... niech się trochę wysapie w ciemnicy... inaczej by tu nam pluskał jadem, jak dydelf grzbietnik... *(lekki śmiech)*.

WDOWA SZTALBURGIER *(rozdaje dzieciom zabawki)*. To dla Zosiuni taką książeczkę o Meluzynie i to, i to, to dla Maniusi; widzisz jaka laleczka, umie klęczeć, głową kręci, oczka zamyka i to... i to...

(Dzieciny wydają okrzyki zachwycenia).

REJENTOWA *(do sług, rozdając podarki)*. A wam aniołek też poprzynosił bardzo ładne rzeczy, o tu Magdusiu ciepłą spódnicę, a tobie Janiu to...

(Służące z oznakami wybuchowej wdzięczności rzucają się do całowania rąk rejentowej i Sztalburgierowej; kucharka w napadzie rozczulenia podbiega do kuzyna Kaliksta i chce mu obcałowywać ręce).

KUZYN KALIKST *(cofając gwałtownie ręce)*. O co to, to nie, moja kucharko... tylko plebana w rękę... mnie nie.

REJENTOWA *(wesoło)*. A dejże się tam pocałować kuzynie, dej!

SZTALBURGIEROWA *(do dzieci)*. Więc ładna lalka, ładna, a tu jeszcze coś *(daje dzieciom coś jeszcze ze stołu)*.

KUZYN KALIKST *(broniąc się dalej od kucharki)*. Ale nigdy moja rejentowo, cóż to ja aniołek, żeby mnie miała dziękować, nigdy...

REJENTOWA *(głaszcząc starą kucharkę poczciwie po ple-*

cach). No niechże Magdusia już da panu profesorowi spokój, to może kiedyindziej... idźcie już do swoich robót i nastawcie samowar, a potem lećcie na tę waszą pasterkę!

(Służące z dzikimi grymasami wdzięczności, cofają się do jadalni).

SZTALBURGIEROWA *(zbliżając się z małem etui do rejentowej).* No a teraz to przyniósł Aniołek naszej Babci *(całuje rejentową w rękę, ta ją całuje w twarz, obie rozczulone)* ...skromna broszeczka, na jaką mnie stać.

REJENTOWA. O dziękuję ci moje serce! moja poczciwa córka! moje dziecko! a ja dla ciebie też mam skromne ale praktyczne rzeczy... czekajże...

(Podchodzą trzymając się wpół do stołu, obie bardzo wesołe; rejentowa wręcza jej prezenty, dzieciaki rozkładają zabawki po ziemi, kobiety całują się znowu, poczem trzymając się wpół podchodzą do kuzyna Kaliksta).

REJENTOWA *(wesoło).* A naszemu uczonemu przyniósł Aniołek taką papierośnicę *(wręcza mu).*

SZTALBURGIEROWA. I takie pantofle na po domu *(wręcza mu parę ohydnie-ślicznie haftowanych pantofli).*

KUZYN KALIKST *(zrywając się niezgrabnie, upuszcza na ziemię swój papieros, podnosi, odbiera prezenty; w rozczuleniu).* Ale dziękuję... dziękuję... bagatela, jakie piękne pantofle... istotnie jakieście wy poczciwe... takie rzeczy... tylko rejent będzie zły...

REJENTOWA *(z przekonaniem).* Skądże znowu?... z całego serca, mój Boże toż od całej familii...

SZTALBURGIEROWA. No niech mama nie mówi, nie! pantofle odemnie, a papierośnica za mamine gospodarskie oszczędności...

KUZYN KALIKST *(całując rejentową w rękę, z rozrzewnieniem).* Poczciwa... zacna kobieto... a czemzeż ja się wam wywdzięczę... ja już myślałem o tem w domu, ale co ja mogłem wymyśleć... ot dam wam jutro... *(zakłopotany)* bo teraz ta i nie mam przy sobie... dziesiątkę dla tych *(wskazuje na dzieci)* dla glist, dla tych wodorostów ślicznych.

REJENTOWA. Ależ mój kuzynie, skądże znowu... nie trzeba... jeszcze sobie kuzyn będzie wydatki robił..., nigdy nie pozwolimy na to, prawda Mańciu?...

SZTALBURGIEROWA. Nie, nie trzeba stryjciu... dzieci dość mają i tak *(podniesionym głosem, patrząc na kancelaryę),* tu nie poczuwają się do dawania prezentów ci, których to psi obowiązek...

REJENTOWA *(przerażona, zakrywa jej usta dłonią).* Ależ Mancieczko... Bój się Boga! dejże ty spokój... Może Tato usłyszeć.

SZTALBURGIEROWA *(odsuwając rękę rejentowej).* To niech słyszy! niech wie, że to brudne szmucyaństwo, żeby taki dziadek!...

REJENTOWA *(rękami zatyka jej usta, półgłosem).* Cicho! Jezus Marya, cicho! jakże można?... jeszcze się zirytuje... Manciusiu!

SZTALBURGIEROWA *chce oswobodzić usta.*

KUZYN KALIKST *(podniesionym głosem).* No, a gdzież nasz dziadzio ze swoim Aniołkiem?...

REJENTOWA *(do córki).* Czekajże Mańciu, miejże cierpliwość, on ma bardzo ładne rzeczy dla nas... *(głośno)* Antosiu! Anteczku, a chodźże już do nas, czekamy wszyscy... Antosiu!

SZTALBURGIEROWA *machnąwszy ręką pogardliwie, idzie do dzieci i bawi się z niemi.*

KUZYN KALIKST *(do rejentowej półgłosem, wskazując na kancelaryę).* To on wam ciągle takie komedye wyprawia?

REJENTOWA *(z ciężkiem westchnieniem, półgłosem).* Ciągle!... Doprawdy mnie jeszcze starczy cierpliwości, ale jej *(wskazuje na córkę)* to się już czasem życie przykrzy. Ciągle mu ino nie recht i nie recht, miejsca sobie znaleźć nie może, z nikim nie żyje, z ludźmi się widzieć nie chce, a całą tę jadowitą złość swoją to na mnie przelewa...

KUZYN KALIKST *(z współczuciem).* Powiedziawszy prawdę, to mi to boleśnie słuchać...

REJENTOWA *(palcem łzę z oka ścierając).* Ja też się tam nie skarżę, brońże Boże... zresztą bardzo dobry, porządny, nie wybredny w jedzeniu naprzykład, ino widzi kuzyn przez to jakoś, że go tak nic życie nie interesuje, że tak on nic nie czyta, nigdzie nie wyjdzie, nie wyjedzie, to tak przekwaśniał, czy zgorzkniał, że skaranie Boskie z nim czasem...

KUZYN KALIKST *(zamyślony).* Proszę... proszę... więc tak z roku na rok gorzej... Nie myślałem, no chociaż się domyślałem, tak... ale to trzeba radzić...

REJENTOWA *(determinacyjnie).* Ee co tu, Święty Boże nie pomoże... *(walcząc z płaczem).* Jedyna rada byłoby jakoś pogodzenie się z Wiktorem i Ludwiczkiem... *(wyjmując chusteczkę z kieszeni)* pogodzenie się ze synami... nie żeby tak dwóch synów było i już trzeci rok... trzecia wilia i żadnego... *(lekko zanosząc się od płaczu)* i żadnego mego chłopca nie było... Tak aż człowiekowi serce pęka z bólu... z żalu. Dwóch się wychowało, dwóch ich jest, a tu jeden gdzieś w Bośni... Boże, Boże! drugi w takiem Stuttgarcie i tu trzeci rok, trzecie święta i nic, nic *(ociera łzy).* No ale darmo jak się zawziął, tak się zawziął, a on jest człowiek z charakterem, jak raz co powie, to żeby tam ziemia się zapadała, to nie zmieni...

KUZYN KALIKST *(pogardliwie).* E moja rejentowo, co tam z charakterem, wygodnie mu z tem... *(dobitnie)* sybaryta jest, parasita, spokój lubi za każdą cenę, parszywy spokój lubi... konkurencyi nie znosi... ot i co...

REJENTOWA *(szybko wysuszając łzy).* Ale co też profesor mówi, jakże można... jakiej konkurencyi... gdzież on sybaryta... już i w taroka przecież nie grywa, ani w preferansa *(ciszej),* sardelki albo kawior dawniej tak lubił, a teraz nic, na drugie śniadanie zanosi się mu do kancelaryi herbatę i bułeczki z masłem...

KUZYN KALIKST *(zgryźliwie).* A kuzynę to rozczula,

tak? że starowina zreumatyzowanemi rękami nie może ciąć preferansika? że nie gra w karty, bo się jak dyabeł święconej wody boi przegrać jeden czy dwa złote? tak? bo mu się nie chce trochę myśleć nawet przy taroczku... tak? bo skąpi, już i kartofle liczy co idą ze spiżarni, tak...? *(wyjmuje chusteczkę i pluje w nią).*

REJENTOWA *(przerywając mu z przerażeniem).* E, bo tak można wszystko przeinakszyć... tak nie można przecież ostro sądzić... eee jakże znowu... z profesora taki ten, no znowu hypochonder.

KUZYN KALIKST. Co tam hypochonder nie hypochonder. Ja tam nie bawię się w filologie ani estetyki, tylko mówię moja rejentowo, co widzę...

REJENTOWA. Ano tak, więc przecież bądź co bądź, zapracowany człowiek jest i na stanowisku... może mieć swoją wolę i grymasy nawet. Wszyscy na starość dziwaczejemy i ja... i on... i kuzyn trochę,.. *(śmieje się przez łzy).* Ale on jest tego, on jest konsekwentny i to co mówi, to nie na wiatr, zna honor, mężczyzna! On nie chciał, aby Wiktor żenił się z Bośniaczką, a Wiktor na złość; on chciał, żeby Wiktor poszedł do fiskusu, bo mniej zdolny, a Wiktor na złość do Sądu. I nie miał go przekląć? przecież wola ojców święta, oni sami wiedzą najlepiej czego dzieciom trza, nie żeby jaja były mądrzejsze od kury... *(podniesionym głosem do kancelaryi)* Anteczku! A chodźże już do nas, bo czekamy wszyscy... Prosimy. *(Do Kaliksta)* Przyjdzie, przyjdzie, mam dobre przeczucie... *(półgłośno)* Albo

z Ludwikiem, no proszę kuzyna, ojciec tyle sobie planował, kombinował, że Ludwik skończy prawa, weźmie kancelaryę, obejmie notaryat od trzech pokoleń w nazwisku Milczków, chłopak taki zdolny, a tu co... rzuca uniwersytet, rzuca stypendyum i chce być, co aż wstyd powiedzieć, takim malarzem...

KUZYN KALIKST *(energicznie).* No więc co? co?

REJENTOWA *(zakłopotana).* Jakto co? Więc wszystko robi na przekór własnemu ojcu, na upór... Miał zaraz miejsce u adwokata na pisarkę... ojciec mu nie bronił, nie! mógł zarabiać, a ten rzuca wszystko i zaczyna obrazki malować jak półgłówek!... A któryżby to ojciec na to spokojnie patrzał... niechże mi profesor pokaże takiego, no?...

KUZYN KALIKST *(spokojnie).* Każdy!... Każdy moja rejentowo, ktoby tylko przekonał się o talencie chłopca.

REJENTOWA *(załamując ręce).* Jakto? I pozwolił synowi rodzonemu rzucać prawa, stypendya, colloquia, miejsce u adwokata za 20 guldenów i potem wszystkiem uczyć się takich malowanek... iść na dziada i łajdaczyć się.

KUZYN KALIKST *(spokojnie).* Tak!... *(patrzy w jej oczy).* Tak moja rejentowo. Jeżeli chłopcu otwiera się choćby najdalsza perspektywa wyjścia po za tę obrzydliwą sferę w której się urodził?... Jeżeli chłopiec ma taką odrobinę, molekułę talentu, że może z nią odlecieć od takiego *(wskazuje ręką dokoła ze wzgardą*

zatrzymując ją dłużej na kancelaryi) gniazdka rodzinnego na sto mil... to tak. Jeżeli w chłopcu dostrzeże się pierwszy symptom moralnej odrazy do takiego... życia robaczywego to tak...

(W drzwiach kancelaryi staje REJENT *z nową fajką w zębach i nasłuchając powoli przybliża się do nich).*

REJENTOWA *(obrażona).* Ależ profesorze!...

KUZYN KALIKST *(hamując podniecenie).* Żadne ależ kuzynko, żadne. Powtarzam przy sposobności, co zawsze mówiłem: Należało dawać wszystkie pieniądze, wszystkie oszczędności, zastawiać wszystko srebro domowe, wszystkie wasze piernaty, a pchać w niego, aby się kształcił... uczył... studyował... żył, byle daleko, byle najdalej, żeby mu nic tej ohydy rodzinnej nie przypominało, żeby mu talentu nie brudziły reminescencye... takiego ogniska domowego, żeby w niczem, a w niczem nie był nam tutaj podobnym. *(Siada wyczerpany na fotelu).* Dixi...

REJENT *(staje przed nim i wyjmując cybuch z ust, z głupią wzgardą).* Dixisti... haha Dixisti... Powiedziałeś, co wiedziałeś, a ja przecież sobie myślałem, żeś ty się oduczył tych twoich waryackich bałwańskich poglądów, a tu się pokazuje, że ty dalej na swojej katarynce grasz i babom ćmisz...

REJENTOWA *(pokornie).* Ależ Antosiu przecież ja tego wszystkiego nie brałam na seryo.

REJENT. No chyba... To się gada, bo się wszystko gada, bo się własnego domu nie ma, żony nie ma, dzieci nie ma, to się na inne ognisko domowe pluje i krytykuje i poucza i wydrwiwa.

REJENTOWA *(łagodząc).* No nie Antosiu, kuzyn Kalikst znowu nie wydrwiwał, nie...

REJENT. Jeszczeby też! chyba to nie byłoby godnem... gościa!...

KUZYN KALIKST *(początkowo cokolwiek drżącym głosem)...* Gościa nie gościa mój Antoni. Ja tam u was dwa razy na rok gościem... na Boże Narodzenie i na Wielką Noc... nie wpraszam się zresztą.

REJENTOWA *(wpadając serdecznie).* Ależ to źle kuzynie, my zawsze z otwartymi rękami...

KUZYN KALIKST *(gorycznie).* Z otwartymi czy nie z otwartymi, mnie tam o to nie chodzi, bo czułości familijnych nie lubię... *(dobitnie)* nie stać mnie na to... Tak ale jako taki rzadki gość mój Antoni mam moje privilegium niby veritatis, verborum veritatis, nie?

REJENT *(pykając z fajki, dumnie).* Owszem, owszem słuchamy.

(Dzieci w tyle wybuchają wesołym śmieszkiem).

REJENTOWA *(z obawą).* Byle profesor tylko Antosia nie zirytował, bo profesor ma specyalny dar zawsze...

REJENT *(odwraca się do Sztalburgierowej, bawiącej się z dziećmi).* Możeby bębny wreszcie poszły do swojej jadalni, nie żeby z salonu robić mi rajtszulę!...

SZTALBURGIEROWA *(chrypiąc lekko z pasyi).* Nie tato, dziś dzieciaki mogą się pobawić koło drzewka, nie pójdą...

REJENTOWA *(odwracając się, błagalnie)*. Manciuniu!

REJENT *(hamując gniew, wyjmuje z kieszeni małą porcelanową laleczkę za 10 ct. w. a. i konika drewnianego za drugie dziesięć)*. Prawda, że to jeszcze te aniołkowe prezenta *(podchodzi do nich)* na... macie szkraby, podzielcie się. *(Do Sztalburgierowej)* Ale jeżeli śmiem w moim domu o cośkolwiek prosić, to może one mogą iść do jadalni, żebyśmy raz do roku mogli swobodniej pogadać.

REJENTOWA *(do Sztalburgierowej)*. Tak Manciu, tak! Niech one pójdą się już bawić do siebie.

SZTALBURGIEROWA. Ano dobrze... Chodźcie dzieciaki jeszcze oglądnąć drzewko, a potem do Jani, tam... *(prowadzi maleństwa pod drzewko)*.

KUZYN KALIKST. A dlaczegóż to? hę? Dlaczegóż maluczkie nie dopuszczacie do siebie, Antoni? Toż te dzieciaki tu u was, to jak promienie słońca w piwnicy. To jedyne przecież, co was łączy ze światem... te gębusie...

SZTALBURGIEROWA *(biorąc dzieci pod rękę aby je wyprowadzić)*. Chodźcie bobaki, chodźcie *(odwracając się do Kaliksta)*. A stryjciowi niech Pan Bóg wynagrodzi za te zacne słowa... *(wyprowadza dzieci rozweselone do jadalni i zamyka za sobą z hałasem drzwi)*.

REJENT *(z zadowoleniem, podchodząc do drzewka)*. No tak... jakiś porządek tu być musi, bo inaczej by to wszystko poszło w dyabły *(gasi świeczki co niższe)* A świeczek szkoda, bo muszą służyć do trzech Króli... tak...

REJENTOWA *(do męża)*. Czy wam tu zaraz kazać podać herbatę?...

REJENT. Mnie się pytasz? to nie! Ale może sobie Kalikst życzy... on gość, to od niego znowu zależy...

REJENTOWA. Więc nie? no to potem. Kalikst już przeczeka, nie prawdaż?... *(siada ciężko na fotelu w głębi)*. Szkoda Antosiu, że tak prędko gasisz świeczki, tak to było ładnie...

KUZYN KALIKST. Ahaaa... Szkoda, bardzo ładnie!...

REJENT *(gasząc)*. Ładnie, ale drogo, moi dobrodzieje. Nas na takie jaśnie oświecenia nie stać mój Kalikście. Ja za moją połowicą nie dostałem ani złamanego fenyga... ani halerza... fortepian samem sprawiał... serwantka moja... we Wiedniu kupiona *(pokazuje dookoła cybuchem)*. Wszystko moje i to i tamto... *(do rejentowej ostro)* Tak, czy nie matka? *(lewa ręka w kieszeni, prawą ręką trzyma fajkę; reszta świeczek pali się)*.

REJENTOWA *(pospiesznie)*. Ależ tak, tak Antosiu; czy ja kiedykolwiek przeczyłam może. Wszystko tu twoje i z twojej pracy, a innym łatwo wszystko krytykować...

REJENT. A co? prawda, łatwo. To źle, tamto źle, wszystko do dyabła źle. A to pewnie żem oszczędny, a to żem despota, a to żem ztetryczał, a to żem skąpiec i kutwa, co? tak jakbym słyszał, a to żem zły ojciec, a zły mąż, a zły dziadek i wszystko skrytykowane, wyśmiane psiakrew, zbezczeszczone, splugawione...

REJENTOWA *(błagalnie)*. No Anteczku nie irytuj się! Znów będziesz miał astmę w nocy.

REJENT *(tupnąwszy nogą).* Cicho matka! nie do ciebie piję, *(do Kaliksta)* Wszystko źle! negacya i krytyka, krytyka i negacya co? Źle żem przeklął Wiktora, źle żem mu bronił się żenić z jakąś tam dziadówką, szelmą, flondrą, prawda? Źle żem tego malernika przepędził na cztery wiatry i nie pozwolił bistyi takie nagie dziewki rysować, co? Może i to źle, żem Ludwiczka, matczynego pupila wyrzucił co? *(z małpią intonacyą)* artystę!... Może powinienem był pozwolić mu tu pośladki malować na płótnach, co?...

REJENTOWA *(podchlebnie).* Ależ nie Antosiu! Niktby tego od ciebie nie śmiał wymagać, nikt...

(Sztalburgierowa wraca z jadalni i siada na fotelu przy matce).

KUZYN KALIKST *(spokojnie ale mocno).* Każdy... Każdy... *(wstaje... podchodzi zwolna na środek pokoju).* ...Jeżeli z wami można mówić choć coś nie coś inteligentnie: każdy!

REJENT *chce mu przerwać.*

KUZYN KALIKST *(ręką go wstrzymując).* Pozwól... Nie przerywaj! Każdy... powtarzam pani rejentowo... a ja pierwszy. *(Oddecha głęboko).* Ja pierwszy, gdybym nie był taki jak jestem, gdybym nie tak ztrędowaciał jak ztrędowaciałem, to jako brat stryjeczny Antoniego, jako z nazwiska Milczek... zresztą jako normalnie uczciwy człowiek, winienem domagać się od was, abyście się opamiętali...

REJENTOWA *(szyderczo).* Czy kuzyn chyba żartuje?

SZTALBURGIEROWA *(podniecona).* Zaraz! Niech mama pozwoli... *(śmielej).* Może i ja tu coś będę miała do powiedzenia...

REJENT *(do Sztalburgierowej; szyderczo).* Proszę... no proszę! Słuchamy.

KUZYN KALIKST. Tu mój Antoni samo szyderstwo ciągłe nie pomoże... nic, bo to tania broń, często często podła... tak... bardzo podła kuzynie rejencie. Antoni myśli, że porozgania wszystkich, poprzepędza Wiktora, Ludwisia i już edukacya skończona, obowiązek spełniony... nieprawda? A tu w sumieniu się ropi i ropi, a gnije i butwieje wszystko i moralna gangrena w każdem słówku wylewa się na wierzch, aż cuchnie.. pfuj...

REJENTOWA *(z przestrachem do Sztalburgerowej).* Jezus Marya co ten mówi!

SZTALBURGIEROWA *rozpromieniona i podniecona wstaje, aby lepiej słyszeć,* REJENT *siada i wyciągając impertynencko nogi patrzy szyderczo.*

KUZYN KALIKST. A ja to już oddawna ważyłem w głowie: ryzykować, czy nie ryzykować, choć co ja tu ryzykuję? Zamkniecie mi wasz dom przed nosem, to na Wilię pójdę ja gdzieindziej; dyrektorowie mnie i nie raz i nie dwa prosili... a ja wam słowa prawdy wytnę... jak... jak Ludwisia jedyne wasze ludzkie stworzenie kocham.

REJENT *(wybuchając śmiechem).* Hahaha! Ładnegoś sobie faworyta wybrał... taką bistyę, katylinarną egzystencyę, takiego bę...

REJENTOWA *wybucha płaczem.*

SZTALBURGIEROWA *(łamiącym się z pasyi głosem).* No, no, niechno Tato hamuje się w wyrażeniaeh przy nas.

KUZYN KALIKST *(zakładając w tył ręce, z wielką mocą).* Aha... tak, tak, hamuj ty się Antoni w twoich epitetach, boś ty nie wart synowi twemu ani jednemu rzemienia u trzewika wiązać... nie wart... ty ze mną komedyi nie graj! jak tyś się ze stryjem nieboszczykiem obszedł?... ty... ty panie rejencie z twoim ojcem co?... biednym pijaczyną?... ty honorowy obywatelu naszego miasta, ty przyjacielu pana hofrata Boskowskiego i prezydenta... i...

REJENTOWA *(z płaczem).* Kalikście!

REJENT *(zrywając się z fotelu).* Co to ma znaczyć?

SZTALBURGIEROWA *(posuwając się do rejenta o krok naprzód, sucho, z świstem).* To ma znaczyć to, co my wszyscy wiemy... To ma znaczyć, że ojciec dziadka kazał szczuć i przepędzić ze schodów... i syna jednego i drugiego i moje dzieci sierotki by ojciec poprzepędzał, gdybym się pozwoliła tknąć... to...

REJENTOWA *łka głośno.*

REJENT *(machając cybuchem, hamując pasyę).* To kłamstwo, to kłamstwo wierutne... to wymysły gazeciarzy, żebym nie kandydował na posła... to kalumnie bistyjskie... a z synami wolno mi robić co mi się podoba, bom ojciec wobec prawa... wobec...

KALIKST *(z wybuchem).* Odże!... nie wolno ci! wara ci do synów, właśnie że tobie wara... Z charakteru

tyś nic, zero... moralne zero! kauzyperda i egoista... wiesz? Ty babom ćmisz bakę o zasadach, o charakterze, o konsekwencyi, a twoje zasady w tem, że patrzysz co komu do gęby idzie, kto zjadł więcej leguminy niż ty i czy w piecach drzwiczki i lufty zamknięte...

SZTALBURGIEROWA *wybucha ostrym, inwektywnym śmiechem.*

KALIKST *(ocierając chustką pot z czoła i z szyi).* ...Jurysta jesteś lichy, fachowiec lichy, bo ci drugiego rejenta wpakowali pod nos i ten ci wszystko z pod gęby zabiera... nie? Człowiekeś marny, jurysta żaden, a inteligencyę pożal się Boże, masz żadną...

REJENT *(wybuchając i tupnąwszy nogą).* Dosyć!... Dosyć mi...

KUZYN KALIKST *(jeszcze głośniej).* Właśnie, że nie dosyć! I ty, ty masz czoło wyrodny synu... wyrodny ojcze przeklinać, i to kogo?... Ludwisia!... ty?... Z takimi zwojami mózgowymi jak drobnoustroje co? Ty, coś z sądowej karyerki musiał rezygnować, boś od dyscyplinar zaczął? Ty? Przeklinać! Przepędzać?

REJENT *(chrypiąc).* Ja! Chciałem i przekląłem i przepędziłem i jeszcze poprzepędzę wszystko, co mi się będzie chciało... powyrzucam na bruk jak będę uważał za stosowne i nikt mi nic nie śmie powiedzieć... nikt...

REJENTOWA *(łkając).* O Jezu! Jezusie Najdroższy.

SZTALBURGIEROWA *(zuchwale).* No, no, ojciec dziś zanadto grozi, a tu stryj Kalikst...

REJENTOWA. Więc... więc ty Kalikście... *(wstrzymuje*

łkanie). Więc ty Kalikście twierdzisz, że Antoś Ludwisia niesłusznie... *(odważnie).* No mów jeszcze...

KUZYN KALIKST Ależ chwała Opatrzności że go przepędził... że chłopak o setki mil stąd... że chłopak nie oddecha wyziewami jego kanału moralnego... niech goni światami, byle tego półświatka na oczy już nie zobaczył... *(z ironą).* Patrzcie na mnie... otom ja przy was taka ofiara prawa mimicry *(pluje w chustkę).* Ty wiesz Antoni co to prawo mimicry... nie? Ty znasz paragrafy procedury na pamięć, jak je wykułeś czterdzieści lat temu tak?... *(dobitnie)* ty Milczek! wnuk rejenta! syn rejenta wykułeś, by je w sześćdziesiątym trzecim roku zaraz stosować an den Herren Insurgenten und revoltierenden Szlachcicen.... tak... *(patrzy na Rejenta z bezgraniczną odrazą i pogardą).*

REJENT *(rzucając się apoplektycznie czerwony).* To kalumnie, to kłamstwa tych bistyjskich gazeciarzy, żebym nie kandydował na posła...

SZTALBURGIEROWA *(przerywając).* To nie kłamstwa! bo to prawda, o tem wszyscy wiedzieli doskonale.

REJENTOWA *(z łkaniem).* Manciusiu! Jezus Marya! Co wy robicie!!

KUZYN KALIKST *(w wysokiem podnieceniu staje naprzeciw nich wszystkich).* Otom ja wasza ofiara... tu stoję belfer gimnazyalny na parafii... taki okaz do gablotki w gabinecie zoologicznym, taki dokument wspaniałego prawa mimicry!! *(oddecha ciężko).*

REJENT *(parska forsowanym grubym śmiechem).* Czyś ty aby już nie zbzikował kompletnie Kalikst?...

KUZYN KALIKST *(jakby go nie słyszał, w ekstatycznem wzruszeniu).* Patrzcie na mnie... otom już jest jak ten przepyszny indyjski Kallima paralekta... nie śmiejcie się! taki drogi motyl indyjski, taki szary obrzydliwie jak wy, taki zeschnięty jak wy, taki podobno do jesiennych liści... Z tchórzostwa, z upodlenia nabrałem takiego podobieństwa do was... małpowałem was, żeby się niczem nie różnić od waszej nicości, żeby być jednym z takich atomów, szarych proszków ludzkich... Bałem się borykania, zapasów z mocnem środowiskiem przepotężnej hołoty, z wami wszystkimi, z Milczkami, co milczkiem gryziecie człowiekowi wątrobę i otom równy z równymi, psuty jak i wy gorzki i spróchniały jak i wy... Kallima paralecta!... belfer botaniki Milczek...

(Krótka chwila ciszy i przygnębienia).

REJENT *(chrypliwym głosem).* Nikt ci nie bronił... nikt. Mogłeś lecieć w świat na złamanie karku...

KUZYN KALIKST *(załamując ręce z rozpaczą).* Mogłem, oj mogłem! Byłbym leciał na tych swoich młodzieńczych skrzydłach z takiej przeźroczej tkanki, takich błękitnych, pomarańczowych i może gdzieś, kiedyś padł pastwą silniejszego... ale świata zażył, światy widział, bezkresy... i z ludźmi miał do czynienia, z ludźmi, na Boga Wszechmocnego, z ludźmi żywymi z krwi i kości i mózgu, a tak...

REJENT. A tak? A tak jesteś porządnym człowiekiem, wiesz? masz stanowisko i pensyą, masz szacunek ludzki i emeryturę i powinieneś Bogu dziękować, że z takiego materyału awanturniczego, jak ty zawsze byłeś zrobił się normalny człowiek, wiesz?

KUZYN KALIKST *(znacznie spokojniej)*. Wiem i dziękuję Bogu... dziękuję, że mnie stworzył na obraz i podobieństwo takich jak ty i jak tu dokoła wszyscy... żem taki belfer zdziwaczały jak inne belfry filolodzy, germaniści, slawiści, żem taki spokojny obywatel jak twoi koledzy juryści... że się już niczem, niczem żadnym nerwem, żadną łuską, żadną substancyą nie różnię od tego mrowia schnących robaczywych liści...

REJENT. A ja ci powtarzam że lepiej jest być schnącym, robaczywym liściem, niż waryackim dyablim jakimś artystą czy talentem... że więcej wart człowiek co umie wyżywić żonę, dzieci i ubrać je i uprać od wszystkich pędziwiatrów psiakrew i całej kopy złajdaczonych bistyjskich literatów i żeś ty Kalikst z twoim temperamentem wściekłym na kolanach winien Opatrzności dziękować, że cię uchroniła od szpitalów, kryminałów, gazeciarzy, od...

(słychać gwałtowne dzwonienie, powiększony gwar w jadalni).

REJENTOWA *wybucha nowem krzykliwem łkaniem.*

KUZYN KALIKST *(spokojnie)*. Wiem mój Antoni i dziękuję Bogu... dziękuję, bo moja hańba, moje upo-

dlenie, moje mimicry stało się dla Ludwiczka nocną zmorą... I to moja jedyna pociecha... słyszycie? Ja przepadłem jak kamień w wodę, ale z mojego upadku wykwitł jego hart... i upór święty! Jam taki Milczek, jak wszystkie Milczki zasymilowałem się, zpartykularyzowałem się, nagiąłem karku, takim i wół i osieł i lis i świnia w jednej osobie jak wszystkie Milczki... wszystkich marnych nędzot mam w miarę i całem ognisko przysypał praktycznemi regułkami... gnojem...

REJENT. Chwała Bogu... *(Gwar w jadalni rośnie)*.

REJENTOWA *(nagle wstaje, jakby tknięta)*. Mańciu! Ktoś przyjechał *(zrywa się i walcząc z jakiemś wewnętrznem przeczuciem zmierza do drzwi)*.

KUZYN KALIKST. A kiedy mnie już nie dano być skalnym orłem, kiedy tylko spostrzegłem, że ja zresztą nic, a Ludwiś ma jakiś niebiański dar, niespodziany w takiej rodzinie Milczków, tom odżył na nowo... *(wpatrzony w rejenta, ale jak rozmarzony)*. I teraz tylko żyję tą myślą, że społeczeństwo, ty wiesz Antoni co to społeczeństwo?... że ci wszyscy tam! żywi! wiesz? żyjący! dostaną w rekompensacie za samych takich jak ty... za takich trzech po kolei rejentów Milczków, za takie całe miasta Milczków... jednego Ludwika... taką agawę wystrzelającą kwiatem co sto lat... artystę... *(ociera pot z czoła i szyi)*. Dixi...

REJENTOWA *otwiera drzwi jadalni i z głośnym płaczem pada w objęcia art.-mal. L. Milczka.*

KUZYN KALIKST *(odwraca się i złamanym krokiem idąc do fotelu przy serwantce, kończy półgłosem).* ... Et salvavi animam meam.

SZTALBURGIEROWA *z głośnym krzykiem wybiega do jadalni...*

REJENT *(patrzy w Kaliksta szyderczo, nagle słysząc gwar odwraca się, widzi serdeczne uściski, słyszy okrzyki, wstrząsa się cały, nie wierzy oczom, wreszcie przekonuje się o jawie przyjazdu syna i sięgnąwszy tylko po fajkę wolnym krokiem zmierza do kancelaryi, zamyka jedną połowę drzwi, patrzy przez moment z wyrazem tępej zawiści na radosną scenę, zamyka drugie drzwi z hałasem. Słychać dwa razy trzask klucza).*

KUZYN KALIKST *(już chciał siadać na fotelu, słysząc gwar odwraca się i szeroko rozwarłszy ręce, drepce naprzeciw syna rejenta).* Ludwisiu!

(Do salonu wpada najpierw mała Maniusia, potem Sztalburgierowa z okrzykiem: No chodźżeż! Ludwisiu! potem LUDWIK MILCZEK *z Zosiunią na rękach, potem pani rejentowa czerwona od ciągłego płaczu. W drzwiach stają sługi).*

LUDWIK *widząc kuzyna Kaliksta stawia Zosiunię na podłodze i szeroko rozwarłszy ramiona pada w jego uściski.*

(Jestto dwudziestotrzechletni polski Kunst-Sachsengänger naiwnie egzaltowany proletaryusz, z niesłychanie silnym młodziankowym optymizmem i żądzą wszystkich obiegowych fantazmagoryi, więc żądzą sławy, żądzą jak

największego szczęścia dla jak największych mas, żądzą ogólnego dobra, powszechnego piękna i absolutu prawdy. Włosy nieczesane à la Absalon, twarz przybladła i wynędzniała kraszona ceglastym rumieńcem suchotnika z groźnie zajętymi oboma szczytami płucnymi i pięknie rosnącą kawerną. Zapomniał zdjąć płaszczynę z peleryną (Grudzień!), albo też wstydzi się pokazać w letnim garniturku i wełnianej czarnej koszuli z wysokim kołnierzem — w środowisku, w którym wszyscy mężczyźni na dnie uroczyste, na imieniny Najjaśniejszego Pana, i do trumny wdziewają tanie ale poprawne surduty. Mówi wszystko fortissime z niemożliwą wiarą w swe tendencye i empirye, zapala się do każdego paradoxu, smuci każdą apatyą, przytem nieapetycznie pokasłuje a w manierach przypomina operetkowych Coulissenreisserów. Jako artysta jest już ceniony silnie z kilku kapitalnych notatek pejzażowych i z dwóch kompozycyi: „Pogorzelcy“ i „Nabożeństwo Majowe“, obie w posiadaniu pewnego mecenasa żydowskiego.

KUZYN KALIKST *(wśród pocałunków kordyacznych).* Ludwisiu... chłopaku mój... co za... niespodzianka.

ZOSIUNIA I MANIUSIA. Wujciu... wuciu Lulu... mamo...

SZTALBURGIEROWA *(całując Ludwika z boku).* Więc ty wprost z Monachium...

LUDWIK *(z dziką radością).* Stryj Kalikst! no co za radość, kochany stryjciu *(ściska go gwałtownie)* ... mój mój... jakże tęskniłem...

REJENTOWA *(z zatroskaną miną, przygnębiona).* No jak się masz, jak się masz? jak z twojem zdrowiem... bo myśmy... co cię skłoniło?

SZTALBURGIEROWA. Teraz wprost z kolei?

KUZYN KALIKST. No puść już, siadaj, wypoczywaj... on z Stuttgartu...

REJENTOWA. Musisz być zmęczony, głodny...

SZTALBURGIEROWA. Wygląda dobrze.

KUZYN KALIKST. Oj to nie powiem... no chodź siadaj...

LUDWIK. Czekajcie... niechże się mamie jeszcze napatrzę *(rzuca się do niej, bierze ją za obie ręce, wpatruje się w twarz bolesnym, przenikliwym wzrokiem)* trochę zestarzałaś się nam matucho... oj... *(bierze ją w objęcia, całuje po rękach, ramionach, po twarzy, poczem padają sobie w objęcia i chwilę nieruchomi stoją).*

SZTALBURGIEROWA *ociera chusteczką oczy.*

KUZYN KALIKST *(odwraca się od tego i walcząc zacięcie z rozrzewnieniem, mruczy niezrozumiale)* ... No tak... dobrze się stało... więc ty ze Sztuttgartu?...

LUDWIK i REJENTOWA *opuszczają ręce i jakby jedną myślą złą tknięci patrzą na drzwi kancelaryi.*

SZTALBURGIEROWA *(podsuwając do Ludwika dzieci).* No cóż mówisz na żaby, podrosły chyba... *(spostrzegłszy ich zasępienie).* Ach prawda. Ja już na chwilę zapomniałam.

REJENTOWA *(przez łzy do Kaliksta).* Czy Antoni się zamknął?

KUZYN KALIKST *(biorąc Ludwika za rękę, dziwnie ożywiony).* Nie wiem! Co tam *(macha ręką pogardliwie).* No chodź synu, patrz... *(ciągnie go pod drzewko).* Co?

REJENTOWA *(podchodzi do drzwi kancelaryi i próbuje klamki; do wszystkich).* Zamknął.

SZTALBURGIEROWA *(biorąc Ludwika za ręce).* Nie rób sobie nic z tego... no chodź... komedyant stary jak zawsze...

LUDWIK *(trzymany za ręce przez oboje, ale wpatrzony badawczo w matkę).* Zamknął się... *(namiętnie)* znów się zamknął...

KUZYN KALIKST *(energicznie).* Zostaw go, patrz... choina, jak dwadzieścia lat temu... tyś takim był jak te atomy *(wskazuje na dzieci)* wodorostem...

SZTALBURGIEROWA. Gdzieżbyśmy byli nawet przypuszczali... taka niespodzianka, bo już w lutym drugi rok by minął... Ludwisiu!...

LUDWIK *jakby nie słysząc, ciągle wpatrzony w matkę,*

REJENTOWA *(szarpiąc nerwowo klamką).* Antosiu, Anteczku... a otwórzno ty...

LUDWIK *(przygnębiony).* Więc znów się zamknął... po dwóch latach... znowu?...

REJENTOWA *(z płaczem).* Coś wesołego ci powiemy... ktoś przyjechał... Anteczku!

(Chwila ciszy krępującej. Wszyscy patrzą na matkę).

ZOSINIA I MANIUSIA *(skacząc radośnie).* Wujciu Lulu, Lulu.

LUDWIK *(już zniecierpliwiony, z zmarszczonem czołem szarpnął się).* Pozwólcie... *(kaszle ciężko).*

KUZYN KALIKST. A odże nie pozwolimy... On ciebie nie obchodzi... Przyjechałeś do mnie... mieszkać będziesz u mnie. Na strychu pomurują ci atelię.. chodź... patrz.

SZTALBURGIEROWA. Ma racyę stryjciu... poczciwy stryjciu... ach żebyś ty wiedział Ludwisiu jakiego ty w nim masz brata... nie przyjaciela! brata!

KUZYN KALIKST. No nieprzesadzać, nieprzesadzać Manciu... ta cóż ty tam patrzysz?... niechże rejentowa tu idzie!

REJENTOWA *(ocierając twarz z łez prędko podchodzi do nich).* Niema co Ludwisiu... musisz być cierpliwym... my go tu z Mancią przerobimy.

SZTALBURGIEROWA. Aha, potem później, byle teraz tam siedział w tej swojej jaskini, w tej norze, żeby był chwilę spokój...

ZOSIUNIA *(wyrywając się).* Wujciu ciągle w plaszczu.

REJENTOWA. Aha, zdejm już Ludwisiu, jeszcze się zaziębisz... i tak jesteś tak lekko... Boże... Boże...

LUDWIK *(zdzierając z siebie płaszcz).* A prawda!... zapomniałem... *(rzuca płaszcz na bliski mebel)* przepraszam was, zupełnie zapomniałem...

SZTALBURGIEROWA. To nic, to nic, tylko już nie trap się tym, tam *(wskazuje na kancelaryę)* a chodź i siadaj.

REJENTOWA *(znów biorąc go w objęcia).* Tak, tak, chodź

i siadaj... spocznij moje biedactwo *(całując z płaczem pochylonego w głowę)* ty moje biedactwo... o... takie to chude... Jezu Jezu! ty nic ciała nie masz na plecach chłopcze!...

KUZYN KALIKST *(gładząc go po plecach)* Żebrowania i ostyologii możnaby się uczyć...

SZTALBURGIEROWA. No, powiedzże mi o dzieciach... Co?... podrosły chyba...

REJENTOWA. Nie martw się już, nie... Wszystko się ułoży... Cóż kaszlesz... powiedz! kaszlesz? pisałeś, że znacznie mniej.

KUZYN KALIKST. Ale kaszle, niestety kaszle...

LUDWIK *(chrząkając suchotniczo).* Nie... już znacznie mniej... bardzo mało... tylko te pocenia w nocy straszne i to ciągłe plucie.

REJENTOWA *(przygnębiona).* Więc pocisz się dużo...

SZTALBURGIEROWA. Niechże go mama teraz nie indaguje, trzeba mu dać jeść.

KUZYN KALIKST. Oj to to. Musisz być głodny, jak wilk.

REJENTOWA *(zakłopotana).* Prawda, że jeść, ale myśmy już po wilii... cóż ja ci dam. Klucze! Manciu, gdzie moje klucze...?

SZTALBURGIEROWA. Ma mama przy sobie.

REJENTOWA. A prawda. Zaraz każę podać herbatę... usadowcież go... *(idzie szybko do jadalni oglądając się szybko na Ludwika).*

SZTALBURGIEROWA. Ja mamie pomogę... Chodźcie

dzieci *(bierze dzieciny wiszające się wciąż przy Ludwiku za rękę)* musicie wujciowi pokazać zaraz zeszyta kaligraficzne i książeczki z obrazkami i musicie wierszyki powiedzieć na pamięc.

LUDWIK. Już umieją wierszyki?... Żaby?

SZTALBURGIEROWA. A jakże... obie... masami.

ZOSIUNIA *(wyrywając się śmiało, staje w pozycyi deklamacyjnej i recytuje)*:

Pan kotek byl chory i leżał w lózecku
A psysed pan doktól jak sie mas kotecku

(urywa i filuternie) a więcej to jutlo... *(i ucieka do jadalni)*.

(Wszyscy w serdeczny śmiech).

SZTALBURGIEROWA *(śmiejąc się)*. A to ślicznie... Zosiuniu... *(wybiega z drugiem maleństwem do jadalni)*.

LUDWIK i KALIKST *uradowani patrzą chwilę na siebie wesoło, potem twarze im się zasępiają cokolwiek.*

KALIKST *(biorąc Ludwika pod rękę i prowadząe go swobodnie po pokoju, półgłośno)*. Leczysz się?.. co?

LUDWIK *(wymijająco)*. Tak... cokolwiek ile mi na to robota pozwoli... Teraz byłem przewściekle zaharowany w Karlsruhe i w Sztuttgarcie... Tapetym odwalał...

KALIKST. Jakto tapety?... *(stają na środku pokoju)*.

LUDWIK *(kaszląc)*. Tapety, wzory tapetów dla fabryk, cztery wzory... 200 marek jak lodu i za to tu jestem...

KALIKST. Ale prócz tapety? Przecież to nie sztuka... to nie obraz...

LUDWIK *(zwolna wpadając w egzaltacyę)*. Właśnie że sztuka stryjaszku! nawet więcej niż obraz... największa sztuka Zukunftkunst, Zukunft-musik... tak... Sztuka stosowana... nowa, wielka, święta... sztuka dla wszystkich a sztuka dla sztuki razem... to hasło całej Europy teraz stryjciu. A od niedawnych lat... *(kaszle silnie)*...

KALIKST. No chyba od niedawnych... Skądże artysta!... i tapety!... *(z pewnym żalem w głosie)* to tak jakbym ja weterynaryą się zajął albo... tego jarzynami kupczył...

LUDWIK *(łapiąc go za obie ręce)*. Ależ nigdy stryjusiu! nigdy tak! nigdy tosamo! to stosowanie świętej sztuki do życia, do wszystkiego, do mebli, do światła, do sprzętów, to świętość zstępująca na ulicę, to uprzystępnienie najwytworniejszego piękna wszystkim wszystkim najbiedniejszym! *(kaszle ciężko)*..,

KUZYN KALIKST *(już z podziwem i już przekonany)*: No proszę ciebie! a ja o tem nic a nic nie słyszałem...

LUDWIK. Ależ tak... Cała Europa o tem mówi... od Anglików to idzie, teraz tam wszystko od Anglików. Święty naród, wspaniały naród, chociaż... swoją drogą świnie także, o świnie... ale co tam to polityka. Ale Reskin, ale Murris! ale taki Bernżons sam stołki robił, wzory na suknie i oni wszyscy Whistler olbrzym, kolos rodyjski... teraz ten Blencz, teraz stara Grynwaj... teraz w Paryżu, w Wiedniu Finlandczycy no

wszyscy! Czy stryjciu wie, że jak tu stoję, widziałem suknię malowaną, suknię na bal! słyszy stryj? na bal malowaną *(krzyczy)* Kaulbacha!

KUZYN KALIKST *(z podziwem i strachem).* Ta słyszę. Proszę ja ciebie, no proszę, co się tam dzieje...

LUDWIK *(szarpiąc go za rękawy, cały czerwony i konwulsyjny).* Czy wujciu wyobraża sobie dokąd sztuka teraz sięga... *(krzyczy prawie)* skąd soki czerpie, motywy, formy co?...

*(*SŁUGI *wchodzą i patrząc z bezgranicznym podziwem w biednego egzaltanta nakrywają na stole, poczem wchodzi i* REJENTOWA *i* SZTALBURGIEROWA, *ale stają z boku nie chcąc im przeszkadzać.* REJENTOWA *znów podchodzi do drzwi kancelaryi i pochylona nadsłuchuje).*

LUDWIK ... Z dna morskiego... z wymoczków tak... lycopodia, małże... potem mchy... teraz formy z pod mikroskopów, teraz motyle, ćmy ta nawet... mikroby słowo honoru daję mikroby, laseczniki się stylizuje. Czy stryjaszek może przypuszczać za com wziął konkurs stuttgardzki na tapetę! konkurs! nagrodę!

KUZYN KALIKST *(już pełen podziwu, rozjaśniony).* No nie, no naturalnie że nie, skądżebym ja...

LUDWIK *(tryumfująco).* Za Kallimę paralektę! słyszy stryjciu za Kallimę pa-ra-le-ktę! stylizowanego tego motyla z Indyi... pomarańczowy gorący wściekły ton i berliner-blau... a koło nich taki sam szary i znów żółto-niebieska plama i znów szara... kapitalne tło...

to co mi stryjciu tyle naopowiadał dawniej, to ja szukałem po botanicznych atlasach!... my tak wszyscy!

KUZYN KALIKST *(przybladł mocno i powtarza melancholicznie).* Wy tak wszyscy... aha... więc właśnie.

SZTALBURGIEROWA *(stając przy nich z uśmiechem).* Ale bo ty nie wiesz nawet Ludwisiu, jak właśnie przed chwilą stryjciu Kalikst...

KUZYN KALIKST *(chwytając ją za rękę).* Dej pokój Mańcia, dej pokój,... co tam o tem... niech Ludwisiek mówi dalej... no więc... no mów...

LUDWIK. No nic już! tylko chciałem jeszcze, jakie to nowe krainy przed nami wszystkimi się otwarły. To też pracujemy jak byki, na wyścigi do późnej nocy, bo to ani atelier nie trzeba, ani słońca, ani modelu... nic... Nowy renesans jak Boga kocham stryjciu! nowe odrodzenie sztuk wszystkich, wszędzie. *(kaszle ciężko).*

SZTALBURGIEROWA *(z podziwem).* Naprawdę? I to ty do tego niby należysz czy jak?

REJENTOWA *(wzdychając od stołu).* Tylko kaszlesz daleko więcej, niż dawniej, ale bo też jesteś w takiem ubranku. Któż to widział w zimie się tak ubierać, nawet nie wypada.

LUDWIK *(do Kaliksta).* Sztuka musi kłaść swe piętno na wszystkiem, rozumie stryjciu... nietylko wspaniałe kicze w złotych cholernych ramach, nietylko knoty historyczne po głupich muzeach, ale wszędzie no słowo honoru daję wszędzie w kamienicach, w ogrodach, meblach, w każdym meblu *(wskazuje dokoła)* w tem,

w tem... *(raptownie wstrząsa się z obrzydzeniem i rozgląda dokoła z odrazą)* o tu naprzykład wszystko jest ochyda... tandeta beznadziejna,... świństwo fabryckie aż do oczu skacze... pfe... *(zakaszlał się).*

KUZYN KALIKST *(rozglądnąwszy).* No tak to prawda... może mieć tylko wartość antyku... nie?

REJENTOWA *(silnie urażona).* O już zaczynasz krytykowanie wszystkiego Ludwisiu... Żebyś ty wiedział, ile to pracy, pieniędzy wszystko kosztuje, ile koło tego trzeba chodzić a trzepać, kurz ścierać...

SZTALBURGIEROWA *(z głębokiem westchnieniem).* Oj to prawda. A ty myślisz Ludwisiu, że mybyśmy nie chcieli ładniejszych mebli, nowych fasonów?... takie secession...

LUDWIK *(zrywając się, jakby osobiście dotknięty).* Jakie secession? Jakie? Spalić, pogruchotać wszelkie secession! Kamiennym deszczem potłuc wszelkie wiedeńskie secessiony, żeby ich przejasna dżuma ogarnęła tych trucicieli, tych szarlatanów, tę zarazę morową, to kunsthändlerstwo amerykańskie... tych sałaciarzy barokowych, tych mydelkarzy...

SZTALBURGIEROWA *(bezradnie zwątpiała).* No, więc jakież ma być...

REJENTOWA *(już z złośliwą, jadowitą intonacyą).* Eee bo ty może Ludwiczku sam nie wiesz...

LUDWIK *(podbiegając do zegara).* O... takie... widzicie takie wszystko ma być!... *(walczy z wybuchem kaszlu).*

(Zegar bije zwolna godzinę dziewiętą i równocześnie gra Mozartowego Menueta).

LUDWIK MILCZEK *(w najwyższem napięciu egzaltacyi, rozpromieniony, dygocący).* O słyszycie?... Słyszycie?... *(nadsłuchuje z ekstatyczną rozkoszą),* Takie wszystko ma być... Z schwytaną za skrzydła duszą... We wszystkiem musi być zaklęta, w momentach natchnienia zaklęta dusza ludzka... smutek wściekły i wściekła tęsknota... słyszycie?... wszystko musi grać uczuciem... wspomnieniem, bólem dziecka deptanego... wyśmiewanego... wypędzanego w świat w ciemną noc a nadewszystko bitego dzień w dzień szyderstwem, jadem, brutalnością... *(nadsłuchuje rozpromieniony, z nim wszyscy jednak dziwnie przygnębieni).*

(Stara kucharka cicho na palcach wnosi samowar i stawia go w kącie).

LUDWIK MILCZEK *patrzy w zegar z uwielbieniem, potem zaczyna wpatrywać się przenikliwiej (jakby odcyfrowywał raz jeszcze treść obrazu na blasze), poczem twarz mu posępnieje, chmurnieje, kaszle cokolwiek, wreszcie gniewnym wzrokiem patrzy dokoła a kiedy zegar kończy grać, dwoma krokami rzuca się do drzwi kancelaryi i z wściekłością szarpie klamkę.*

REJENTOWA *(z przerażeniem).* Ludwisiu!

LUDWIK *(schrypłym głosem).* Otwórz!

KUZYN KALIKST *(do rejentowej szorstko).* Cicho!

LUDWIK. Słyszysz? Otwórz! Niech ojciec w tej chwili

otworzy, bo... ja otworzę... *(cisza)* bo może być źle... słyszy ojciec ja nie odpowiadam za siebie... ja długo byłem cierpliwy!... *(cisza).*

REJENTOWA *(zrywając się z fotelu),* Ludwiś! co ty robisz?!

SZTALBURGIEROWA *(chwytając ją silnie za rękę).* Niech się mama nie wtrąca... to mama winna wszystkiemu.

REJENTOWA. Ja? Znowu ja? *(wybucha płaczem i z okrzykami desperacyi wygodnie opada na kanapę).*

KUZYN KALIKST *(do rejentowej).* O to prawda! W takich razach dużo winna matka... tylko wiecznem zapłakiwaniem się...

LUDWIK *(szarpiąc klamkę i dobywając się kolanem)* Czy ojciec słyszy?... ja łagodnie proszę, żeby ojciec otworzył... Ja przyjechałem na Święta... na Gwiazdkę z Sztutgartu... Ja wziąłem nagrodę na konkursie... i dawniej w Warszawie... Ojcze, ja pracuję jak pies do nocy... *(kaszle silnie)* oszczędziłem 400 marek razem... Ojcze już w pięciu gazetach o mnie pisali... polskich, mam je ze sobą... moja fotografia będzie w Decorative Kunst... i artykuł. Już jestem sławny Ojcze i wszyscy mnie znają i świnie kunsthändlery i fabrykanty... do Berlina mi obraz kupili! więc niech mi tato już daruje i pogodzimy się.. bo ja musiałem być artystą... Tato! Tato! *(wstrząsa klamką delikatniej, kaszle).*

(Dłuższy moment ciszy)

KUZYN KALIKST *trzyma chustkę przy ustach,* REJENTOWA *popłakuje.*

SZTALBURGIEROWA *(podchodzi szybko do dzwi i krzyczy głośno a świszcząco).* Możeby się tato zdecydował otworzyć drzwi i pogodzić z Ludwisiem. Prosimy wszyscy... Tato! Czy tato słyszał jaki Ludwiś wykształcony, pracowity! sławny!... Tato! w gazetach o nim piszą, a jeszcze o żadnym Milczku nie pisali... no!... *(wstrząsa klamką)*

LUDWIK *(słabym głosem, zmęczony).* Ojcze!... Ja... Niech cię choć zobaczę, to pójdę... i tak wrócę... kilka dni.

SZTALBURGIEROWA *(kopie kolanami w drzwi, dygocąc całem ciałem).* Niech mi ojciec w tej chwili otwiera! Ja płacę za kancelaryę... Słyszał ojciec?... Inaczej jutro się wyprowadzam... jutro z dziećmi!... wszystko swoje biorę i zrywam z wami, słyszy ojciec zrywam z rodzicami na wieki wieków...

(Krótka cisza),

GŁOS REJENTA *chrypiący z wściekłości.* To zrywaj!!!

KUZYN KALIKST *(do drzwi),* A ja ci radzę Antoni! ty mu to otwórz drzwi... ty!... Bo mu inaczej tu... tu opowiem jaki to człowiek przepędził go z domu... co?

LUDWIK *puszcza klamkę, odskakuje od drzwi i jak obłąkanym wzrokiem patrzy na stryja Kaliksta, potem na innych, cofa się na środek pokoju.*

GŁOS REJENTA. Mów!... Mów.

KUZYN KALIKST *(podsuwa się pod drzwi i bierze za klamkę).* Słyszysz?... Ja ci radzę otwórz!... On cię do dziś dnia kochał, bo cię trochę szanował... słyszysz... *(z ironią)* ciebie! ciebie!... bo on jeszcze wszystko kocha... taki dzieciak...

SZTALBURGIEROWA *wybucha spazmatycznym płaczem i siada na pobliski fotel.*

KALIKST *(sucho i gnącym się z braku oddechu głosem).* Nie otworzysz?... nie puścisz go?... ty stary szmucyanie... *(cedząc zwolna)* ty samolubny głupcze! ty!... Nie chcesz mieć syna człowiekiem... ty... jurysto... egoisto. Boisz się światła co? Boisz się? *(nagle z wybuchem)* ... a ojca ze schodów strącić toś się... nie... a żonę pięścią uderzyć toś...

LUDWIK MILCZEK *w miarę tych słów bladł i trząsł się; nagle obu dłońmi chwyta się za skronie, już ma upaść, wysiłkiem konwulsyjnym jeszcze się pręży i z krzykiem:* przestań! *rzuca się do drzwi jadalnych.*

REJENTOWA I SZTALBURGIEROWA *zrywają się z foteli i potykając się biegną za nim.*

(Równocześnie słychać trzask podwójny otwierania drzwi od kancelaryi z klucza, drzwi się szeroko otwierają).

KUZYN KALIKST *cofa się o krok.*

REJENTOWA *(krzyczy).* On się zaziębi!... Gdzie płaszcz? Rzućcie mu z okna płaszcz!...

REJENT *staje blady jak ściana z rewolwerem w ręku i podnosi go na* KUZYNA KALIKSTA. *Dłuższą chwilę mierzą się wzrokiem.*

Rejentowi ręka opada. KUZYN KALIKST *z twarzą nieruchomą a tylko z odrazy skrzywioną, odwraca się i wolnym krokiem zmierza do drzwi, po drodze zabierając spokojnie porzucony płaszcz Ludwika. W jadalni gwar i hałas bieganiny.*

REJENT MILCZEK *patrzy za* KALIKSTEM MILCZKIEM *z szyderczym, niepewnym uśmiechem, poczem ogląda skrupulatnie rewolwer i chowa go do kieszeni, poczem stoi chwilę, namyśla się co począć, potem decyduje się, idzie do kancelaryi.*

SZTALBURGIEROWA *(z jadalni).* Jest!... są razem!... Kalikst go dopędził...

(Znowu hałas i bieganina w jadalni).

REJENT *(wraca z kancelaryi z fajką w ustach i pogodną twarzą. Papierem długim tak zwanym fidybusem zapala sobie fajkę flegmatycznie a solidnie, wreszcie staje na środku twarzą do jadalni i pykając z humorem woła).* Herbaty!... Matka! herbaty i makowca, jak zawsze... i lampy gasić... Dość tego! *(idzie do jadalni).*

ZASŁONA SPADA.

HAMLET I DON JOUAN

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE

OSOBY:

RICCARDO BRZOSTOWSKI.
MR. HERBERT MENGS (Menkes).
KAZIMIERZ ORLAND.
OFELIA ORLAND.
STARY HALINICKI.
ANNA HALINICKA.
KELNER Z RESTAURACYI HOTELOWEJ.
LIFT-BOY.
GARSON Z RESTAURACYI HOTELOWEJ.

Apartament pierwszorzędnego first-classe-hotelu Bristol, Monopol, Savoy, czy Metropole w Europie Wschodniej, urządzony z olśniewającą panów literatów i demagogów elegancyą.

Żółte w złote chryzantemy tapety wywołują w wchodzącym zasadniczo nastrój próżniaczego kwietyzmu. Podłoga silnie czerwono lakierowana przypomina prototypowe American - Bary w Manchattan, Avenue, atoli bonbonierkowy garnitur amarantowych mebelków z białego gruszkowego drzewa zanadto dosłowny jest w swym ortodoksalnym rococu, aby można o niego posądzać tapicerów amerykańskich. Na ścianach kilka bezwzględnie bezmyślnych scen z życia stajnianego

i psiarnianego w białych plisowanych ramach, wśród nich najniespodziewaniej dość poprawna i wcale wielka kopia jednego z niezliczonych tego tematu anglosaskich płócien (dosłownie): »Przedstawienie komedyantów wobec dworu i królewicza Hamleta«. W głębi drzwi białe szerokie, okolone stukateryami na korytarz hotelowy, z prawej drzwi szklanne na balkon z widokiem na mały w francuskim stylu ogródek hotelowy, po bu stronach drzwi okna szerokie w niszach. Z lewej kryte kotarą amarantową wejście do sypialni, równie splendid-comfortable.

Z imponującej rozety plafonu zwiesza się przezłocony żyrandol z opalizującymi szklannymi pryzmatami i oświeca siłą sześćdziesięciu świec w metaforze, a sześcioma lampami Davsona w rzeczywistości i połyskujące jak skóra Negrów pianino firmy Erarda w lewym rogu i kominek przesadnie barokkowy z czerwoną jarzącą taflą w środku w prawym rogu. Pod ścianą dwa olbrzymie bezmiernej ceny kufry angielskie z magazynów Price & Oliphant w Londynie, nadto kilka małych sackvoyazów, nadto poustawionych kilka wygodnych foteli i szezlongów w idealnym yachting style wskazują dobitnie, że obecny gość apartamentu słynny tenor Brzostowski ma ponad 100·000 rocznego licząc we frankach dochodu dalej, że dociągnął swą indywidualność do wymarzonego typu międzynarodowego mylord francais, wozi stale nienagannie trzydzieści garniturów, przywiązuje wielką wagę do specyalnego

kufra na koszule nieocenionego mr Samuela Somebody z Picadilly, a nawet może sobie dzięki trzem tourneem po United-States i Cesarstwie Rosyjskiem pozwolić na obwożenie ze sobą własnych mebli, które na Zachodzie zwą się tylko wygodnymi, u nas na Wschodzie eufemicznie... »secession«...

Pierwsza jesień. Opadają liście z drzew żółte i poranione sennie i cicho, rdzawe słońce zachodzi długo i effektownie naśladując łudząco zachody Rousseau i Courtensa powietrze przesyca ciężki oddech kończącej poród matki-ziemi, na świecie smętno i kojąco...; »wielki świat« ma lokalne grande prix, dwie jazdy panów steeple-hasse, hurdle-race, kilka wielkich polowań pod stolicą, dwa rauty reprezentacyjne, siostry Madcaps i La belle Duvernois, w którymś z ting-tanglów, wreszcie dwie premiery operowe: »Werther« Massenet'a i »Don Giovanni« W. A. Mozarta popularny, pod nazwą »Don Jouana« w nowej obsadzie: Elvirę śpiewa sama Gemma Sigrid, Annę... Adelina Flamma, Commodore... Sebastiano da Plombo (?), Don Jouana kończy studyować słynny z Romea w San Carlo Ryszard Brzostowski.

Tymczasem, godzina szósta poobiednia wychodzi z przeciągłem sybarytycznem poziewaniem z ciemnej sypialni w jasny salon, w ... szlafroku.



Mężczyzna trzydziestu kilku lat, z staranną kulturą dobrze odżywionego ciała, mocno podłysiały a barczysty, ciężki w giestach i nieciekawy; charakterystyczne chyba silnie występującą szczęka dolna, dwa wybłyskujące rzędy zdrowych zębów, opadła z lubieżności dolna warga i oczy brutalne, ciemne, piękne dla silnych, szerokich brwi. Podchodzi nucąc do stołu, przerzuca na tacy bilety wizytowe, czyta ... Alfred Kotłubajło, Jerzy Kotłubajło... aha... Chevalier de Oksza... Poleca się m a n i c u r e e t p e d i c u r e... redaktor Przemieszczański... a... książę Paweł Oleśnicki... aaa... Halinicki komandor orderu Świętego Grobu!... co? ojciec Anusi!!... czyżby to była afera nowa... *(silnie niespokojny rzuca bilety na tacę i podchodzi do tastru elektrycznego przy drzwiach)* w każdym razie coś być musi, niespodziewane... nic nie mówiła...

GARSON *(w drzwiach)*. Służę proszę jaśnie pana.

BRZOSTOWSKI. Czy jest pani z pod trzydziestego czwartego w swoim pokoju?

GARSON. Nie proszę jaśnie pana, w tej chwili wyszła.

BRZOSTOWSKI *(podchodząc do stołu)*. Tyś odbierał bilety?

GARSON. Do usług jaśnie pana.

BRZOSTOWSKI *(pokazując mu bilet Halinickiego)*. Kiedy był ten pan, uważałeś?

GARSON. O ten starszy jaśnie pan był dwa razy i raz

czekał w czytelni z godzinę. Był koło dwunastej w południe, a potem koło trzeciej drugi raz i czekał i...

BRZOSTOWSKI. Dobrze, możesz odejść, chociaż nie... zaświeć świece u pianina i proś zaraz pana Mengsa.

GARSON *(zapalając świece)*. Oo pan Mengs był już z pięć razy, tylkośmy nie chcieli budzić, i pan Mengs zaraz kazał mi oznajmić kiedy jaśnie pan się zbudzi...

BRZOSTOWSKI. To idź, oznajmiaj, chociaż nie... czy tego, czy pan Mengs zamówił na dziś obiad na pięć osób, idź spytaj się...

GARSON. Ja wiem proszę jaśnie pana, zamówił, ma tu być podany, nie na sali.

BRZOSTOWSKI. Tak? To dobrze... ale słuchaj, więc ten stary pan czekał mówisz, pół godziny?...

GARSON. Tak, z godzinę czekał, i chciał koniecznie i za pierwszą i za drugą razą widzieć się z jaśnie panem, tylko pan portyer i pan dyrektor powiedzieli, że jaśnie pan wyjechał na miasto, ze niema od rana, więc powiedział, że będzie może jeszcze dziś, albo w każdym razie jutro punkt jedynasta... Zresztą pan dyrektor powie...

BRZOSTOWSKI *(w zamyśleniu)*. O to grubo niemiłe... No możesz odejść. Każ mi podać kakao i kakesy i tego i proś tu zaraz pana Mengsa.

GARSON. Do usług (niema go).

BRZOSTOWSKI *(z pasyą)*. Akurat teraz... nie mogło wcześniej lub później *(podchodzi do fortepianu, uderza kilka taktów, siada, nuci)*:

Dell vieni alla finestra...
Dell vieni alla finestra...
...*(odwracając kilka kartek)*...
pour che porti la gonella,
voi sapete quel chè fá!...

(gra lewą ręką kilka taktów w widocznem podnieceniu). We drzwiach staje MR. MENGS, *gentleman-żydziak w arcy-szkockim garniturze z twarzą, na której dały sobie rendes-vous wszystkie nikczemności i niskości duszy maskowane flegmą i skrupulatnem wygoleniem w stylu nowojorskich businessmanow).*

MR. MENGS. A-very good day, Good day mister. Wreszcie ja mogę powiedzieć panu dobry wieczór, ja pomyślałem, że król się dzisiaj nie obudzi, a my dear king już śpiewa jak skowronek, wie eine junge Turteltaube.

BRZOSTOWSKI *(grając jeszcze lewą ręką).* Voi sapete quel chè fá... Dobry wieczór panie Mengs..., musiałem spać, wróciliśmy wcale rano, cenakle był niesłychanie miły... ludzie niezwykle interesujący... więc się spało za wszystkie czasy *(wstaje, podaje Mengsowi rękę niedbale)* ... Cóż z panem?

MR. MENGS *(zawsze z ochydną uprzejmością).* Ależ nic, nic, ja tylko się cieszę, że pan spał bardzo zdrowo... prawdziwie się cieszę, tylko, czy oni już dadzą panu śniadanie to ja się tego boję, potem ja się boję tego, czy pan wie jeszcze, że mi pan kazał zamówić tu większy obiad na pięć osób, potem ja się boję czy...

KELNER HOTELOWY *staje z tacą i przyborami do kakao, nakrywa na małym stoliczku.*

BRZOSTOWSKI *(z uśmiechem).* To o to wszystko się nie bój mister Mengs, bo widzisz i śniadanie jest i mały garçon już mi powiedział, że obiadu nie zapomniałeś zamówić i tylko...

MR. MENGS. Ale gdzieżbym ja mógł zapomnieć *(pomaga kelnerowi ustawiać dzbanuszki)* ... zaraz jak pan telefonowałeś, to ja sobie pomyślałem, co ja mam czekać do rana, to ja pobiegłem na schodach tylnych do kuchni i sam z chefem kuchni ułożyłem menu na sześć potraw, tylko jabym się troszkę chciał dowiedzieć, kto taki będzie... ja się domyślam, ja wiem, że to będą a finest children, ale... *(kelner znika).*

BRZOSTOWSKI. To się trochę niewyraźnie domyślasz mister Mengs, ale jabym pozwól chciał się najpierw od ciebie czegoś dowiedzieć... *(połykając kakao),*

MR. MENGS. Proszę, proszę with all my heart Sir.

BRZOSTOWSKI *(wskazując na tacę).* Przyjechał stary Halinicki?...

MR. MENGS *(podrywając się).* No przyjechał, tak jest przyjechał, no co ja mogę radzić, co ja wiem, no ja niechciałbym nawet powiedzieć my best friend, ja nie chciałem, ja pomyślałem poco rano to jest wogóle poco ja mam o tem pierwszy mówić. Ja wiedziałem o tem pierwszy, bo ja rano robię taki rewiew of rewiews, ja czytam wszystkie recenzye, kroniki, hotele, to ja dziś rano o 7-mej w łóżku pierwszy przeczy-

tałem: hotel d'Angleterre pan Halinicki właściciel dóbr z Ukrainy, to ja cały ścierpnąłem w łóżku i zaraz kazałem sobie zrobić Prisznitza... *(staje przed Brzostowskim).* Panie Brzostowski, no co będzie z nami... Is it chocking!...

BRZOSTOWSKI *(pijąc kakao).* Tylko cicho, cicho mister Menkes, niema co krzyczeć aj waj, bo jeszcze nic się nie stało!

MR. MENGS. Ale może się stać, bo stary jest czcigodna osoba i wielki pan i brat jego jest prałatem w Rzymie, a on jest komandorem i wicemarszałkiem szlachty, to aż strach pomyśleć, co to będzie za skandal, to może być kryminał! Jedynaczka!

BRZOSTOWSKI *(tupiąc nogą).* Cicho mister Menkes! Przestań, bo stracę apetyt... Gdzie poszła panna Anna? *(je dalej).*

MR. MENGS. Dlaczego miała pójść? Pojechała, ona wie wszystko, ja jej wszystko powiedział, no ona się nic nie boi, bo ona pod obcem nazwiskiem zameldowana i ona ze swojego pokoju nie wychodziła i tu nie schodziła, tylko czekała, a teraz ona pojechała, ale wzięła dwie woalki bardzo grube na miasto po kwiaty, bo jej się już nudziło, po lilie ona pojechała, nie wróci, ona będzie iść tylnymi schodami.

BRZOSTOWSKI *(wstając, niespokojnie).* Bój się Boga, tylko pan pilnuj i aranżuj wszystko tak, żeby żadnej awantury o ile możności nie było... Trzeba wziąść moje bilety wizytowe i oddać w hotelu d'Angleterre i... *(podchodzi do stolika)* i w pałacu Oleśnickich i braciom Kotłubajłom i staremu panu Okszy i w redakcyi Kuryerka *(podaje Mengsowi paczkę biletów wizytowych)* ...i koniecznie trzeba tak urządzić, żeby stary dziś nam dał jeszcze spokój, dziś mam tu gości, nie mogę ich narażać na bezpłatną tragedyę. To od pana wszystko zależy... tak! Musisz mister być ciągle na dole przy portyerze i starego nie dopuścić nawet na schody... Niema mnie, wyjechałem na miato od rana *(patrzy niespokojnie na drzwi).* I to musiało się wszystko wykryć na dwa tygodnie przed premierą,... teraz, kiedy ja mam się jeszcze uczyć, kiedy mam próby w dwumiesięcznem stagionie... och jej jakżeż ten dramat nie w porę...

MR. MENGS *(zgnębiony).* Pewnie, że nie w porę, to jest bardzo nie w porę, ale takie rzeczy są zawsze nie w porę... No co się będzie robić naprzykład jak taki pan Halinicki wyzwie pana na duell za córkę, hę?

BRZOSTOWSKI. No co się ma zrobić, nic. Stary pan się ośmieszy, a mnie kilka salonów przed nosem zamkną *(z uśmiechem)* a co prawda kilka innych niezdobytych się otworzy... ale dziś muszę mieć wolny wieczór... niczem niezakłócony, pogodny... szampański.

MR. MENGS *(chytrze).* To się zrobi, wszystko się zrobi Sir. I will not fail the question, tylko niech ja się raz dowiem, kto to dzisiaj będzie...

BRZOSTOWSKI. Ależ dowiesz się, dowiesz! Tosamo

towarzystwo co wczoraj, mój kolega dziecinny szkolny pan Orland, jego żona, ta co pisze najśliczniejsze poezye jako Ofelia Orland, moi najwięksi przyjaciele od wczoraj, oczywiście panna Anna i obaj ci Litwini, ci co ich trzeba rewizytować,... aha Kotłubajowie.

MR. MENGS. Undoubtely! Undoubtely Sir... *(z małpim karesem)*. To jest gala-dinner na cześć państwa Orlandów, na cześć tej pani co najśliczniejsze poezye pisze! i comprend Sir... tylko czy panna Halinicka to potrafi zrozumieć, bo mnie się zdaje, to ona nie będzie bardzo wesoła z takiego obiadu... *(mruga domyślnie ślepiami)*.

BRZOSTOWSKI. To już ciebie mister nie obchodzi *(nucąc)*. Idź i czyń powinność twoją!...

MR. MENGS *(skwapliwie)*. Idę, idę więc dzisiaj maestro, już nic nie będziemy pracować...

BRZOSTOWSKI *(swobodnie)*. Nic, dziś jest dzień nieparzysty, wyjątkowy... bez rejestru... *(z uśmiechem)*. Ale a propos co było dziś w rejestrze mości Leporello.

MR. MENGS *(również śmiejąc się, wyciąga notes z kieszeni i czyta)*. ...O jedenastej rano pedicure, był, czekał, poszedł. Na pierwszą próba z panią Flamma, na trzecią kazał pan zapisać tylko: czarna dama Semadeni, na piątą generalna próba trzeciego aktu, na siódmą obiad u baronowej van Metz, o dziewiątej akt w operze...

BRZOSTOWSKI *(śmiejąc się)*. Wszystko to więc już odbyło się, czy tak? Nie pozostaje nam tedy nic in-

nego master jak, abyś powiadomił liścikiem panią Adelinę, że miałem ataki newralgiczne i dlatego nie mogłem mieć zaszczytu odbycia z nią próby, za co ją solennie przepraszam, żebyś na jutro zamówił pana pedicura, żebyś zatelefonował do opery, że jestem mocno niedysponowany... żebyś...

MR. MENGS. Worst Sir. Bagatela! Będziemy znów płacili kary, będą znów nieprzyjemności za to ciągłe bonvivantowanie, signora Flamma będzie wściekła jak hyena i jeszcze nas w tym pojedynku zastrzelą na śmierć... A pleasant journey!

BRZOSTOWSKI. I nie pochowają na poświęcanym kirkucie... *(nucąc)*. Bądź dobrej myśli biedny Leporello! *(mówi)*. A teraz idź, idź i czuwaj... Czarna dama u Semadeniego czekała i w czarnej melancholii odeszła... w pokoju, pani baronowej odpiszę sam stylem pana de Morny a o dziewiątej będzie tu obok mnie *(z kokieteryą)* ona! ona! Niezwykła! Nieziemska!... Sama Poezya!...

MR. MENGS *(już przy drzwiach, złośliwie)*. Panna Halinicka nieprawda? O to ja dawno mówiłem że tak będzie, że ona będzie jeździć za nami, jeździć, aż swoje wyjeździ; i teraz już jest i nieziemska i la desse i sama poezya and most wise i może kometa nie? *(śmieje się podgłupiasto)*.

BRZOSTOWSKI *(patrząc na niego z niesłychanem zdziwieniem)*. Ależ głupiś mister! to jest przepraszam, mylisz się mister Mengs, nie o niej mówię... skądże...

gdzież znowu *(idzie w kierunku sypialni)* no idź pan już..., muszę dokończyć tualety, lada chwila zacznie się... dzień...

MR. MENGS *(z rozjaśnioną fizyognomią)*. Aha... to nie ona... tem lepiej... tem bardzo lepiej... To o tamtą...! Ej, ej signore Riccardo, to już tysiąc czwarta ofiara... I beg to take leave Sir *(nucąc i grożąc filuternie palcem wychodzi)*.

BRZOSTOWSKI *(wychodzi do sypialni, skąd słychać trylami wywodzone)*: pour che porti la gonella
voi sapete quel chè fá...
quel chè faaaá...

(Chwilę pusto, wraz słychać pukanie do drwi).

BRZOSTOWSKI *(z sypialni)*. Entrez!

W drzwiach staje z wielkim pękiem lilii ANNA HALINICKA *w hotelu zapisana jako Halina Brzostowska nr. 34, wysoka, rasowa młódka ukraińska, smuklejsza od sosny, wiotsza od palmy, gibsza od łani, młodsza od wiosny z oczyma podobnymi do czarnych stawów z Sierra Nevada otchłannie głębokich, z podpaloną cerą sprzedawanych w Dolmabagdzie Czerskiesek. Zaczesana a la lady Londonderry, ubrana z oślepiającym szykiem ciężko bogatych córek królów burakowych, i królów przenicowych ma chyba wbrew swej woli system ruchów dam grających w trente et quarante, u nas przystępniej histeryczek... W drzwiach sypialni staje* BRZOSTOWSKI *w wytwornym evening-dress)*: Aaa...

HALINICKA *(biegnąc do niego i zdzierając prawie welonkę)*. Ryszard, Ryszardzie ty wiesz już o wszystkiem?... mówili ci... szkaradni! *(rzuca mu się z wybuchem na szyję)*. Papa przyjechał, przyjechał, stoi w Angleterre..., cała dygocę, ale się nic a nic nie boję, jestem na wszystko przygotowana, napisałam mu ogromny, poważny list *(całuje go w same usta)*.

BRZOSTOWSKI *(odsuwając ją lekko)*. Ależ Anuś, jakże można... lada chwila może kto wejść. Wiem, wiem i wcale mi to wszystko nie na rękę... bardzo... Coś pisała, na Boga coś ty znowu pisała, to tylko gmatwa całą aferę a możnaby ją mocnym tuszem zakończyć, ech ty...

HALINICKA *(z egzaltacyą)*. Masz lilie, masz lilie moje Lwie serce, mój despoto, mój mocarzu, gdzie ci je dać, co? gdzie ci je dać? W sypialni przy twem łóżeczku ty mój bohaterze, czy przy biurku, no gdzie?...

BRZOSTOWSKI *(leniwie)*. Wszystko jedno, zupełnie, najzupełniej wszystko jedno, tam, tu, gdzie ci to większą satysfakcyę sprawi, byle nie przy łóżku, bo potem się człowiek żywcem dusi.

HALINICKA *(wkładając lilie do pysznej szklannej wazy Tiffanyego)*. To tu, to tu w twoje ulubione tęczowe szkła mój zgrymaszony satrapo. Wiesz napisałam do papy bardzo stanowczo i bardzo seryo, wszystko, wszystko co czułam i zostawiłam u portyera w Angleterre, że bez ciebie nie mogę oddechać, że mnie wieś dusiła, wysysała, trawiła, że kobieta ma równe prawo do życia co panowie, że ja wyższa jestem nad opinię

parafiańskiego mieszczaństwa, że są natury nadludzkie co wymagają nie przeciętnej wegetacyi, że to właśnie jest dokumentem wyższej rasy, że Haliniccy mogą sobie na wszystko pozwolić no i... Halinickie... wszystko cośmy razem obgadali, coś mi zawsze mówił i co mi przy liście przyszło tylko do głowy...

BRZOSTOWSKI *(z pewnem zakłopotaniem).* No tak, bardzo racyonalnie, tylko czy to tak dosłownie należało brać. Zawsze się w tych wypadkach mówi...

HALINICKA *(z radością).* Ależ ja wiem mój królu, mój pieśniarzu, ja wiem, że to się tak mówi i nie może być inaczej, dlategom mu to wszystko napisała. Zrozumżeż. Bo dlatego wszystkiego zakończyłam: nie chcę i nie opuszczę cię aż do śmierci, i będę z tobą jeździć aż do czasu jak weźmiemy ślub i że nieprawdą jest, jakobym ja uciekła z tenorem, jak u nas w okolicy mówią, bo ty jesteś barytonem, i że tylko tenory mają najgorszą opinię, no mnóstwo, mnóstwo, cztery arkusiki Stuart-Millu.

BRZOSTOWSKI *(śmiejąc się mimowoli i rozsiadając się w wygodnym fotelu).* Ależ moja Aneczko, jakżeż można było pisać coś takiego bez porozumienia się poprzednio ze mną, przecież to są poważne te... no *(ogląda swoje paznokcie, poważnie)* jutro już absolutnie musi być manicure...

HALINICKA *(stając przed nim).* ...Ja też wiem że to poważne rzeczy imperatorze mój najjaśniejszy, ale przecież budzić cię w twym złotym czarodziejskim

śnie nie miałam litości, a bałam się, dygotałam cała, aby tu papa przedtem nie był, aby ci co złego nie zrobił... *(gładzi mu rękami włosy).*

BRZOSTOWSKI *(z lekkiem znudzeniem, manewrując koło paznokci).* Bardzo to piękne, chwalebne, bardzo owszem owszem, ale do pewnego rencontru z nami przyjść musi i stosunek nasz musi się cokolwiek, że tak powiem unormować moja Annetto! Zrozumżeż, teraz ty, *(wskazując jej najbliższy fotel)* zrozumżeż, siądź, posłuchaj. *(Halinicka siada tuż przy nim).* Otóż widzisz papa występuje w swoich prawach, papa ma prawie obowiązek żądać, abyś ty wróciła do niego, papa chyba ani przypuszcza *(lekko jąkając się)*, żeby tego, noo, żeby to,... no dorozumiewasz się aniele... więc papa myśli sobie wyjechała, ale wróci... tak... no i w każdym razie ty musisz wrócić do papy Anneto cokolwiek się stało...

HALINICKA *(z wybuchem).* Ależ ja nie chcę wrócić, nigdy, przenigdy, ja nie wrócę, ja cię nie opuszczę, nie bój się mój Ryszardzie, nie bój, ja cię nie opuszczę za żadne skarby wszechświatów.

BRZOSTOWSKI *(upominająco).* Ja się nie boję Annuto *(z naciskiem)*, ale ja sobie tego życzę, pozwól niech ci wytłomaczę, ja sobie tego życzę dla naszego wspólnego dobra moja jedyna, *(z bezczelnym patosem)* dla naszej jasnej przyszłości, dla naszego! szczęścia! *(tragicznie).* Takie ofiary czasem ponosić się musi czasowe, chwilowe rozłąki, smutne to prawda jak jesień,

jak grób *(oglądając sobie palce, nagle zwykłym tonem)* oj, oj znów złamał mi się wczoraj najładniejszy paznokieć *(spojrzawszy na nią znów patetycznie)*, aha więc smutne nad wszelki wyraz rozłączenia dwojga istot kochających się, aby potem, kiedyś, w dalekiej przyszłości można sobie uścielić ciche gniazdko szczęśliwości wiecznej...

HALINICKA *(przerywając mu).* No dobrze Ryszardzie, ale przecież ja jestem pełnoletnia, rozporządzam sobą, przecież my, jak zechcemy ślub możemy wziąść dziś, jutro, w tym tygodniu, a potem...

BRZOSTOWSKI *(z sztucznem przejęciem się).* I co potem? co potem, co? potem narazić się na komeraże i krocie plotek, zerwać z całą potężną familią Halinickich, zyskać przekleństwo ojca, rodzonego ojca przekleństwo! Nie! *(lekko, śpiewnie)* nigdy! przenigdy moja Anno!

HALINICKA. Ależ papa jak już raz będzie po wszystkiem, to zgodzi się, zmięknie, pobłogosławi nas, zaręczam ci i będziemy szczęśliwi jak jesteśmy teraz...

BRZOSTOWSKI *(wprost bombastycznie).* Nie! mylisz się! o jakże strasznie się mylisz. Papa ciebie przeklnie, mnie przeklnie, a mnie do tego wyzwie i zabije w pojedynku jak psa!...

HALINICKA *(blada, z przestrachem)* Ależ ja do tego nie dopuszczę, przenigdy, ja się rzucę między was, ja się mu u kolan wić będę, ale ja do tego nie dopuszczę. Prędzej ja w jego oczach sztylet sobie wbiję

w samo serce, nim wy staniecie naprzeciw siebie w śmiertelnym boju! Nigdy!

BRZOSTOWSKI *(uspokojając ją).* Siadaj Anuś, pomówmy rozsądnie. Pojmij więc, że do tego wszystkiego można dopuścić, ale fortelem, to jest spokojnem rozważeniem kwestyi...

HALINICKA *(odkrywczo).* Teraz? Tu nic nie pomoże Ryszardzie tylko jedno! Bierzmy teraz ślub!

BRZOSTOWSKI *(ciągnąc ją za rękę, aby siadła).* Przedewszystkiem siądź, siądź moja Anuś, bo tak się egzaltować nie możemy, na to nie mamy czasu, nerwów... Słuchaj! Żyjemy już ze sobą miesiąc, prawda miesiąc od wyjazdu z Kijowa, żyjemy! *(z naciskiem)* to znaczy że tego, że stosunek nasz jest stosunkiem męża do żony, tylko bez sankcyi kościelnej i... prawnopaństwowej czy jak się to tam mówi...

HALINICKA *(lekko podrażniona).* Bez głupich formalności i ceremoniałów teatralnych, bez szablonowego wiązania stułą niegodnego ludzi wyższych p rzecież..

BRZOSTOWSKI *(z lekkim uśmiechem).* Owszem, owszem, bardzo ładnie to jest, bardzo słusznie, ale ostatecznie w rezultacie świat cały, otaczający nas ciągle to jest jakby ci to powiedzieć opinia publiczna, która zresztą może się mylić, ooo i stanowczo się myli, otóż świat ten, ta opinia nazywa ten piękny wynalazek, to jest chciałem powiedzieć ten piękny, tą piękną instytucyę, czy związek dusz pokrewnych, wolną miłość ludzi wolnych nazywa tem, no dzikim maryażem, taak, tak

dzikim maryażem i od takich dzikich partycyi to jest partyi się odsuwa, precz! jak od zadżumionych!

HALINICKA *(bohatersko)*. Ależ mój Ryszardzie, co mnie, co nas obchodzi świat, ten świat, ta opinia. Przecież sam mówiłeś, że ci ludzie i na słońcu szukają i znajdują plamy! Zresztą naszym ślubem zapieczętujemy usta wszelkiej oszczerczej plotce...

BRZOSTOWSKI. Naszym ślubem, ja wiem, to pewnie, ale ja wiem również i powtarzam ci ciągle, że my teraz i w bliskiej przyszłości ślubu brać nie możemy. *(z pewnem rozżaleniem)*. Przecież ty wiesz to dobrze Annetto i pogodziłaś się z tą myślą, a teraz ni ztąd ni zowąd znów mi serce krajesz. Przecież ty wiesz dobrze, że to niemożliwe! niestety! na razie! Przecież ja nie mogę ciebie narażać na tę wieczną tułaczkę, od stolicy do stolicy, od miast do miast, dziś tu, jutro tam, pojutrze engagement do Melbourne w Australii, ciągle w tej niepewności cygańskiej. *(deklamacyjnie)*. Artysta musi być wolny jak ptak, jak orzeł, jak jak kondor co nad skałami biega i tego i szybuje, gdyż inaczej ginie w nim, to jest powszednieje na nic dusza, traci duszę, traci geniusza opiekuńczego, traci głos!... *(nagle spokojnym tonem, nachyla się do stołu i puka mocno palcem)*. Bagatela! żebym tego tylko w złą godzinę nie powiedział, *(z obawą w głosie)*. Nooo, jestem bardzo zabobonny, wszyscy barytoni i tenorzy są zabobonni,... to mamy z Włoch *(patrzy na Annę i dalej znów podniesionym tonem)*. Więc z tą myślą,

choć tak bezlitośną my się oswoić musimy, ty Anno musisz wracać wnet pod strzechę rodzinną w te melancholijne ukraińskie stepy i kurhany a ja muszę w świat, w świat *(nucąc)*.

Der Mann muss hinaus ins fremde Welt... i tego i musisz czekać na mnie, tak czekać ranki i wieczory, aż wrócę po latach to jest aż wrócę po czasach pełen laurów i chwały i syty laurów... *(nucąc)* do ciebie!

HALINICKA *(z wybuchem)*. Nigdy! przenigdy, ja cię teraz nie opuszczę, ani na godzinę, ani na chwilę, ani na moment! Ja dopiero teraz poznałam twoje ofiarne bohaterskie serce, twoją zdolność do poświęceń, do męczeństwa! Gwiazdy wokoło twej głowy Ryszardzie, mój młody bogu! Kocham cię jak cię jeszcze nigdy nie kochałam, sama myśl o tem że ty mógłbyś zostać bezemnie sam, opuszczony, w zgiełku tego wielkiego świata wystawiony na tysiące pokus, zdany na łaskę tych kobiet, tych pań z naszego świata, przejmuje mnie dreszczem... W tej chwili może właśnie papa mój list czyta. Odkryłam mu wszystko, nie zataiłam niczego! Napisałam, że mieszkam w tym samym hotelu co ty, pod obcem nazwiskiem i paszportem,... że lada chwila możemy wziąć ślub, że wszelkie jego starania będą daremne, że nie ma siły boskiej ni ludzkiej *(wiesza się mu z egzaltacyą na szyi)*, któraby mnie od ciebie oderwała...

(Pukania do drzwi).

BRZOSTOWSKI *(uwalniając się z uścisków, wcale brutalnie)*. Ależ ja wiem, bardzo dobrze, tylko teraz pozwólżeż... znów nie zamknięte drzwi... proszę cię do... *(wskazuje jej sypialnią,* HALINICKA *biegnie do sypialni)*.

BRZOSTOWSKI *(poprawiając sobie tualety, po chwili, gdy pukanie powtarza się)*. Entrez!

GARSON *(staje we drzwiach z tacką, na której dwa liściki)*. Oba proszę jaśnie pana teraz przyszły, każdy przyniósł posłaniec.

BRZOSTOWSKI *(odbierając)*. Pięknie. Możesz odejść *(garson znika,* HALINICKA *staje na progu sypialni)*.

HALINICKA *(dziko, ciekawie, wchodząc)*. Przysięgłabym, że oferty miłosne!

BRZOSTOWSKI *(usuwając się aż pod balkon)*. Pozwól Annetto, że listy moje należeć będą tylko do mnie. *(rozdzierając koperty i rzucając je na stół.* Choćby i miłosne... Wiesz dobrze, że śpiewacy są milionerami miłości, więc muszą dostawać listy z prośbami... ciągle *(czyta)*... dzień w tego... w dzień... czekała trzy godziny...

HALINICKA *(porywając łapczywie koperty)*... Naturalnie kobiece pismo... ach jakie to żmije... jakie to nienasycone, rozpustne... pfe *(rzuca obie koperty z wstrętem... podsuwając się do niego)*... czekała trzy godziny, która?... no powiedz... która?...

BRZOSTOWSKI *(podając jej liścik)*. Ale masz, czytaj, zgadnij, ja sam nie wiem... tysięczna któraś... czarna dama... alboż ja wiem tyle czarnych dam na świecie.

HALINICKA *(wzburzona, pąsowa)*. Tak! to prawda, ale ona czekała u Semadeniego, cóż ona miała tam czekać, dlaczego u Semadeniego, skąd? Więc ona wiedziała, że ma czekać u Sema... *(z goryczą)* to pewnie bo i skąd... żeby znowu... Ryszardzie!

BRZOSTOWSKI *(czytając drugi list, niecierpliwie)*. Ależ wiedziała! naturalnie że wiedziała, ale kto z kim, czy ja wiem...

HALINICKA *(odstępując na krok)*. Ryszardzie! Co to znaczy?

BRZOSTOWSKI *(przerywając sobie czytanie, łagodnie)*. Nic, nic! Annetto! Dosłownie nic. Znaczy, że jakaś pani... wiedząc, że słynny Brzostowski, którego widziała w Pajacach bywa o tej a o tej godzinie u Sema... *(innym tonem, brutalniej)*. Zresztą powiedziałem ci raz na zawsze, że zazdrość to sól, którą bardzo łatwo przesolić, tak! następnie *(czytając list)* że tego, że... nie cierpię żadnych scen, że nie zniosę *(zamyśla się nad listem, kiwa głową)* tak jest absolutnie... nie scierpię *(nagle)* aha, teraz rozumiem *(twarz mu łagodnieje, uśmiecha się)*.

HALINICKA *(podsuwając się do niego, z wybuchem czułości)*. No już nie, już nie mój Cezarze! mój sułtanie, mój dożo, już nie będę zazdrosną, już nigdy, już się brzydzę zazdrością, ja wiem, że to jest niemożliwe... że to by było zbrodnią nad zbrodnie... ależ skądżeż... Ty musisz dostawać takie listy!!...

BRZOSTOWSKI *(w pełnym humorze)*. A widzisz? To

należy do fachu, to jest fachowe... tu nie tylko głos trzeba mieć, grdykę kapitalną, ale trzeba mieć to, to... ten jakiś fluid koło siebie, na który lecą kobiety, trzeba mieć szczęście do dam, ale któżby to *(uderza lekko dłonią po liście trzymanym)* wszystko brał seryo... któżby się nad tem rozwodził lub o to sceny robił... Ale może chcesz ten drugi list *(śmiało, pewnie...)* Proszę cię, czytaj! *(podaje jej).*

HALINICKA *(rzucając mu się na szyję, z atakiem czułości).* Nigdy, przenigdy... nie chcę, wierzę ci, wierzę ci na każde słóweczko! Ty nie umiesz kłamać, tyś nie zdolny jest do najdrobniejszego kłamstwa, a cóż dopiero do zdrady, oszukiwania! Tyś czysty jak łza, sama chodząca prawda i szczerość, mój jasny, mój pozłocisty... mój król!...

(Pukania do drzwi).

BRZOSTOWSKI *(odsuwając ją z hamowaną brutalnością).* Ano widzisz! Teraz żałujesz. Tylko teraz pozwólżeż! Znów do krocset dyabłów nie zamknąłem drzwi. To się raz fatalnie może skończyć *(poprawiając sobie tualety)*... Tylko... Proszę cię... *(wskazując jej sypialnię)*... wejdźeż moja droga... Ennn... trez!

(HALINICKA *wbiega do sypialni, równocześnie we drzwiach staje kelner hotelowy ze serwetą).*

KELNER. Proszę jaśnie pana, pan dyrektor kazał się pytać czy już można nakryć do stołu.

BRZOSTOWSKI *(cokolwiek zażenowany).* Aha... czy można nakrywać do tego stołu... a... tego można,

naturalnie, trzeba, tu *(wskazuje na stolik z frontu sceny)* na cztery osoby... tak na cztery.

KELNER *(skromnie, a chytrze).* Pozwalam sobie zwrócić uwagę jaśnie pana, że obiad był na sześć osób.

BRZOSTOWSKI. Na sześć osób, a ja wiem, ale pan Mengs to w swoim pokoju... Panu Mengs nakryjecie u niego pod sześćdziesiątym... Tu cztery!...

KELNER *(wydobywając arkusz papieru z kieszeni).* Tu pozwalam sobie przedłożyć menu dla... może co będzie do poprawy, co jaśnie pan sobie życzy *(wręcza papier).*

BRZOSTOWSKI *(przeglądając dokumentnie).* Sandwich — Mork-Turtle — Chateau Olivier 1870 — Filet de Cumberland — Bouf a la Hungrie — Pommery sec — Coqu de bois rôti — Asperges Chateaubriaude jardimêre au trouffes — Créme de Gerwaise Madeira vieux Tomates à l'Italienne Fromage de beurre, — Glaces variées.

(Za portyery sypialni wygląda ciekawie Halicka).

BRZOSTOWSKI. Tak dobrze jeszcze Curaçao — Cognac mousseaux bardzo... no i koniecznie dobry Burgund i tego Selleries i... *(półgłośno)* koniecznie Selleries angielskie.

KELNER *(chytrze, z płaskim ukłonem).* Do usług jaśnie pana, powie się w kuchni. Więc zaraz możemy nakrywać.

BRZOSTOWSKI *(spoglądając na zegarek).* A nie... to jeszcze zupełnie czas... za godzinę można podawać, za trzy kwadranse można nakrywać...

KELNER *(w drzwiach).* Do usług jaśnie pana *(wysuwa się bez szelestu).*

HALINICKA *(stając z wielkiem zdziwieniem w pokoju).* Jakto na cztery osoby... Czy kto jeszcze będzie?... Ryszardzie?

BRZOSTOWSKI *(cokolwiek nieśmiało).* Tak dziecino moja... Będą... to jest zapomniałem powiedzieć... że zaprosiłem na dziś, wiesz przecie państwa Orlandów, wypadało mi... mój kolega szkolny, ach to bardzo fenomenalny człowiek, napisał książeczkę o kobietach, takie... rodzaj aforyzmów jak do sztambuchów... a ona znowu pisze prześliczne poezye *(nagle przypomniawszy sobie coś biegnie do dzwonka i dzwoni)*... tak poznasz ich dzisiaj wieczór... biedni, bezdzietni!!

HALINICKA *(zdziwiona).* Jakto? Ryszardzie! To oni wiedzą o mojej egzystencyi, o naszym stosunku.

BRZOSTOWSKI *(ciągle dzwoniąc).* Oni? a wiedzą przypadkowo, zresztą kolega szkolny, rówieśnik, przyjaciel, najlepszy przyjaciel lat dziecinnych no i jego żona a przecież żony naszych przyjaciół są...

LIFT-BOY *(we drzwiach).* Do usług jaśnie pana.

BRZOSTOWSKI. Polecisz zaraz do pierwszej lepszej księgarni... o tu na rogu... i przyniesiesz dwie książki, ja ci tu napiszę *(wyciąga bilet wizytowy i pisze na nim)*... Maxymy o kobietach... Kazimierz... Orland i Ofelii Orland... te... to się nazywa Amaranty... nie, czy Ametysty... zbiór wierszyków... masz *(podaje chłopcu, ten z ukłonem wybiega)* spiesz się!

HALINICKA *(ironicznie).* Ale skądże taka nagła przyjaźń, nigdyś mi o nich nic nie mówił, pierwszy raz słyszę to nazwisko... to jest o niej słyszałam niby... *(wzgardliwie)* jedna z takich literatek tak...

BRZOSTOWSKI *(zapominając się).* O nie jedna! Daruj o takich kobietach nie mówi się: jedna z wielu... Ona ma być fenomenalny talent, rodzaj Musseta, ona jest naszą George Sand... Co za esprit! co za encyklopedya! Każde słowo to złota, zatruta strzała. Ona tak mówi, jak się mówi w najlepszych komedyach paryskich moja Annetto... to jest Gil-Blas damski... zresztą zobaczysz ją, poznasz, pokochacie się... o nawet ona jest bardzo ciekawą na ciebie.

HALINICKA *(cokolwiek urażona).* O dziękuję, zbytek łaski ze strony tej pani...

BRZOSTOWSKI *(ujmująco).* Ależ Annetto! Jakże można. Sama się przekonasz... Całą noc przepędziliśmy razem właśnie z nimi... i jeszcze dwóch braci Kotłubajłów i...

HALINICKA *(z wybuchem).* A więc to z nimi!... z nimi! A ja tu całą noc ani oka nie zmrużyłam, czytałam... płakałam, stałam w oknie parę godzin, patrząc kto wysiada z doróżki przed hotelem! Ja ci nie chciałam nic o tem mówić, nie chciałam ci robić żadnych wyrzutów, przecież już kilka razy nie było cię w nocy w... hotelu, w domu, ale ja wiem, że to należy do

fachu, że ty musisz od czasu do czasu, bo to przyjaciele, koledzy, panowie z żurnalów... ale ja nigdy nie myślałam, że i kobiety są z wami... nigdy!

BRZOSTOWSKI. Ależ Anneczko tym razem to jest to przecież była mężatka, żona dzieciom, to jest matka dzieciom...

HALINICKA *(przerywając mu)*. Mówiłeś przecie, że bezdzietni... Ryszardzie!

BRZOSTOWSKI. No oczywista, że bezdzietni, kompletnie bezdzietni, to tylko taki façon mówienia o mężatkach... dla powagi... Ale nie o ich dzieci nam przecież rozchodzi się! no uspokój się dziecino *(podchodzi do niej, łagodnie)*. Uspokój się i bądź mi wesołą... mówiłem im, wywnętrzyłem się niejako o wszystkiem... czują do ciebie wielką sympatyę, szczególnie ona... Więc bądź dla nich bardzo serdeczną dziś... jutro nie wiemy co nam przyniesie... spowij się teraz w piękną suknię... i staraj się rozkokietować mego przyjaciela *(trzyma ją w uścisku)* tak jak ty to umiesz... *(nachyla się nad nią i całuje piękną w same usta)*.

(Pukania do drzwi).

HALINICKA *(upojona, przyciszonym głosem)*. Wszystko zrobię dla ciebie... wszystko! Nie mam ani cienia zazdrości...

BRZOSTOWSKI *(zakłopotany, poprawia tualety)*. Tak no dobrze, ślicznie, koncertowo, a teraz już spuść wualkę *(Halinicka spuszcza welon na twarz)* i wyjdź...

lada chwila ktoś wejść może niepożądany *(z irytacyą)*, a my się tak ciągle narażamy.

HALINICKA *stoi gotowa do wyjścia, niezdecydowana czy ma wyjść*.

BRZOSTOWSKI *(daje jej znak)*. To już zaczekaj *(głośno)*. Entrez!

(W drzwiach staje garson z biletem na tacy).

GARÇON. Ten pan czeka na dole i pyta się czy jaśnie pan przyjmuje *(podaje)*.

HALINICKA *(blada, z krzykiem)*. Papa?

BRZOSTOWSKI *(czyta)*. Nie... *(zdziwiony ogląda bilet i do garçona)*. Ten pan sam?

GARÇON. Sam jaśnie panie.

BRZOSTOWSKI. Proś.. *(do Halinickiej)*. Nie obawiaj się. Pan Orland... sam! Widocznie coś zajść musiało... Chociaż znowu... W każdym razie, idź teraz Annetto do siebie, zrób tualetę, a garçonem cię poproszę na obiad...

(Garçon znika, BRZOSTOWSKI *otwiera sam drzwi i trzyma klamkę)*.

HALINICKA. Do widzenia Ryszardzie! *(nadstawia buzi do całusa)*. No jeszcze... Ubiorę się w lila... pa.

BRZOSTOWSKI *(całuje ją lekko i szeroko otwiera drzwi na korytarz)*. Więc addio mia carissima! addio...

HALINICKA *z bezmiernie słodkiem spojrzeniem wychodzi*.

BRZOSTOWSKI *(w tej chwili wydobywa list z kieszeni i idąc do stolika rozwija go pod światło)*... To dzi-

wne... *(czyta)*... Bądź spokojny Don Giovanni... Ofelia nie pójdzie do klasztoru, Ofelia przyjdzie do Ciebie. Uwodzicielu.., *(śmieje się lekko)*... ale do klasztoru?...

(Pukanie do drzwi),

BRZOSTOWSKI *(chowając szybko list)* robi z radością pirueta nogą i pełną gamą śpiewa: Ennnntrezzz...

(Drzwi otwierają się bardzo flegmatycznie, a w nich staje pan Orland).

Trzydziestoletni okaz podupadającej ale dobrej rasy szlachecko-mieszczańskiej. Dziadowie, bogate kupcy przekazały wnukom ambicye herbowe, więc ojciec ożenił się z hrabianką czy tylko baronówną, przetrwonił majątek do ostatnich szelągów, a synowi dał na życie pańskie pretensye, rafinadę, spleen i silne tylko ukochanie sybarytyzmu. Młody Orland w wiośnie życia był farysem i Parysem, czem zyskał przydomek: „Szalonego Orlanda", poczem ożenił się bogato, czem zyskał opinię nikczemnego oportunisty i przepadłego renegata (?). W tych to czasach wydał (już kosztem bogatej a genialnej... żony) białą broszurę welinową z wytłaczanym fioletowym irysem i napisem „Maxymy o kobietach", a równocześnie zaczął dość nałogowo grać w bacska, maczka i pokerka. Z czasem życie swoje unormował już w pewien systemat, dzieląc dobę na godziny zielonego stolika, na godziny w których się kombinuje melancholijne apoftegmaty i diapsalmaty o otaczających kobietach, na godziny siesty i trawienia czyli jak się wyrażał: „godziny bądź co bądź syzyfowych prac peptonów". Pan Orland ma piękną bolesną twarz, któregoś z Velasquezowych grandów, wgłębione sonnambuliczne oczy, lekki zarost skośnej bródki, białe dłonie dłuższe od dłoni w Tooropa: „Organach".. Ubrany jest wytwornie z tendencyą do minorowego kolorytu w cloche-anglaise, uczesany a la Brandes, uperfumowany a la deminonde, w każdym geście warszawski kuzyn duchowy hrabiego de Montesquieu de Fezenzac.

ORLAND *(wyciągając manierycznie rękę).* Witam cię kochany Brzostowski... *(podchodzi z laską i cylinderkiem).*

BRZOSTOWSKI *(serdecznie).* Witam cię mój Kazimierzu! Nie uwierzysz do jakich szczęśliwych dni będę zaliczał dzień dzisiejszy. Proszę cię, siadaj ale pozwól że cię z miejsca zapytam: gdzie pani?

ORLAND *(siadając z widoczną troską, aby fałdy ubrania ułożyły się estetycznie; opierając dłonie na główce laski).* Ofelia poszła do klasztoru... Taak. Klasztorem nazywam milion jej dwóch starych ciotek tak bajecznie naiwnych, że wskutek tego aż naszemu sercu drogich. Ofelia jest infantką tych dam, z których jedna pani de Oksza nazwała mnie chodzącą enigmą, druga... przeciętnym szulerem...

BRZOSTOWSKI *(śmiejąc się).* Taak? Nadzwyczajne! Więc twoja pani nie zaszczyci mnie... to jest nas swoją osobą? prawdziwie żal mi...

ORLAND. Pozwól. Otóż dziś była niedysponowaną po wczorajszej nocy. Przyznała mi się do półtorej butelki Pommery-Dry i do pięciu Schiedamów, a jest to jak na jej indywidualność... za dużo. Wygląda jak cytryna, wskutek czego odwiedzi swe bogate ciotki, wzbudzając w nich piękne współczucie.

BRZOSTOWSKI *(chytrze)*. Taak, jakże mi głęboko żal... Więc państwo dom ciotek przezwaliście raz na zawsze klasztorem?

ORLAND. Nie inaczej. Kiedy zwyczajnie zasępi się cokolwiek horyzont naszych finansów, przywykłem mówić: Ofelio! idź do klasztoru. I Ofelia idzie, a wraca z złotym rogiem Amaltei...

BRZOSTOWSKI *(ni stąd ni zowąd ogromnie rozweselony)*. Ależ to kapitalne, to niesłychane, co za wysoce współczesna transpozycya Hamleta... i Ofelia wraca z klasztoru z szeleszczącymi banknocikami. N'est pas?

ORLAND. A tak kochany rówieśniku i po dzisiejszej wizycie jej tego się spodziewając pozwoliłem sobie wziąć urlop na cały wieczór i poświęcić go...

BRZOSTOWSKI *(stając zdziwiony i niespokojny)*. Mnie... czyż tak? O jakże jestem ucieszony...

ORLAND. Cieszysz się mój Ryszardzie cokolwiek przedwcześnie.... Tobie mogę poświęcić z jakie półgodzinki, resztę zaś doby temu drobnemu, zgrabnemu proszę ciebie ludkowi, w którym na kilkanaście poddanych przypada jeden król, jedna królowa, jeden walet i jeden as przyjaciel domu...

BRZOSTOWSKI *(śmiejąc się do rozpuku, z niesłychaną radością)*. Rozumiem, rozumiem... ależ to fenomenalne! kiedy ty co powiesz to jest ostatni wyraz dowcipu i to wszystko z taką bajeczną powagą. Nie Kazimierzu, ale tego nie dopuszczę, żebyś ty dzisiejszego wieczoru mnie nie poświęcił. Więc pani twej nie będzie, no to trudno, z tem się musimy pogodzić... *(z pewną obawą)*. Chyba no żebyś stanowczo musiał, gdybyś już miał partyę umówioną, może tego moje towarzystwo by cię znudziło, to cię będę miał za wytłómaczonego.

ORLAND. O nie! Stanowczo nie. W żadnem towarzystwie się nie nudzę, ponieważ w każdem znajduję się bądź co bądź z samym sobą... tak z samym sobą, a wtedy umię kompletnie nie dostrzegać otoczenia; no a materyał życiowy każdego dnia uważasz mnie, kolory, gesty, fakty nawet, dalej siejba książkowa dostarczają mi tyle pracy dla reflexyi, że zwykle kładę się spać znużony, przepracowany, przemęczony.

BRZOSTOWSKI *(podając mu szkatułkę z cygarami)*. Doprawdy?... Może pozwolisz... Ale to mi cię serdecznie żal, że się tak forsujesz umysłowo; to w każdym razie wysoce niehygieniczne...

ORLAND. Owszem... jeżeli są suche i jasne *(przebiera powoli w cygarach, mnąc każde i patrząc pod światło)*.. tylko bardzo jasne dają mi pewną moralną satysfakcyę... o... wprawdzie któryś z moich przyjaciół

twierdzi, że toute est foumable... ale to wierzaj mi paradox... o dziękuję ci.

BRZOSTOWSKI *(zapalając mu cygaro długiemi zapałkami bon-vivantów).* Proszę cię... Tak... Więc tak pracujesz mój Kazimierzu obecnie... no proszę, ale czy drukowałeś jakie dzieło to jest jakąś powieść, bo nie wiem daruj, w tych sprawach nie jestem kompetentny, chociaż wierzaj mi ten twój pamiętnik o kobietach to coś fenomenalnego... mam go tam *wskazuje na sypialnię)* oczywiście mam go tam zawsze, nie rozstaje się z tą ksiażką, jak i oczywiście z kapitalnemi poezyami twojej pani... to są rzeczy imponujące...

ORLAND *(z uśmiechem pobłażania).* Czy teraz co piszę? Nie, skądżeby? Ja pracuję mój drogi nad sobą, nad otwartą księgą mego życia, nad swojem Ja mój kochany śpiewaku, na »Ding an sich«. Sztuki nie można uprawiać jako rzemiosło, przenigdy jako mozoł, jako syzyfowe prace tych uważasz mnie demagogów..! Sztuka, którą czuć potem jest już nie do uperfumowania, jak niektóre panie z ludu...

BRZOSTOWSKI *(zaciągając się cygarem).* No naturalnie bez kwestyi, masz w tem całkowitą racyę. Do tego samego i ja doszedłem uprawiając kobiety fachowo przez całe życie.

ORLAND. Pozwól! *(trzymając cygaro na dłoniach, z wyrazem bezmiernego bólu).* Sztuka jest dla mnie tylko unoszącą się w obłoki miską Graala... Dla mnie

sztuka jest tem, czem dla opuszczonego łkającego dziecka matka porywana, coś czego nie można mieć na zawołanie każdej chwili, ale coś co przychodzi z zaświatów jako Westchnienia nieświadomego...

BRZOSTOWSKI *(z emfazą).* No naturalnie, stanowczo, coś podobnego nie można mieć na zawołanie, ja to sam wiem po sobie...

ORLAND *(niechętnie).* Prawdopodobnie, prawdopodobnie, ale pozwól, czy nie dałoby się troszeczkę ztonować światła *(wskazuje laską na żyrandol).*

BRZOSTOWSKI. Ależ z całą swobodą, jeżeli cię tylko razi, ja sam nie lubię zbytniej jaskrawości, ale służba hotelowa... *(wstaje do tastru i skręca cokolwiek światło).*

ORLAND. Zapewne, zapewne. Mnie takie kaskady promienistych fal przyprawiają dosłownie o chorobę... szczególniej o tej godzinie a l'heure apperitif, kiedy uważasz mnie dusze swobodnie opuszczają swój ten swój surogat cielesny i obcują ze sobą bezpośrednio...

BRZOSTOWSKI *(z istotnem zainteresowaniem się).* Co naprawdę? czy to chyba możliwe? Mnieby to mój Kazimierzu bardzo interesowało jako zapalonego spirytystę. Nie dziw się! my to śpiewacy mamy z Włoch.

ORLAND. Pozwól... *(wzgardliwie).* To nic z spirytyzmem... włoskim nie ma wspólnego... Otóż o takich godzinach mam to z mojej najświetniejszej więc paryskiej epoki, nadzwyczaj jest awantażownie zagłębiać się nad istotą wszechrzeczy, nad tymi źrą-

cymi zagadkami kosmicznemi, nad tymi wiecznymi pytajnikami, jakie między mężczyzną a kobietą pozawieszała ona... wieczysta... nieśmiertelna Mamselle Ananke... Tak!... Czy nie zastanawiałeś ty się mój Ryszardzie nigdy naprzykład nad tem, że na rautach u nas naprzykład kobiety oglądają i podziwiają się zawsze między sobą? We Włoszech i w Paryżu... ba w Budapeszcie nawet oglądają wyłącznie mężczyzn.

BRZOSTOWSKI *(istotnie zainteresowany)*. O w tem masz stanowczo racyę, to każdy mówi, kto cokolwiek więcej flanuje w tym świecie. Nie, Polki stanowczo pod tym względem są nie do zniesienia, tu kompletnie nie ma interesujących, to co się nazywa interesujących egzemplarzy tej płci, to już dawno stwierdzono podobno. Jeżeli mam być kompletnie szczerym mój Kazimierzu, to Twoja żona jest pierwszą kobietą frapującą spotkaną przezemnie w ojczyźnie. I to jest smutne, bardzo smutne, no ale dla ciebie chyba nad wyraz pochlebne... *(siada wygodnie)*. Przypominam sobie raz w San Melo... zdarzyło mi się proszę ciebie...

ORLAND *(przerywając mu bez skrupułu)*. Tak to przyznaję Ci... Omfala moja jest w kilku miejscach zupełnie genialną, przynajmniej w tem popularnem tego słowa znaczeniu... prawie plebejskiem... ale nie jest to jeszcze stanowczo to das ewig Weibliche o czem ja marzyłem w bezsennych wizyjnych nocach oczekiwania *(gorzko)*... o nie.

BRZOSTOWSKI *(zrywając się, z szczerym zapałem)*. Ale bo mój Kazimierzu, ty jesteś za wybredny... przecież trudno sobie wyobrazić kobictę, któraby w sobie tyle fenomenalnych łączyła przymiotów! Z kobiet tego wzrostu ona jest stanowczo najprzepyszniejsza, przytem ta encyklopedyczność, ta mądrość, ten dowcip, ten esprit w oczach szafirowych.

ORLAND *(patrząc na niego ironicznie)*. Tak to prawda. Tylko tem wszystkiem nie można się egzaltować. Dla duszy to wszystko to martwy przyznasz kapitał. Ofelia? Owszem, to ideał ale jakże bliski niestety ideałom ulicznym... Dla mnie *(dobitnie)* dla... mnie superlatyw kobiety gdzieindziej, gdzieindziej. Ofelia jest zanadto konkretną, przymioty jej nazbyt namacalne, plastyczne... A przecież kobieta to jedyna istota, która nam daje uważasz mnie przedsmak tego co wieczne... to jedyny most widoczny do tego wszystkiego co nieuchwytne, nieświadome, nieskończone, niewidoczne, wiekuiste... *(wzdycha ciężko)* przy nich ma się tylko czasami te jasne przeczucia tego wewnętrznego, podziemnego życia duszy o jakim my biedni laicy, profani, śmiertelni nie mamy ani wyobrażenia... *(melancholijnie)* ani wyobrażenia!

BRZOSTOWSKI *(cokolwiek niecierpliwie)*. No tak, ale to się tylko tak mówi chyba, a ostatecznie przecież sam przyznasz, że każda co przystojniejsza kobieta...

ORLAND *(cierpko)*. Pozwól... To nie »tak się mówi«... tu się nic nie mówi... *(z siłą)*. Jeżeli kobieta nie jest

tak nieuchwytną, tak delikatnie mimozowatą jak cień przechodniów... przechodniów na gotyckim witrażu! to daruj! nie ma jej!... nie ma jej, albo jest ale jest... żadna!...

(Pukania do drzwi).

BRZOSTOWSKI *(pojednawczo).* Tak to prawda, to prawda... o pozwól... *(niespokojnie)* e n t r e z.

(W drzwiach staje garson z pakietem w ręku).

BRZOSTOWSKI *zrywa się i szybko idzie naprzeciw niego.*

GARSON *(recytując z pełną naiwnością).* Są proszę jaśnie pana, ale w tej księgarni na rogu nie było, tylko musiałem biedz aż na plac...

BRZOSTOWSKI *(ostro).* Dość... Możesz w dyabły... tego... *(do Orlanda).* To nic... proszę cię mów dalej... tego... chłopiec przyniósł tego kalendarze noworoczne... o już *(rzuca pakiet na fortepian z furyą i wraca)* a możebyś tymczasem pozwolił z kieliszek Sherry! mój przyjacielu mam kapitalną *(bierze butelkę z bocznego stolika, kieliszki i podchodzi z tem do Orlanda).*

(Garson znika).

ORLAND *(odwracając od butelki niechętnie głowę).* O dziękuję ci, stanowczo dziękuję, nie chcę potęgować dzisiaj mego pessymizmu, rozbudzonego całodziennym katzenjammerem... Postaw!

BRZOSTOWSKI *(nalewając sobie kieliszek wesoło).* Ależ to optymizm mój Kazimierzu, optymizm! przed obiadem stanowczo doskonale robi zacne Sherry Brandy. *(pije).*

ORLAND *(oschle).* Jak komu... Postaw... Otóż wracam do moich dociekań kobiecych, które są owocem z drzewa złych i dobrych doświadczeń życiowych... teoryi...

BRZOSTOWSKI *(wypiwszy mlasnął językiem i siada wygodnie).* Proszę cię, proszę... to może być bardzo ciekawe... tak i jest rzeczywiście niezmiernie ciekawe dla mnie, bom przecież na kobietkach nie zęby zjadł, no nie, bo zęby mam jeszcze koncertowe *(szeroko otwiera usta i deklaruje dwa rzędy czystych zębów),* ale nauwodził się człowiek w swem życiu nie mało *(śmieje się grubo, trywialnie)* i to tak jakby mnie co pchało z afery w aferę, z stosuneczku w stosuneczek *(nalewa sobie drugi raz)* od blondynki do brunetki, od ceglastej Angielki do czarnej jak węgiel Neapolitanki i nigdy człowiek doprawdy nie zaznał spokoju i do żadnej jakoś nie można się było przywiązać, bo każda tak się opatrzy a la longue i wiesz tak już się zna dokładnie każdy jej ruch, to czesanie włosów na piersiach, tę kokieteryę przed tem wszystkiem *(przysuwając się poufale do Orlanda i trzepiąc go dłonią po kolanie)* ...zresztą pan szanowny sam wie dobrze o tem wszystkiem...

ORLAND *(cofając się mocno z fotelem w tył i gładząc sobie dłonią kolano; zły).* Nic nie wiem o tem wszystkiem i nie chcę wiedzieć o tem wszystkiem. A jeżeli wiem, to intuicyjnie, tak wyjątkową intuicyą, gdyż na zbyt poufałe obcowanie z kobietą-człowiekiem nie

pozwoliłem sobie nigdy... słyszysz i pojmujesz mnie śpiewaku nigdy...

BRZOSTOWSKI *(zdumiony, wstaje raptownie).* Czy być może? Ależ to nie możliwe, przecież bądź co bądź jesteś żonaty...

ORLAND. Pozwól... Żonaty, nieżonaty. To w niczem rzeczy nie zmienia... Bez kwestyi że wobec kobiet zwierząt budziła się we mnie bestya drzemiąca czasem i w samotnikach i ta wspomniana bestya nasycała się ordynarnymi senzacyami cielesnymi, tak, bezsprzecznie. Ale dziś, gdym doszedł do wyższego typu bytowania, gdy się we mnie spełniła wielka ofiara poznania, to zrozum mój miły przyjacielu, że w kobiecie nie mogę szukać tylko tej harmonii brutalnej bioder i ramion, biustów i pośladków, nie mogę, nie wypada mi! to byłoby niegodnem!...

BRZOSTOWSKI *(niecierpliwie).* No dobrze, ale cóż tu szukać, czego tam ciągle szukać, kiedy kobiety głupie lecą na człowieka jak owce, same *(wskazuje ręką niedbale na tacę z biletami).* Ot tam patrz. Na tysiące mogę już liczyć ofert miłosnych, billets doux, propozycyi na schadzki i wprost błagań o jedno spojrzenie, jak pisze jedna, o jeden włosek skądkolwiek... Ja tego nie chowam, nie! ja chcę, żeby każdy tryumf mój był głośny, bo to należy u nas do fachu. Do jakich my śpiewacy startów doprowadzamy w tym kierunku, o tem wy poprostu nie macie wyobrażenia. Taki Roccaniga naprzykład ma peruki z włosów swojego koloru i z tych

wycina loki i rozsyła w listach do wielbicielek, taki van Lombaard proszę ciebie jeździ z impresaryem zupełnie do niego podobnym i ten przyjmuje wszelkie wizyty damskie, idzie na schadzki, kocha, koresponduje, a sam van Lombaard przez ten czas gra ze swoim służącym w domino... *(z tryumfem).* Widzisz teraz mój poeto! To są kunstmistrze uwodzenia! My ten czar demoniczny, urok niezwyciężony mamy w sobie proszę ciebie, my się z tem rodzimy, artyści! i umieramy z tem *(wstaje)* i my, to jest ja naprzykład, nie potrzebujemy kobiety dopiero szukać... bo my kobiety uprawiamy zawodowo... jako powołanie... diable! *(śmieje się szeroko, nalewa sobie nowy kieliszek).*

ORLAND *(ziewając ostentacyjnie, przeciągle).* Tak?... Ehe... proszę. To są rzeczy bardzo ciekawe, jak wszystko co z Azyi idzie jest ciekawe... oczywiście w miarę, tak. To się nazywa animalizm i tak ten twój Roccaniga, jak ten drugi pan śpiewak, jak wy wszyscy panowie śpiewacy i tym podobni stoicie do fenomenu kobiety w stosunku dawnych wartości... wybacz dyluwialnych, tak... troglodycznych... *(z głębokiem westchnieniem).* Ano darmo i to jest pewna platforma życiowa... owszem, poezya gminu porównuje takich mężczyzn z motylkami... przelatującymi z kwiatka na kwiatek... z asfodeli na macierzankę... oh la tristesse de toute cela...

BRZOSTOWSKI *(porywając się, podniecony).* No a ty czegoś chciał?... to jest wy... *(z naciskiem)* wy poeci

czego chcecie... aby mężczyzna jak pająk zapłodniwszy pająkową zaraz umierał, tak? *(szyderczo)* aby się czepił jednego fartuszka białego i po za tą białą flagą już świata nie widział, żeby co rok dawałświatu nowego proroka, a wyśpiewawszy swoją miłość zasypiał w Panu? *(zapalając się)* Aby na jednej kobiecie uczył się i abecadła i filozofii i mogąc poznać wszelkie marki szampańskie pił nasz domowy jabłecznik... czy tak? i pielęgnował, podlewał ideały rodzinne tak... i pościł i oblizywał się i dostawał honorowe obywatelstwo swego miasteczka rodzinnego, a paryżanki znał z tradycyi i przypowieści hahaha... *(wyrzuca z siebie pełnym głosem):*

Fin ch'han dal vino...

. . . .

ORLAND *(słucha, potakuje i z grandezzą bije brawo).* Superbé! Emissya nadzwyczajna! To rozśpiewane bazalty z groty Fingalla, nie przeczę, ale tamto patrzenie na cud kobiecej psyche *(wstaje powoli)* przez rurę od barszczu, ewentualnie filozoficzny systemat mistrza ceremonii z Palais de Glace, przed którego wzrokiem przesuwa się kilka tysięcy kurtyzan dziennie... to jest nocnie... Ja uważasz mój łaskawco nigdy co do kobiet nie wychodzę poza mój ogród Armidy, marzenie o tej albo żadnej! o wymarzonej Siostrze Rzeczy Niewidomych, dalekiej jak Los i Przeznaczenie, jedynej Tajemnicy życia doczesnego! kobiecie z Sais czy z Thule... *(gorzko)* Dlatego być może z moim mirażem

błądzę w codzienności jak ten latający Holender, jak ten statek pijany, łabędź z płonącemi skrzydłami, czy Król Kofetua... Żegnam cię.

BRZOSTOWSKI *(serdecznie).* Jakto odchodzisz już, dlaczego? chciałem ci właśnie opowiedzieć pewną moją aferkę miłosną, swego czasu skandal w całym Baku. Zostań, posiedź jeszcze chwilkę. To będzie najlepszy dokument tego, kto z nas dwóch ma racyę w swych poglądach, czy ty z swem »ta albo żadna«, czy ja z moim ta albo tamta i tamta i jeszcze jedna, tysiąc i trzy! Hahaha *(śpiewając):*

Notte e giorno faticar

ORLAND *(sztywnie, podając mu rękę):* Jak zawsze nie będzie miała racyi ani jedna ani druga strona, gdyż racya leży jak u kobiet w złotym środku... aurea aetas czy mediocritas — wszystko jedno. Zostać zaś już nie mogę, gdyż potrąciłeś u mnie strunę w duszy, która drgać będzie boleśnie niewyśpiewaną, zakazaną melodyą, a ukoić ją może jedynie...

(Pukanie do drzwi).

ORLAND *(kłaniając się dyplomatycznem pas).* Zwykłe moje rendez-vous avec madame... Caro...

BRZOSTOWSKI *(kordyalnie).* O jakiż ty jesteś nieubłagany. Przecież mógłbyś jeszcze posiedzieć; tak mnie zemocyowała twoja rozmowa, że czuję w sobie niesłychany napływ sił, energii, humoru! A ty właśnie się śpieszysz... *(odprowadza go).*

ORLAND *(wskazując dłonią na drzwi).* Oto słyszałeś

przyjacielu młodych lat! życie samo puka i dobija się do ciebie... *(głośno)* Entrez!... Zostawiam cię twym tysiącznym trzem niewolnicom i au revoir *(otwiera drzwi, natyka się na* MR. MENGSA).

MR. MENGS *(uniżenie, odstępując na krok)*. Please pardon Sir...

BRZOSTOWSKI. Więc do widzenia, do najrychlejszego widzenia mój kochany Kazimierzu.

ORLAND *(ściskając mu manierycznie dłoń)*. Do widzenia mój miły, a pamiętaj, że kobieta to jest Coś, co się absolutnie nie da ogarnąć naszymi marnymi pięciu zmysłami. Au revoir.

BRZOSTOWSKI. Owszem, owszem *(wpuszczając mr. Mengsa i zamykając drzwi)* jeżeli ci to przyjemność sprawia smutny klownie!... *(do mr. Mengsa)* ... A co?...

MR. MENGS *(zdumiony)*. Pukałem, bo musiałem. Depesza. Hamburg *(z oznakami bezradności i niepokoju)* Not possible... not possible.

BRZOSTOWSKI *(wesoło)*. Bagatela! miss Coveecoat?...

MR. MENGS *(potakująco)*. Dlaczegoby nie miała być mis Covercoat. Wczoraj ona wyjechała na Berlin, jutro rano ona już tu będzie *(wskazuje ręką na pokój, podaje Brzostowskiemu depeszę, ten czyta)*.

MR. MENGS *(niespokojnie)*. I to wszystko jest ogromnie nieprzyjemne i to wszystko przeszkadza bardzo »Don Jouanowi« *(wskazuje ręką pianino)*. Tu się wciąż świece palą, a niepotrzebnie bo na co się mają palić, jak nikt się partyi nie uczy a signora Flamma jest zupełnie wściekła. Business is business please mister Brzostowski to nie może być inaczej, a tu ciągle tylko...

BRZOSTOWSKI *(przeczytawszy, odwraca się nagle, ostro)*. Co mówi?

MR. MENGS *(spokorniały)*. Nic! Ja mówię tylko, co my będziemy robić z miss Covercoat, a z starym Halinickim a z panną Halinicką, a z signorą Flammą, a z innymi! chyba a lowe-woman mass-meting

BRZOSTOWSKI *(sucho)*. Nie wiem, nie obchodzi mnie, nie do mnie należy, ja chcę mieć mój spokój, dziś wieczór spokój, mis Covercoat zostawiam panu całą Mengs *(patrzy na zegarek)* tak, a teraz prędko nakrywać, lada chwila mogą być goście... tak... tylko trzy nakrycia... słyszysz panie Mengs, tylko trzy! aha i jeszcze coś... jeszcze musisz pan, bo zapomniałem wysłać kogoś do tych panów Kotłubajłów... zupełnie zapomniałem, że wczoraj pijany i ich prosiłem do siebie! żeby mi się przypadkiem nie ważyli tu przyjść... wyekskuzuj... jestem chory, umierający, wyjechałem, porwali mnie, umierająca ciotka, do jej łoża jak chcesz, byłem dzisiaj wieczór i pół mężczyzny nie widział na oczy... Już mam dość tego... tego konferenciera, tego... głupiego męża ślicznej, genialnej żony!

MR. MENGS *dzwoni zapalczywie.*

BRZOSTOWSKI *(podchodzi do pianina i bierze pakiecik z dwoma książkami, otwierając go)*. Powiedz mi mister Mengs, jak może interesująca kobieta naprzykład brać

na męża takiego blagiera, szulera, pozera, taką małpę Żoko, jak ta, co przed chwilą stąd wyszła...

MR. MENGS. Co? Tyn pański przyjaciel ten Orland?... My Dear You are extremety kind! Przed chwilą to on był a most best friend a herzpinkel, a teraz to on jest a most foolish beggar Here it is *(We drzwiach staje kelner z serwetą).*

MR. MENGS *(wskazując na stolik).* Nakrywać! raz dwa! a nakrycia... trzy!

KELNER *(z ukłonem).* Do usług. *(znika)*-

BRZOSTOWSKI. Podaj mi mister nożyk do rozcinania. *(ogląda książki).*

MR. MENGS *(szuka nożyka).* To się zdarza, to nawet zawsze się zdarza maestro... Gdyby oni oboje byli perfectly vise and remarcably, toby oni nie zmieścili się na jednem... pardon to jest w jednem małżeństwie *(podaje Brzostowskiemu nożyk).* Kiedy mąż się przekona, że żona jest a literary a learned woman, to on sobie powinien powiedzieć, to ja będę a chamajdes jak ordynarne żydzi mówią *(wesoło)* i to samo, gdy się żona przekona, że mąż jest a famous business man and a higly stroug head a valiant kepele, to ona powinna być cicho...

(W drzwiach staje starszy kelner z dwoma garsonami, koszem nakryć, serwetami etc.).

KELNER. Jaśnie panowie pozwolą?

BRZOSTOWSKI *czyta, rozcina kartki.*

MR. MENGS *(odymając wargi).* Można, można... bez

hałasu *(zakłada obie ręce wtyle po napoleońsku i chodzi po pokoju).*

(Kelner i garsoni błyskawicznie nakrywają do stołu, cicho wsuwa się trzeci garson z dwoma bukietami kwiatów na stoł).

BRZOSTOWSKI *(czytając).* Nadzwyczajne! *(podaje lewą ręką Mengsowi drugą książkę).* Proszę cię mister i porozcinaj kartki w tej drugiej... *(czyta).*

MR. MENGS. Very well Sir *(odbiera książeczkę i rozcina chodząc kartki).* I thank you.

BRZOSTOWSKI *(rozcinając i równocześnie czytając z oznakami uniesienia i podziwu).* To już same tytuły, proszę ciebie Menkes jakie obiecujące o! Venus Cyterea, Venus Lesbia ooo Venus Pandemos, Venus Androgyne ooo Venus Lutetia, Venus Szampania... co słyszysz pan? Venus libertina... Venus perversa... nie to są nadzwyczajne rzeczy i to kobiety teraz piszą! słyszysz pan... »Baśń o obłoku i Semeli«... »Sen o Ledzie«... to fenomenalne... ależ to kapitalna lektura do łóżka! Skądże człowiek mógł przypuszczać, że u nas takie wiersze się piszą... to ja się wczoraj wobec niej zachowywałem jak przeor Paulinów... mr. Mengs słuchaj pan... *(deklamuje nieudolnie i trywialnie).* Król i Salome:

Weź mnie w twych ramion zwartych obręcze
Żelazne Królu! niech się nie męczę
W ogniach pożądań, zwól mi katuszy
Krwi rozpalonej! Bądź mojej duszy

Wolnością!

Patrz, upojona ziemia jak płonie
Piekielne młoty biją w me skronie
W śnieżystych piersiach powstają żary
Wiją się we snach głodne omary
Rozkoszy!
Królewskiej krasy prężą się liany
Kark twój oplotę w snach pożądany
Do grzywy twojej przytulę lędźwie
I oczaruję w płomiennej gędźbie!
Mój królu!
Kwiat swój dziewiczy...

(Pukanie do drzwi).

MR. MENGS *(donośnie).* Entrez!

(Kelner z garsonami skończywszy nakrywać, staje z koszem przy drzwiach, by przepuścić wchodzącą pannę HALINICKĄ, *poczem wychodzą).*

HALINICKA *(w balowej tualecie, bardzo silnie dekoltowana).* Otóż i jestem, stawiam się na twe rozkazy władco *(spostrzega mr. Mengsa).* A how do you do mister Leporello.

MR. MENGS. As usual, as usual! donna Anna! *(z podziwem).* You are Madam a finest flover-queen! A very duchess!

HALINICKA *(podchodząc do Brzostowskiego).* No jakże ci się podobam satrapo ukochany?

BRZOSTOWSKI *(zamykając z hałasem książkę, przypatruje jej się ze znawstwem i lubością).* Jak zjawisko!

Czarująca! Mogę tylko powtórzyć słowa mr. Mengsa a finest flover-queen! A very duchess!!!

HALINICKA. Dziękuję. O i stół już nakryty i jak pięknie! co za pyszne kamelie Ryszardzie.

BRZOSTOWSKI. To wszystko arrangement mister Mengsa, impressaria hors concours...

HALINICKA *(przypatrując się nakryciu).* Tak, ale tu tylko trzy nakrycia, przecież miało być pięć czy sześć osób...

BRZOSTOWSKI *(z pewnem zakłopotaniem).* A tak tylko trzy, bo właśnie mężczyźni nam skrewili... Obaj panowie Kotłubajłowie są mocno niedysponowani, podobno przeziębili się w niemożliwy sposób, dostali bronchitu i starszemu nieprawdaż panie Mengs grozi nawet zapalenie płuc.

MR. MENGS *(kpiąco).* Yes, yes... Sir.

HALINICKA. No ale mąż pani Orland?

BRZOSTOWSKI. A ten wyszedł stąd przed chwilą... właśnie teraz... był wyekskuzować się, że jedna z jego najbliższych ciotek ciężko zaniemogła, miała atak apoplektyczny, a że to bogata osoba, więc któreś z nich musi czuwać przy stoliku to jest przy łóżku nieszczęśliwej staruszki... tak, a że to jego ciotka, rodzona, więc on wprost odemnie tam poszedł do tego.. jak mówią... klasztoru.

HALINICKA *(kiwając głową z niedowierzaniem).* No, no... a ona sama tu przyjdzie... do mężczyzny, kawalera... to dziwne... musi być niesłychanie oryginalną, nawet ekscentryczką chyba... nie?

BRZOSTOWSKI *(wymijająco).* Zapewne, zapewne, wszy-

scy jesteśmy cokolwiek ekscentryczni... to robią czasy... tak...

MR. MENGS *(przerywając).* No a ja się mimo tego już pożegnam, bo i must go... mnie trzeba iść na dół... do portyera *(kładzie książkę na stole).*

BRZOSTOWSKI *(do Halinickiej).* Poczciwy pan Mengs idzie do loży portyera, aby w razie czego sprzeciwić się zasadniczo wizycie... papy.

HALINICKA *(zaniepokojona).* Oj to to, ja już sama myślałam o tem, czy akurat teraz wieczór nie zechce papa rozmówić się z nami. You are noble gentleman Mengs. Serdeczne dzięki *(podaje mu rękę).*

MR. MENGS. Not at all miss Halinicka. Business is business, and my business *(wskazuje na pianino, nuty):* Don Jouan... Always! Always! Dobrej zabawy państwu! Leporello idzie na straż *(kłania się szeroko i wychodzi).*

HALINICKA *(podbiega do Brzostowskiego).* Ryszardzie!

BRZOSTOWSKI *zamyka kufry i kładzie klucze do kieszonek.*

HALINICKA. Ryszardzie kocham cię... Mój lwie, mój orle kocham, nabrałeś rycerskich rumieńców, wyglądasz jak demon, jak strącony anioł... prześlicznie...

BRZOSTOWSKI *(z zadowoleniem).* Podobam ci się, to dobrze, to dobrze moja Anno, że dzisiaj mam mój bonjourek, bo dzisiaj chcę się podobać, chcę być invicible diable. *(gładzi ręką jej włosy).* Jedwab, jedwab, pozłocisty jedwab... *(zachwycając się nią).* W gruncie rzeczy ty jesteś prześliczną.

HALINICKA *(nachylając się ku niemu, zwodniczo).* Tak? Naprawdę? Co ty mówisz? Ale teraz mój Ryszardzie powiedz mi jak ja się mam zachować... co ja mam mówić... bo ja nie chcę być parafianką...

BRZOSTOWSKI *(biorąc ją w pół).* Masz być taką jak jesteś! *(drugą ręką nalewa zgrabnie dwa kieliszki zielonego likworu).* Masz wypić ten czarodziejski płyn ze mną duszkiem w nagrodę za ten całus *(nachyla się nad nią i całuje przeciągle w same usta).*

BRZOSTOWSKI *bierze kieliszek, podnosi,* HALINICKA *jakby upojona patrząc w niego z bezbrzeżnem uwielbieniem, porywa drugi i powoli wypija cały... odetchnęła.*

BRZOSTOWSKI *(namiętnie).* A potem masz być rozkosznie rozmowną, dowcipną, śmiałą, nawet zuchwałą, nawet szaloną, a na zadatek tego dostajesz drugi całus *(pochyla się nad nią, znów całuje w same usta).*

(Mocne pukanie do drzwi).

GŁOS MR. MENGSA. Są madame! Oczekują pani od dłuższego czasu.

Drzwi szeroko się otwierają, widać mr. Mengsa, kłaniającego się z galanteryą; wchodzi MARYA ORLAND *»pseud.* OFELIA ORLAND«.

Jest to jedna z tych kobiet, które w Anglii określono dowcipnie the pony-woman, mająca z tą rasą koników wspólny niski wzrost a harmonijną baletową zgrabność, a misterność szczegółów i poruszeń. Włosy wyzywająco malowane na gorący słomiany kolor odwracają krytyczną uwagę od przesadnej nieregularności rysów i mocno

a naiwnie zadartego mazurskiego noska. Oczka chytre nabierają wyrazu przez głębokie prawie fioletowe podkowy rozpasania. Często uśmiechają się same z siebie, przytem otwiera się różowy pyszczek i dwa sznurki ząbków, drobnych jak u myszki błyszczą słoniową kością, zdrowotnością, zalotnością. W całości rzuca się w oczy nieproporcyonalna wązkość biustu wobec szerokich rozmiarów kłębów biodrowych, groźnych dla słabego pokolenia współczesnego neurasterenaissancu; na razie jest to nowożytne piękno, nic nie mające wspólnego z Venus Ludovisi, demoniczne luxusem śnieżnej koronkowej bielizny, krytej przepyszną, czarną koronkową suknią. Lekko odchylony biust pozwala więcej tajemnic się domyślać niż ich tam jest w istocie...

BRZOSTOWSKI *i* HALINICKA *odskakują od siebie.*

BRZOSTOWSKI *(cokolwiek zaambarasowany, poprawiając tualety).* ...A... witam panią...

O. ORLAND *(rozejrzawszy się w sytuacyi).* Witam pana... Wszak pan otrzymałeś mój bilecik!...

BRZOSTOWSKI *(kładąc palec na ustach i wskazując na Halinicką).* ...Nie pani... *(ciszej)* otrzymałem... *(namiętnie)* Dziękuję!... Panie pozwolą... *(przedstawia)* Panna Halinicka... pani Orland... *(cokolwiek zaambarasowany)* ...Pani się rozgości i proszę się czuć jak w gniazdku gołębiem *(zdejmuje z niej futrzane okrycie i kładzie na bok).*

O. ORLAND *(z ujmującą serdecznością wstrząsa ręką Halinickiej).* Jakże się cieszę... prawdziwie. Słyszałam

już o pani tyle rzeczy, mało powiedzieć sympatycznych, wzruszająco sympatycznych, bohaterskich, że ma pani nietylko moją przyjaźń, ale szacunek... istotny szacunek kobiety... dla kobiety.

HALINICKA *(ujęta, prawie wzruszona).* O jakże pani jestem wdzięczną... słów nie mam. Mnie też o pani Ryszard... pan Ryszard opowiadał dzisiaj tyle pięknych rzeczy...

O. ORLAND *(rzucając powłóczyste spojrzenie Brzostowskiemu).* Bardzo jestem zobowiązaną panu Ryszardowi...

BRZOSTOWSKI *kłania się poważnie.*

O. ORLAND *(do Halinickiej).* A my, przypuszczam, będziemy odtąd przyjaciółkami *(bierze ją pod rękę)* Jakie pani imię dano na Chrzcie Świętym?

HALINICKA. Mnie? Anna, Wanda, Eugenia.

O. ORLAND. A mnie Marya, Ofelia, Magdalena... Ale ja bardzo mało mam z Ofelii, ale za to dużo z Maryi Magdaleny... *(wpół do Brzostowskiego)* tylko jeszcze przed jej nawróceniem do Chrystusa... nieprawda Antychryście?...

BRZOSTOWSKI *(skromnie).* Boże ty mój... ja tak mało mam znowu z Antychrysta! Sama miękkość, łagodność...

O. ORLAND *(nucąc).* Truś! nie udawaj nie!
Jowiszku! znamy cię!...

BRZOSTOWSKI *(podniecając się).* Brawo! brawo! Oto humorek królewski, szampański... Mam jakieś dziwne przeczucie, że dzisiejszy obiad będzie jednem wielkiem upojeniem pięknem i miłością...

O. ORLAND. To masz pan śliczne przeczucie i udziel nam go cokolwiek *(do Halinickiej)* Nieprawdaż Wando Anno Eugenio?... Pozwól pani... kogo kocham od pierwszego spojrzenia, temu zaraz mówię ty *(całują się)*.

HALINICKA *(ucieszona)*. Proszę, proszę, tak będzie najlepiej...

BRZOSTOWSKI *(z wesołym smutkiem)*. Więc tak? A mnie pani ciągle mówi: Panie, panie! Nie godnam wejść do mieszkania twego. Per Baccho! Śmierć jedyna mnie utuli.

O. ORLAND *(z naciskiem, powoli)*. O są tacy, którym w głos mówi się panie, a za to w duszy: ty, ty, ty *(odwraca się od niego i innym tonem)* Ale nie zajmuj nas pan swoją osobą, bo my musimy nacieszyć się sobą, nieprawdaż?

HALINICKA. O tak, ja niezmiernie się cieszę z poznania pani... Tyle się o pani już słyszało... W naszej okolicy bardzo się wszyscy zajmują literaturą, ale mnie pani wierszy nie pozwalano czytać... surowo...

O. ORLAND *(śmiejąc się serdecznie)*. Nie pozwalano?... surowo?... I Dzidzi nie czytało? nie? biedne Dzidzi... a potem przyjechał taki królewicz z bajki... taki słowik przyleciał i lipcowym wieczorem siadł na gałązce czeremchy i zanucił pieśń miłości... i Dzidzi za nim szło, szło, szło i... obudziło się przy... barytonie... No dać jeszcze raz buzi *(całują się namiętnie)*.

BRZOSTOWSKI *uradowany bije brawo*.

O. ORLAND *(wesoło)*. A pak gospodarz naleje w puhary falernu i wypijemy na wieczny ślub dozgonnej przyjaźni.

BRZOSTOWSKI *(podbiega do stołu i nalewa)*. Chateau Olivier z tego roku, kiedy Prusacy wkraczali do Paryża... *(podnosi kieliszek)*. A bas les Prussiens! Vive la Metropole!

(O. Orland, Halinicka biorą kieliszki, trącają się).

O. ORLAND. Vive le Paris! Vive la France!

(Stawiają kieliszki wychyliwszy do dna).

HALINICKA *krztusi się lekko*.

BRZOSTOWSKI *(w uniesieniu)*. Nie! To było coś wzruszającego!... To protest kobiet polskich przeciw polityce... tego... no... pięści.

O. ORLAND *(zamykając mu ręką usta)*. Już dosyć, nie unoś się pan... nalej nam jeszcze dla naszego bruderszaftu... Pijmy, dużo pijmy, żeby wyłonił się renesansowy nastrój uczt w dawnej Florencyi i Rzymie... Nalewaj pan...

BRZOSTOWSKI *nalewa z brawurą*.

O. ORLAND. Jest nas troje, niech będą nastroje!... *(podnosi kieliszek)*.

BRZOSTOWSKI. Fenomenalne. Co to za dowcip! Tu perły sypią się formalną kaskadą!...

HALINICKA *(biorąc kieliszek, nieśmiało)*. Ale ja się mogę upić... bo to już ten trzeci...

O. ORLAND. Ta trzecia niech pije ten trzeci... *(staje zgrabnie w pozycyi do picia bruderszaftów,* HALINICKA *nie wie jak sobie począć*.

O. ORLAND. Biedna mała!... Jeszcze rozleje sobie wino i na sukni zrobi plamę... Tak?... A teraz powtarzaj za mną: A iż cię...

HALINICKA *(niepewnym głosem)*. A iż cię...

O. ORLAND. Nie opuszczę aż do śmierci,

HALINICKA. Nie opuszczę aż do śmierci,

O. ORLAND. Tak mi panie Boże...

HALINICKA. Tak mi panie Boże...

O. ORLAND. Dopomóż *(wychyla haustem kieliszeczek)*.

HALINICKA. Dopomóż *(wychyla również... nabiera szybko hektycznych wypieków i zaczyna objawiać zlekka symptomy upojenia)*.

O. ORLAND *stawia kieliszek, obejmuje Halinicką wpół, całuje w usta, w oczy... wreszcie w szyję.*

BRZOSTOWSKI *(z wybuchem radości)*. Brawo! brawo! bravissimo! To się nazywa temperament *(uderza się dwoma rękami po udach)*.

HALINICKA *(z zamkniętemi oczyma, osłabiona)*. Ach jak pani całuje... jak ty całujesz... aż mi się słabo... zrobiło... jestem jak zahypnotyzowana... pozwólcie... *(opada osłabiona na krzesło)*.

O. ORLAND *(odwraca się do Brzostowskiego, powłóczysto)*. Nie dla wszystkich...

BRZOSTOWSKI *(mrużąc oczy, półgłosem)*. Ale dla mnie!

O. ORLAND *(wesoło)*. Milcz Sardanapalu!

BRZOSTOWSKI. Aż po śmierci... o piękna Salome! Venus Tenoria!... Venus Poezya!... Venus... Ofelia...

O. ORLAND *(spostrzegła na stole biały tomik swego męża, bierze go w rękę i rzuca z pasyą w ścianę przeciwległą tuż koło głowy Brzostowskiego)*. Masz... *(nucąc)* mój respons mości królu!...

BRZOSTOWSKI *(śmiejąc się)*. Hahaha Maksymy o kobiecie... i tem mnie w głowę... O pani *(podnosi książeczkę)*. Każda z tych myśli to z uwielbienia twej boskości... Każdy aforyzm to hołd... a ty chcesz mnie tem godzić?

O. ORLAND *(z wybuchem)*. Każda z tych myśli? Ależ panie śpiewaku... czytaj... czytaj te bańki mydlane hypochondryka... niedołęgi... tego młodego starca, którego świat nazywa moim mężem... czytaj, te głupstwa... Maksymy... *(naśladuje komicznie swego męża i jakby czytała jego tonem)* Kobieta to jedyne źródło, z którego zaczerpnąć jeszcze można wiary w życie zagrobowe... Kobieta to faza księżyca... Kobieta to urna mistyczna... Kobieta to... *(swoim głosem)* Kobieta tamto, kobieta owo... znawca... koneser... mag chaldejski, a jak przyjdzie do czego... żeby czoło stawić wypadkom... żeby porwać kobietę na plecy i nieść przez płonące lasy, przez huragany życia... to nic... próchno... faza księżyca, urna mistyczna...

HALINICKA *od chwili wybuchła nieco bezmyślnym śmiechem, a teraz zanosi się od radości.*

O. ORLAND. Śmiej się!... a ty się śmiej donno Anno, ale unikaj, radzę ci dzieciuchno śliczna, unikaj mężczyzn, którzy zaczną przed tobą kadzidła palić... Mężczyzna który idzie do kobiety, winien nie zapominać bata... *(dyskretnie)* Kadzidła my mamy u siebie... A teraz jeść, jeść, jeść... bo Ofelia głodna jak wilk.

BRZOSTOWSKI *(podbiega do dzwonka i raptownie dzwoni)*. ... To fenomenalne! Wspaniale! wspaniale!... Kadzidła

my mamy u siebie, diable, diable m'importe!... Ja się domyślałem, że te aforyzmy *(rzuca książką podniesioną na pianino)* byłem pewny... W tej chwili podadzą! siadajmy!

O. ORLAND. Siadajmy!... Kozetka niech na razie odpoczywa! Śpiewak niech będzie błogosławiony między niewiastami *(siada po drugiej stronie stołu).*

BRZOSTOWSKI *(podchodzi do środkowego krzesła i z teatralnym ruchem, śpiewa):* Gia la mensa è preparata...

(W drzwiach pojawia się dwóch kelnerów i mały garson. GARÇON *niesie wazę z zupą, starszy kelner rozlewa po talerzach, młodszy zajęty szampanem w butelkach przy drzwiach).*

HALINICKA *(trzpiotowato).* Ja już zupełnie straciłam apetyt i powiedziawszy państwu prawdę, tylkobym piła, ach piła...

O. ORLAND. Ależ ślicznie, cudownie, masz racyę... dziewczyno! śpiew, chłopiec i wino! Sama ci naleję *(nachyla się i nalewa, Brzostowski chce jej wziąć z kieszeni butelkę).* Precz Abelardzie, ja sama nalewam Heloizie!... Masz...

BRZOSTOWSKI. Gdzież mnie do Abelarda... wiotkiego młodzianka... z takimi bicepsami... *(nadstawia swoje ramię Orlandowej)* ... proszę...

O. ORLAND *(obejmując obu rączkami ramię Brzostowskiego, z podziwem).* Ach wspaniałe! pyszne!... to rozumiem... taki może kobietę porwać i ponieść na drugi brzeg życia, do tej ziemi obiecanej...

BRZOSTOWSKI *(z dumą).* A co? więc nie Abelard

a Samson chyba... co? *(śmieje się rubasznie i daje znak służbie).*

(Kelner i garson sprzątają, drugi kelner stoi już z pieczystem, poczem roznosi).

BRZOSTOWSKI. Tak, tak, ja nie lubiłem nigdy pościć dla ideałów, w nocy okrywałem się z zasady kołdrą, nie filozofiami... i oto jestem taki, że nawet, gdy mnie szatany w piekło porwą, nie boję się, bylem tylko uzyskał rendez-vous z świekrą Belzebuba... hahaha!...

HALINICKA *(ze strachem).* Nie mów tak, nie mów tak Ryszardzie, nie strasz nas. *(sennie)* Ty jesteś taki dobry, taki szlachetny, taki rycerski; ty żywcem pójdziesz do nieba...

O. ORLAND *(śmiejąc się).* Co tam po takim w niebie, co onby uwodził, okłamywał, porzucał, tratował w niebie... Przecież to męczennik własnego mięsa... co? czyż nie? Inkarnacya wiecznego pożądania żony bliźniego swego, haha...

BRZOSTOWSKI *(z sztucznym patosem).* Przenigdy! Nigdy! nigdy, aż do dnia dzisiejszego nie pożądałem żony bliźniego swego, ani wołu, ani osła, ani żadnej rzeczy...

HALINICKA *(z zapałem).* Tak, to ja mogę poświadczyć. Ryszard mi opowiadał całe swoje życie... On wiele ukochał, więc mu wiele będzie przebaczonem, ale z mężatkami nie romansował nigdy, nigdy... ani nie będzie *(podnosi kieliszek do ust i pije).*

BRZOSTOWSKI *daje znak służbie, aby otwierała szampana.*

O. ORLAND. To ślicznie! To wzruszające! Więc nigdy nie bałamucił mężatek, nigdy! ślubował od cudzych żon, unikał obcej własności... ależ to do łez wzruszające *(śmieje się do łez; korek szampańskiego wystrzelił).*

BRZOSTOWSKI *(z sztuczną powagą, tamując śmiech).* Tak, bezsprzecznie, co Annetta mówi jest świętą prawdą. Unikałem mężatek jak ognia, ani jeden mąż rogów odemnie nie dostał w prezencie... pod tym względem jestem czysty jak nowonarodzone dziecię.

O. ORLAND. Masz racyę, ty nad-niewinny panie... ty ignorancie! Nowonarodzone dziecię jest brudne, fatalnie brudne! jak sumienie Don Jouanów, hahaha *(bierze kieliszek szampańskiego i podnosi).*

BSZOSTOWSKI. Protestuję!

HALINICKA. I ja protestuję! Ryszard będzie Don Jouanem za dwa tygodnie na scenie! a ma sumienie czyściutkie, jak...

BRZOSTOWSKI. ...Jak baranek, jak pudel... jak *(podnosi kieliszek i nuci):*

Dell vieni alla finestra!

. . . .

O. ORLAND *(upojona śpiewem).* Ach wierzcie mi on z każdej aryi robi Szampańską aryę... taki musi być szatańskim uwodzicielem... Zdrowie uwodzicieli...

BRZOSTOWSKI. Ależ to nie w moje ręce... nigdy, przenigdy...

O. ORLAND. Musisz pan, każ mu Annetto, musi pić!...

(obie wstają z kieliszkami w ręku i w dłoń wsadzają mu kieliszek).

BRZOSTOWSKI *(wyrywając ręce i kryjąc je w tył).* Nigdy, przenigdy! Zdrowie uwodzicielek. Jam niewinny! Jam czysty!

O. ORLAND *(nuci, tupiąc nóżką).*

Truś! nie udawaj nie
Jowiszku! Znamy cię.

O. ORLAND *razem z* HALINICKĄ *tupiąc nożkami.*

Ha ha ha! Ha ha ha!
Truś nie udawaj nie
Jowiszku! Znamy cię!

BRZOSTOWSKI *(obejmując je obie niespodzianie z tyłu Nuci):* Ha ha ha!

(Słychać za drzwiami hałas).

WSZYSCY RAZEM. Ha ha ha...

Truś! nie udawaj...

GŁOS STAREGO HALINICKIEGO. Precz! odsuń mi się żydzie...

(Drzwi raptownie się otwierają i staje w nich szeroko STARY HALINICKI, *odsunąwszy laską przerażonego mr. Mengsa. Mohort w bobrowem futrze za przeszło 800 rubli, groźny sumiastymi siwymi wąsami, imponujący potężnym wzrostem ukraińskiej starokresowej szlachty, piękny jak stare litewskie bogi; głos stentory).*

BRZOSTOWSKI *(zrywając się pierwszy, półgłosem).* Bagatela! Komandor! czy duch Komandora?

(Niesłychana konsternacya. Służba dyskretnie sie wynosi).

STARY HALINICKI *(grzmiąco)*. Anno!... Przyjeżdżam po ciebie... W samą porę, jak widzę... *(laską robi krąg)*. A ty panie śmiały próżno obstawiałeś się pachołkami... *(postępuje krok naprzód)*. ... Z tobą inaczej się rozprawię... *(gwałtownie)*. Więc orgie?... do tego doszło z pospolitemi dziewkami *(wskazuje laską na Orlandową; z bezbrzeżną wzgardą)* z takiemi! tfy... z szampanem...

BRZOSTOWSKI *(zrzucając serwetę, gwałtownie)*. Pan się zapominasz... Nie jesteś u siebie... ta pani...

STARY HALINICKI. Nie pytam się, nie pora teraz... gdzieindziej... *(do Anny)*. A ty się ubieraj, bo goła wyjść nie możesz. I do siebie...

ANNA *(błagalnie, jąkając się)*. Papo!... przecież ja pisałam, dostałeś mój list...

STARY HALINICKI. Nie pytam... nie żądam odpowiedzi; bierz płaszcz i do swego pokoju... tam, gdzie stoisz pod fałszywem nazwiskiem, proszę! *(wskazuje laską drzwi)*.

BRZOSTOWSKI *(ironicznie, zuchwale postępując krok ku Halinickiemu)*. Przecież chyba rozsądniej, że panna Hanna pod obcem stanęła nazwiskiem, niż jako panna Halinicka.

STARY HALINICKI *(z wybuchem)*. Milcz pan!... żółtodziub! Śpiczak! Ja z tobą nie parluję pajacu teatralny... Mogę cię wypłazować lub ci ten łebek wygłaskany na wylot przestrzelić, ale dyskutacyi z takimi nie prowadzę... *(do Anny)* Słyszałaś? do siebie!

ANNA *(drżąca ze strachu, błagalnie)*. Ależ papo...

BRZOSTOWSKI *(przerywając jej, gwałtownie)*. Tak panno Anno, w tej chwili!... ponieważ nie ręczę za siebie... Tymczasem rzecz inaczej załatwić się nie da... Pani ojca doprowadzi w swym pokoju do upamiętania... ja tutaj obrażać moich gości nie pozwolę!!

O. ORLAND *(podchodząc i wstrząsając mu rękę)*. Dziękuję panu, spodziewałam się, że bezkarnie tego pan nie puści... Ten staruszek chyba upił się...

STARY HALINICKI *(wściekły)*. Coś mówiła?... Coś ty mówiła ty... kukło!

BRZOSTOWSKI *(stając między nimi i wskazując staremu Halinickiemu drzwi)*. Proszę! Ani moment dłużej...

STARY HALINICKI *walczy chwilę ze sobą, pociąga ręką wąsa, zaciska zęby, znów robi krok do Brzostowskiego, wreszcie widząc podbiegającą do siebie* ANNĘ *odwraca się do drzwi.*

ANNA *(dygocąc ze strachu)*. Dobrze, ja idę ojczulku... ja cię usłucham tymczasem... *(pragnie go ująć za rękę)* ale...

STARY HALINICKI *(otrząsając się z obrzydzeniem)*. Precz... teraz tam!... *(wskazuje na drzwi)*.

ANNA *(odwrócona twarzą do Brzostowskiego, trzęsąc się i powłócząc, wychodzi)*. Ale ja wrócę!

STARY HALINICKI. Zobaczymy! *(wychodzi za nią; stając we drzwiach, do Brzostowskiego)*. Jutro się policzymy *(wychodzi)*.

BRZOSTOWSKI *(kłaniając się poważnie)*. Do usług...

(Krótka pauza).

O. ORLAND *(patrzy na Brzostowskiego, namyśla się chwilę, potem śmiałym krokiem idzie do kozetki, siada).* Nooo? A to nie miła awantura *(wstrząsa się lekko ze strachu).*

BRZOSTOWSKI *(oddecha ciężko w widocznem wzburzeniu. Zamyśla się moment, marszczy brwi, poczem energicznym krokiem podchodzi do stolika, jedną ręką gładzi czuprynę, poprawia gors, patrzy na Orlandową; lekko zdławionym głosem).* Ehe ma pani racyę... nadzwyczaj nie tego... nie w porę... chociaż znowu...

O. ORLAND *(szybko).* Chociaż znowu nie trzeba dzisiaj trapić się tem co może przyjść jutro... *(siadając wygodnie)* ... Nadto to już należy do powołania, a twojem powołaniem...

BRZOSTOWSKI *(z nagle rozjaśnioną twarzą, nalewa sobie kieliszek szampańskiego i trzymając go w ręku, filuternie)* Każę dalej podawać... Ofelio...

O. ORLAND *(powłóczyście).* Byle... prędko!... Don Jouanie!

ZASŁONA SPADA.

TEGOŻ AUTORA WYSZŁY:

STUDYA I SZKICE

MAŁPIE ZWIERCIADŁO

FACECYE SOWIZDRZALSKIE

W DRUKU:

SKOTOPASKI SOWIZDRZALSKIE

NOWSZE WYDAWNICTWA
KSIĘGARNI POLSKIEJ
B. POŁONIECKIEGO
WE LWOWIE.

BARAŃSKI FR. i A. HERRICH. Mapa Galicyi. Podziałka 1,600.000 w formach 78/109, K 3.

BRANDES J. Henryk Ibsen, K 2.

FREDRO AL. Hr. Dzieła w 5 tomach, w oprawie, K 12.

GĄSIOROWSKI W. Rapsody Napoleońskie. Szkice historyczne, ilustrowane, K 2·60.

— Pani Walewska. Powieść historyczna z epoki Napoleońskiej 2 tomy.

GORZYCKI K. Dr. Zarys społecznej historyi państwa polskiego, K 6.

GRAJNERT E. Przewodnik artystyczno-informacyjny po Rzymie, z planem miasta, K 3.

HOJNACKI WŁ. Dr. Hygiena kobiety. Wydanie drugie powiększone z 32 rycinami w tekscie.

IRZYKOWSKI K. Pałuba. Sny Maryi Dunin, K 5·50.

KASPROWICZ J. Miłość. Z ilustracyami E. M. Liliena, i E. Okunia, w ozdobnej oprawie K 8.

— Moja pieśń wieczorna. Poematy, K 4, w ozdobnej oprawie K 5.

— Salve Regina. Poematy. K 3, w ozdobnej oprawie K 4·50.

KIPLING R. Druga księga Dżungli. Przełożył z angielskiego T. Mianowski, ilustrował W. Witwicki, K 4.

KRASIŃSKI Z. Pisma, za zezwoleniem rodziny Poety wydał Tadeusz Pini. Wydanie krytyczne, zupełne, ze słowem wstępnem i biografią Poety przez prof. dra Józefa Kallenbacha, w 8 tomach. Ilustracye, portrety, podobizny autografów zdobią wydawnictwo.

LEJKIN. W gościnie u Turków K 4·50.

MAETERLINCK M. Skarb pokornych. Tłumaczyła z oryginału Wanda Dalecka, K 1·60.

NUSBAUM J. Dr. prof. uniw. Szlakami wiedzy. Odczyty dla wykształconego ogółu o zagadnieniach biologii współczesnej. Z portretem autora, ośmioma tablicami i licznymi rysunkami w tekscie, K. 5.

PASSENDORFER A. prof. Błędy językowe. Wydanie II, poprawione i znacznie powiększone, brosz. K 2·00 w oprawie K 3, wydanie szkolne K 1·60, w oprawie K 2·—.

PRZEWODNIK artystyczno-informacyjny po Wenecyi z planem miasta, opracował Dr. L. Sternklar.

PRZYBYSZEWSKI ST. Synowie ziemi, powieść.

— Na tym padole płaczu, K 2.

— Taniec miłości i śmierci, K 2.

— Dla szczęścia, K 2.

— Matka, K 1.50.

RUFFER J. Posłanie do dusz, K 2.

SCHREIBER W. prof. Twórcy bogów. Z tajemnic wierzeń ludów pierwotnych. Z 78 ilustr. w tekscie, K 6.

SŁOWACKI J. Dzieła w 6 tomach. Pierwsze krytyczne wydanie w ozdobnej oprawie K 32.

STAFF L. Dzień duszy, K 2·60.

— Mistrz Twardowski. Pięć śpiewów o czynie. Z ilustracyami, K 6.

— Najmłodsza pieśń polska (Antologia), K 3, w ozdobnej oprawie oryginalnej K 5.

STEFANYK W. Klonowe liście, K 1.20.

SZEKSPIR W. Dzieła w 10 tomach, K 15, w ozdobnej oprawie, K 20.

SZELĄGOWSKI A. Dr. Wzrost państwa polskiego w XV i XVI wieku. Polska na przełomie wieków średnich i nowych, K 6.

— Śląsk i Polska wobec powstania czeskiego. Sprawa północna w wieku XVI i XVII, K 6.

— Walka o Bałtyk. Sprawa północna w wieku XVI i XVII, K 6.

ZAPOLSKA G, Jak tęcza, powieść, K 4.

— Fin-de-siècle'istka K 4.

